

Joseph Gollomb

KLINIKA ZNACHOROW

## ROZDZIAŁ I

### Wywiadowcy

Jak na pasażera wagonu I klasy, facet zajmujący miejsce nr 12 wyglądał zbyt biednie, toteż snobistyczni towarzysze podróży spoglądali na niego z niechęcią i pogardą, nie mogąc oprzeć się jednocześnie dziwnej ciekawości. Wszyscy obserwowali go, zadając sobie pytanie, kto to może być.

Nieznajomy był szczupły, wysoki i zbudowany jak zapaśnik. Biło od niego energią. Z drugiej strony, wysokie, mądre czoło i głęboko osadzone oczy wskazywały na człowieka, żyjącego wyłącznie w świecie myśli. Długi autokratyczny nos o wrażliwych nozdrzach i linia ust świadczyły o niecierpliwym usposobieniu, a blizna na czole i biaława szrama na szyi o burzliwym zyciorysie. Można było sądzić, że ten zagadkowy osobnik mógł być nieubłagany i dla siebie, i dla innych. Co jednak najbardziej zastanawiało, to głęboka melancholia bijąca z jego świetlistych, niebieskich oczu, dziwnie niezgodna z despotycznym charakterem całej postaci.

Oczy te patrzyły, roztargnione i niewidzące, na przesuwający się za oknem krajobraz. Czuło się, że ich właściciel cierpi, przynajmniej chwilowo, na poczucie nieznośnej pustki w życiu. Ale nie musiało to być ubóstwo wewnętrzne, lecz pustka, wytworzona przez jakąś stratę, może poniesioną przed wielu laty i dotąd nie zapomnianą i nie wyrównaną.

Nagle pasażer zajmujący miejsce nr 12 odwrócił głowę od okna i omiółt bardziej już przytomnym wzrokiem twarze współpasażerów. Wyglądało to tak, jakby samotność zaciążyła mu nad miarę i zmusiła do ponownego nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie szukał jednak towarzystwa. To nie leżało w jego naturze. Chciał raczej przeniknąć poza niewzruszone maski-twarze towarzyszy podróży i w razie odkrycia czegoś obiecującego wedrzeć się do czyjejś duszy i wykraść jej tajemnice.

W jego spojrzeniu było coś fachowego, tak jakby posiadał umiejętność

czytania w ludzkich duszach i uprawiał ją nie dla chleba, lecz z zamiłowania. Tym dla badawczego umysłu jest tajemnica, czym śpiew syreny dla słuchu i czasem niewiele trzeba, aby zachłanna myśl pogoniła za nieznanym. Facet z miejsca nr 12 czatował widocznie na jakieś

spojrzenie niezgodne z wyrazem danej twarzy, na jakiś mimowolny gest, lub słowo, które objawiłoby mu istnienie tajemnicy.

Ale w całym przedziale nie było ani jednej interesującej twarzy, i jeżeli któreś z nich kryły jakieś sekrety, to banalne. Nr 12 zapadł więc ponownie w swoisty rodzaj letargu i dopiero przybycie pociągu do Albany ponownie go zelektryzowało.

Dwojgiem drzwi weszło dwóch nowych pasażerów. Jeden z nich, bardzo tęgi i barczysty, sam wniósł swoją walizkę i zajął miejsce nr 25. Był skromnie ubrany i wydawał się tak nieciekawy, że tylko bardzo spostrzegawczy obserwator zauważyłby, że kanciasty tułów wieńczyła zgrabna głowa, a pozornie apatyczna twarz była maską, zabezpieczającą przed badawczymi spojrzeniami świata. Szare, tajemnicze oczy miały przenikliwy wyraz, jak u żandarma.

Drugi pasażer, poprzedzony przez tragarza, skierował się ku miejscu nr 14. Musiał je widocznie zarezerwować.

Sąsiad, czyli nr 12, okazał momentalnie wielkie zainteresowanie. Nr 14 wyglądał na dobrą czterdziestkę, był starannie wygolony i ubrany z wyszukaną elegancją. Na jego twarzy malowała się mądra chytryść, umiejąca godzić tradycyjną moralność z życiowym pragmatyzmem. W szarych oczach migotały lodowate błyski, ale jednocześnie biło z nich zadowolenie z życia. Tragarz, obdarzony hojnym napiwkami nie znając go, podziękował mu jako panu sędziemu, gdyż w powierzchowności pasażera było rzeczywiście coś typowo „sędziowskiego”.

„Pan sędzia” rozparł się z epikurejskim zadowoleniem w wygodnym fotelu i wydobywszy z kieszeni gazetę — organ bogatych sfer — zaczął czytać. Ilekroć go coś zaciekało, wyjmował złoty ołówek, robiąc kropkę na marginesie.

Pasażer nr 12 świdrował go spojrzeniem, studiując bacznie zmiany w jego twarzy, a szczególnie w wyrazie oczu.

Po chwili wszedł ten sam tragarz z depeszą w rękę. Mozolnie odczytywał adres, po czym doszedłszy do wniosku, że niewyraźna liczba musiała oznaczać 12, zatrzymał się przed odpowiednim fotelem.

— Telegram do pana!

Nr 12 spojrział na adres, rozdarł kopertę i przeczytał:

„C. B. Allen.

*Oby taki pomyślny dzień powtarzał się jak najczęściej!*

*Jim"*

— Nie do mnie — rzekł lakonicznie, oddając depeszę.

Tragarz spojrział żałośnie na rozdartą kopertę.

— Byłem pewien, że tu napisano 12. To pan nie nazywa się C. B. Allen?

— Nazywam się Galt!

Na dźwięk nazwiska „C. B. Allen”, nr 14 odłożył szybko gazetę i wyrwał tragarzowi telegram z ręki.

— Ja nazywam się C. B. Allen!

Powiedział to takim tonem, że tragarz uciekł, rezygnując ze spodziewanego napiwku. C. B. Allen przeczytał depezę z groźnym wyrazem oczu i takim zainteresowaniem, jakby jej grzecznościowa treść miała jakieś głębsze znaczenie.

Galt zwrócił uwagę na jego ręce, które trzymały depezę w taki sposób, jak grający w pokera o wysokie stawki trzyma karty, aby mu kto w nie nie zajrzał.

Allen spojrział dwa razy w przestrzeń, jakby sobie coś przypominając, po czym, zrozumiałwszy widocznie, o co chodzi, schował depezę do wewnętrznej kieszeni kurtki, nacisnął dzwonek i zwrócił się do Galta. Jeżeli w jego minie było w tej chwili coś sędziowskiego, to nie był to sędzia łaskawy.

— Czy mogę zapytać, dlaczego pan otworzył moją depezę? — rzekł lodowatym tonem. — Przecież pan przeczytał adres?

Galt nie odpowiadając, wpił się wzrokiem w jego twarz.

Allen popatrzył na niego z niesmakiem, zadecydował, że na takiego chama nie warto marnować nerwów, machnął ręką i zwrócił się do tragarza, który przybiegł na odgłos dzwonka.

— Jak tylko dostarczą nowojorskie gazety — rzekł — przynieście mi „Evening Sun”.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedział murzyn z nadzieją w głosie. Tym razem napiwek nie mógł przepaść.

Galt wstał i poszedł za nim do drzwi.

— I mnie przynieście „Evening Sun”, ten sam numer co jemu. — Dał tragarzowi dolara i człeczyna wybaczył mu momentalnie liche ubranie i incydent z telegramem.

— Dobrze, proszę pana!

Galt wrócił na swoje miejsce, ale jego spojrzenie ominęło Allena, tonąc gdzieś w dali.

W kwadrans później wrócił tragarz z dwoma egzemplarzami dziennika

„Evening Sun”. Allen zaczął od razu przeglądać szpalty, jakby szukając jakiejś wiadomości. Na stronę tytułową prawie nie spojrział.

Galt, obserwując go jednym okiem, robił dokładnie to samo. Na drugiej stronie nie znalazło się nic ciekawego i obaj przenieśli szybko wzrok na trzecią.

Wzrok Allena zatrzymał się na skrajnej szpalcie po prawej stronie.

Galt uczynił to samo.

Skrajna szpalta zawierała artykuł z kategorii tych, jakie nadają gazetom tak dramatyczny charakter, wynikający ze sprzeczności życio-

wych, notowanych kronikarsko jedna po drugiej, wskutek czego klęska sąsiaduje z triumfem, śmierć z narodzinami, wiedza z fantazją, a dobroczynność z okrucieństwem.

W danym wypadku chodziło o triumfalną karierę pułkownika Wilhelma Grangera, znanego jako „powietrznego Grangera”, który dorobił się na górnictwie i właśnie wybudował w Nowym Jorku czterdziestopiętrowy drapacz chmur. Z powodu ukończenia prac przy tej kolosalnej inwestycji odbył się bankiet, w trakcie którego pułkownik ogłosił założenie Fundacji Budowlanej Imienia Gail Granger, mającej na celu stawianie w wielkich miastach domów dla robotników i sprzedawanie ich po cenie kosztów budowy. Nazwana imieniem córki fundacja, miała być wyrazem wdzięczności pułkownika względem losów za to, że były dla niego łaskawe.

Allen skończył artykuł i poszukał rubryki giełdowej. Biegając wzrokiem za kierunkiem jego spojrzenia, Galt wyczytał w swojej gazecie, że pomimo ogólnego zastoju w obrotach giełdowych, akcje fundacji Grangera podniosły się o trzy punkty.

Allen zaczął szukać i Galt stwierdził, że jego wzrok zatrzymał się na „Wiadomościach z Chicago”.

Ta rubryka informowała, że sąd przysięgłych uniewinnił niejakiego Jakuba Eilera, alias „Wyskrobka”, oskarżonego o zabójstwo sędziego okręgowego. Prokuratura liczyła na zeznanie świadka, który widział z progu swego domu scenę mordu. Inni świadkowie mieli stwierdzić, że Wyskrobek działał w imieniu potężnej organizacji mafijnej. Ale najważniejszy świadek został zabity przed złożeniem zeznań, a inni znikli jak kamfora. W rezultacie Wyskrobek został uniewinniony, co widocznie ucieszyło Allena, bo z zadowoleniem przyjrzał się fotografii jego szczupłej twarzy, zamieszczonej w środku artykułu.

Następnie odłożył szybko gazetę i wyjął z teczki książkę. Partner w pokerze by nic nie wyczytał z jego oczu, lecz Galt nie miał wątpliwości, że sąsiad nie zmienił przedmiotu zainteresowania, tylko analizuje go z różnych punktów odniesienia.



Książka nosiła tytuł „Morbid Fears and Compulsions” — „Chorobliwe objawy i uleganie przymusom”. Było to dzieło wybitnego psycho-patologa. Allen wyszukał jakiś ustęp w środku i zaczął czytać. Skończywszy, pogrążył się w myślach. Wyraz twarzy miał taki, jakby układał jakiś plan. Galt zanotował sobie w pamięci stronicę.

Widocznie Allen powziął jakieś postanowienie, bo otrząsnął się z zamyślenia i rozejrzał po przedziale z dobrze udanym roztargnieniem. Galt dostrzegł jednak, że dłużej zatrzymał spojrzenie na pasażerze z miejsca nr 25.

W chwilę potem Allen wstał i wyszedł z przedziału, jakby w celu

przespacerowania się. Pasażer spod nr 25 wstał także i wyszedł za nim.

Z oczu Galta zniknął wyraz nieznośnej apatii i jego chuda twarz rozjaśniła się nagłym światłem. Kiedy w parę minut później wstał i opuścił przedział, w ruchach jego było coś z gracji kota, tropiącego w trawie drobną zwierzynę.

Zastał Allena na platformie, palącego samotnie papierosa. Gruby pasażer nadszedł leniwie z cygarem w palcach i stanął obok niego, niby to przyglądając się okolicy.

Po chwili poprosił Allena o ogień, w taki sposób, w jaki się prosi nieznajomego. Wywiązała się zdawkowa rozmowa, jak zwykle między pasażerami. Niby to obaj przyglądali się uciekającym widokom, nawet pokazywali je sobie palcami. Tak to na pozór wyglądało, bo naturalnie Galt nie słyszał ich rozmowy.

— Panie Crock — zaczął Alen — dostałem polecenie, ażeby dalej prowadzić robotę z Grangerem. — Powtórzył słowa otrzymanej depeszy. — Zatelegrafujesz pan z następnej stacji. Wiesz pan, co dalej robić i jeżeli coś spieprzysz to odpowiesz za to. Pamiętaj pan!

Pomimo, że Allen wyglądał tak, jakby prowadził przyjemną towarzyską rozmowę, Crock rozróżnił w jego głosie ostre tony. Poniósł go gniew, ale opanował się i od niechcienia pokazał cygarem daleki wąwóz między górami. Zdobył się nawet na ciche gwizdnięcie.

— Więc to ma nastąpić w godzinie jego triumfu? Żeby Grangera czekał taki koniec!... No, no, zupełnie jakby zastrzelił tokującego koguta!

— To nie wszystko — ciągnął Allen, ignorując komentarze Crocka. — Wyskrobek jest niewinniony. Rozumiesz pan, czego ja chcę.

Crock ciągle udawał, że nie dostrzega aroganckiego tonu.

— Wyskrobek niewinniony! Jak on się wymigał od morderstwa?

Kontrast w zachowaniu się tych obu ludzi względem siebie zaznaczał się nie tylko w tonie głosów, ale i w gestach i w spojrzeniach. Allen traktował Crocka uderzająco chłodno i pogardliwie, a ten, chociaż przyzwyczajony raczej do wydawania rozkazów, trochę mu nawet nadszkwiał. Ale jego cierpliwość kończyła się.

W końcu Allen wyrzucił niedopałek papierosa i odwrócił się, by wejść do wagonu. Crock zatrzymał go gestem.

— Jeszcze chwila — rzekł szeptem — wskazując na wyłaniające się w dali miasto — obserwowałem pasażera z miejscówką nr 12.

— Nazywa się Galt — odparł cicho Allen — co pan o nim wiesz?

— To, że od chwili przeczytania pańskiej depeszy—pewnie przypadkowo — nie spuścił pana z oczu. Kazał sobie przynieść ten sam numer „Evening Sun”, co pan i czytał te same ustępy, co pan. I potem przyszedł tu za nami. Proszę, niech pan zobaczy fotografię mojej żony i synka.

Z tymi słowy Crock wyjął z kieszeni duży, staroświecki zegarek i otworzył go. Allen, który dopiero teraz okazał jakieś zainteresowanie, pochylił się nad domniemaną fotografią, zamiast której ujrzał wypukłe lustro powiększające, wprawione w kopertę. Crock nachylił je pod takim kątem, że Allen zobaczył Galt, stojącego w głębi wagonu i obserwującego ich znad gazety.

Allen poklepał Crocka po ramieniu, jakby wieszając mu pięknej rodziny i rzekł:

— Zadepesuj pan do Gansa, żeby się nim zaopiekował. Niech czeka na Wielkim Centralnym.

Crock, częściowo udobruchany, skinął głową.

— Wiedziałem, że to pana zainteresuje. Ale Gans jest dobry do prostej roboty. Do takiej jak ta wolałbym Kerrigana.

Allen utonął wzrokiem w dalekim pejzażu.

— Panie Crock — mruknął — masz mnie pan słuchać bez żadnych sprzeciwów!

Crock, patrząc na koniec swego cygara, odpowiedział z twarzą czerwoną z gniewu:

— Mam rozkaz śledzenia, czy pana ktoś nie śledzi, ale co do szczegółów, wolno mi działać według swego uznania. Nie podoba mi się to, że pan mnie tak traktuje. Nie jest pan moim zwierchnikiem. Jesteśmy sobie równi i powinniśmy iść jeden drugiemu na rękę. Jeżeli pan będzie mnie drażnił, to wiem jak sobie poradzić. Zrozumiano?

Allen uśmiechnął się uprzejmie do „przygodnego znajomego” i wszedł do wagonu.

— I ja sobie poradzę — rzucił szeptem.

Powrócił do swego przedziału z tym samym uśmiechem na ustach i zastał właściciela miejscówki nr 12 na miejscu.

— Przepraszam — rzekł mile — że pana tak niegrzecznie potraktowałem z powodu tej depeszy. Doprawdy, bardzo mi przykro...

Ku jego gniewnemu oburzeniu Galt nie tylko nie odpowiedział, ale wpatrując się w niego bezceremonialnie, powstał. Nagle pociąg szarpnął, Galt

zachwiał się i jego twardy obcas przygniótł z potężną siłą duży palec u nogi Allena.

Ten zbladł i stłumił okrzyk bólu. Po raz pierwszy nie krył uczuć. Tak patrzy człowiek gotowy zabijać.

Galt nie uronił ani jednego drgnienia jego twarzy. Tak patrzy uczony, obserwujący żabę poddaną działaniu wstrząsów elektrycznych.

Wybuchło zamieszanie. Allen zerwał się i chwycił Galta za gardło.

Ten ignorując bliskość krwiożerczej twarzy, zachował przez kilka sekund zupełną bierność, po czym Allen poczuł się gwałtownie porwany w górę i rzucony na swoje miejsce. Chciał wyszarpnąć, coś szybko

z torby podróżnej, lecz kilku przerażonych pasażerów przeszkodziło mu w tym. Allen oprzytomniał, wstał i opuścił przedział. Ale jego twarz nie była już biała, lecz sina w czerwone plamy.

W chwilę później wszedł tragarz i przeniósł jego torbę podróżną do innego przedziału. Tu Allen, ochłonawszy nieco, zaczął zastanawiać się nad sytuacją. Ale oczy jego rzucały groźne błyski, a usta poruszały się kurczowo.

Tymczasem Crock obserwował Galtę, który przesiadł się na dawne miejsce Allena i studiował „Evening Sun”. Ale co zastanawiało, to fakt że Galt naśladował Allena mimicznie. Przybrał jego pozę i wyraz twarzy i czytając, tak samo poruszał głową i oczami.

Na innych pasażerów nie zwracał najmniejszej uwagi i znowu pogрузił się w myślach, ale Crock miał niesamowite wrażenie, że człowiek ten w dalszym ciągu tropi nieobecnego Allena i że naśladowując jego pozy stara się przewidzieć jego posunięcia.

Gdy było już blisko do Poughkeepsie, Crock wyjął blankiet telegraficzny, napisał coś szyfrem, zaadresował do Gansa, detektywa z Nowego Jorku i, zadzwoniwszy na konduktora, wręczył mu go ze słowami:

— Proszę to nadać w Poughkeepsie!

I znów skupił całą swoją uwagę na Galcie, który jakby tego nie dostrzegał. Trwało to do samego Nowego Jorku. Gdy pociąg wjechał na ogromny dworzec, Galt zerwał się pierwszy, włożył miękki kapelusz, zniszczony płaszcz i wziął swoją walizkę. Wszystkie te przedmioty wyglądały tak, jakby zaznały wszelkich klimatów na całej kuli ziemskiej i przesiąkły indywidualnością swego właściciela, który uznawał w życiu tylko rzeczy istotne, był niewrażliwy na pozory i cenił wartości sankcjonowane jedynie przez siebie.

Wyskoczył jeszcze w biegu i przeszedł szybkim krokiem koło następnego wagonu, szukając wzrokiem Allena. Zobaczywszy go, stanął. Allen wysiadł, poprzedzany przez tragarza w czerwonej czapce. Na widok Galtę krew uderzyła mu do twarzy, a z oczu strzeliły błyskawice. Ale udając, że go nie widzi, poszedł szybko za tragarzem na drugą stronę dworca, gdzie kazał wezwać taksówkę.

Galt szedł za nim krok w krok, z torbą w rękę, bardziej zajęty jego pozą i gestykulacją, niż zamiarami, bo pozwolił mu odjechać, nie próbując go ścigać.

Ale energia życiowa powróciła mu w całej pełni. Podążył ulicą Czterdziestą Drugą, wymachując torbą, która co i raz uderzała o czyjeś nogi, ślepy na gniewne spojrzenia i głuchy na protesty. Przedostawszy się, wbrew znakom policjantów, na drugą stronę Piętnastej Alei, wbiegł po schodach do Biblioteki Publicznej, biorąc po trzy stopnie naraz.

Musiał tu często bywać, bo zachowywał się jak u siebie w domu. Nie

zdejmując płaszcz ani kapelusza, przechodził z sali do sali, wertując pisma, książki i katalogi. Szukał czegoś z niezwykłym przejęciem, podczas gdy za nim szedł krok w krok szpicel. Crock nie wypuścił go spod opieki. Wychodząc z dworca w ślad za Allenem i Galtem, zobaczył wśród czekającego na pociąg tłumu wysokiego faceta z jasną czupryną. Nie wymienili żadnego sygnału, ale blondyn zaczął zaraz przeciskać się przez tłum i uspokoił się dopiero, gdy znalazł się u boku Crocka.

— Nazywa się Galt — mruknął Crock, wskazując mu oczami wysoką postać idącą za Allenem. — Będę szedł za tobą Gans.

Gans ruszył trop w trop za wskazaną zwierzyną.

U boku Crocka pojawił się drugi człowiek i odebrawszy w milczeniu od niego walizkę, zniknął w tłumie. Crock uwolniony od kłopotliwego ciężaru, podążył swobodnie za Gansem, tropiącym Galta.

Starał się trzymać od Gansa możliwie jak najdalej, ale przed wejściem do Biblioteki Publicznej zrównał się z nimi i rzekł, patrząc w inną stronę:

— Będę czekał po drugiej stronie ulicy, Kerrigan pilnuje tamtego wejścia.

Przez całą godzinę Crock oglądał wystawy sklepowe na wprost Biblioteki. Płynąca do domów rzeka aut i pieszych stopniowo opadała, aż jezdnie i chodniki zupełnie opustoszały. Zabłyśły lampy, a Crock wciąż czekał i czekał.

Podszedł do niego jakiś człowiek, udając zainteresowanie tą samą wystawą.

— Proszę tu zaraz podesłać wóz — rzekł Crock do szyby.

W dziesięć minut później do chodnika podjechał czarny sedan z zasłoniętymi oknami. Kierowca wysiadł i odszedł, a w kilka minut potem Crock zajął miejsce przy kierownicy. Z tej pozycji łatwo mu było obserwować schody Biblioteki zupełnie otwarcie.

Było dziesięć po ósmej, gdy wreszcie Galt wyłonił się z gmachu i pomaszerował aleją wielkimi, niecierpliwymi krokami.

Za nim wyszedł Gans. Dostrzegłszy samochód, przeszedł przez jezdnię.



Drzwiczki otworzyły się zapraszająco. Gans usiadł obok Crocka i wóz pojechał wolno za Galtem. Ten skręcił w ulicę Czterdziestą Szóstą i zatrzymał się przed ponurą, pięciopiętrową kamienicą, pomalowaną na brunatno. Architektonicznie nie różniła się ona niczym od innych z szeregu, ale nie wiadomo dlaczego było od niej coś odpychającym, jakąś chłodną dumą, czy wrogością.

Galt nacisnął dzwonek w głębokiej ramie ciemnych, dębowych drzwi i nim czarny sedan zdążył je minąć, znikł we wnętrzu. Wszystkie okna w domu były zasłonięte ciężkimi firankami, a te, w których się świeciło, także roletami.

Sedan przejechał wolno koło wejścia i zatrzymał się w połowie bloku. Gans otworzył drzwiczki.

— Pamiętaj, Gans — rzekł ostrzegawczo Crock — żadnych gwałtów, chyba, że nie będziesz miał innego wyjścia!

Gans skinął głową, wysiadł z samochodu i poszedł drugą stroną ulicy ku domowi, do którego wszedł Galt. Zobaczywszy z daleka zbliżającego się policjanta, zatrzymał się.

— Chwilę, panie posterunkowy — rzekł, zatrzymując go gestem.

Wyjął z kieszeni spodni metalową odznakę i pokazał go władzy.

— Jestem z komendy głównej policji. Co pan mi może powiedzieć o tym domu?

Wskazał ponurą kamienicę po przeciwległej stronie ulicy.

— To Klub Saragossa — objaśnił policjant. — Co się stało?

— Chciałbym się dowiedzieć czegoś o jednym gościu, który tutaj mieszka. Co pan wie o tym klubie?

Policjant potrząsnął głową.

— Cicho się sprawują i uważają, żebyśmy nie wglądali w ich sprawy. Jeszcze nigdy nie wzywali policji i wątpię, czy w naszym komisariacie mogliby coś panu o nich powiedzieć. Dozorca domu i jego pomocnik nie lubią mówić. Jeżeli uda się panu któregoś pociągnąć za język, to winszuję. Mnie się nie udało.

— Ano, spróbuję! — rzekł Gans, schodząc na jezdnię.

— Czy pan chce, żebym tu był w pobliżu — zapytał policjant.

— Nie!

Policjant odszedł, a Gans zadzwonił do drzwi tajemniczego domu. Ale nim się one otworzyły, upłynęła bardzo długa chwila z czego Gans wywnioskował, że członkowie klubu musieli dzwonić w umówiony sposób. Otworzył starszy facet w surducie, o kamiennej twarzy i przenikliwych oczach.

— Do kogo szanowny pan ma interes? — zapytał pozornie grzecznym tonem.

— Chciałbym pomówić z sekretarzem klubu — odparł Gans.

— Ja nim jestem.

Gans pokazał swoją odznakę.

— Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy — rzekł.

Jegomość w surducie spojrział na odznakę i, nic nie mówiąc, zaprowadził gościa przez dyskretnie oświetlone i elegancko umeblowane foyer do jakiegoś prywatnego gabinetu. Gans usiadł na wskazanym krześle.

— Jestem sekretarzem klubu i mieszkam tutaj — rzekł. — Czego pan sobie życzy?

— Bywa tutaj niejaki Galt — zaczął Gans.

— Więc? — rzucił pytająco sekretarz.

— Niech mi pan powie, co to za jeden.

— *Przepraszam, z którego pan jest komisariatu?* — zapytał grzecznym tonem sekretarz, wyciągając rękę do telefonu.

— Z komendy głównej — odparł cierpko Gans.

— Przepraszam, a nazwisko? Gans

wyprostował się z godnością.

— Co to ma znaczyć? Pan mi nie wierzy?

— Och nie! Ja chcę tylko potwierdzenia pańskiej tożsamości.

Policja może liczyć na nasze poparcie w każdej słusznej sprawie.

Gans podskoczył na krześle.

— Pan mnie posądza o oszukańcze podawanie się za policjanta?

— Jedno słowo przez telefon rozstrzygnie nasze nieporozumienie.

Zdjął słuchawkę z widełek i już miał wykręcić numer, gdy Gans dotknął jego ramienia i rzekł z naciskiem:

— Chwilę, panie sekretarzu! Potwierdzę swoją tożsamość w inny sposób. Chciałem się dowiedzieć od pana paru rzeczy, nie alarmując członków klubu. Ale teraz wrócę tu z całym patrolem? Rozumie pan? Przeprowadzić rewizję. I powinienem pana właściwie aresztować za opór władzy!

Sekretarz zerwał się z krzesła.

— To będzie najlepszy sposób załatwienia sprawy. Pójdę z panem. Gans, bardzo nasrożony, skinął urzędowo głową.

— Dobrze! W takim razie proszę za mną!

Sekretarz porwał płaszcz i kapelusz i poszedł za Ganssem z pewną siebie miną.

Wyszli na ulicę. Gans szedł w milczeniu, dając do zrozumienia, że jest dotknięty. Było pusto i tylko daleko przed nimi majaczyły sylwetki dwóch przechodniów. Ale nim doszli do czarnego samochodu, tamci znikli. Ulica była pusta.

Nagle Gans wykręcił się na pięcie i wyrznął sekretarza w szczękę poniżej ucha. Ten zachwiał się i runął na chodnik.

Scena ta rozegrała się przed wejściem do suterren prywatnego domu. Na szczęście nikt w nim nie czuwał, bo wszystkie okna były ciemne. Gans pochylił się nad zemdłym i ściągnął go po schodach na placyk przed drzwiami. Tu położył go w ciemnym kącie, a sam pośpieszył do samochodu.

Drzwiczki były otwarte gościnnie, tak jak za pierwszym razem, ale we wnętrzu nie powitano go uprzejmie.

— To będzie twoja ostatnia fuszerka, barani łbie! — warknął Crock, ruszając.

— Nie mogłem inaczej — zaprotestował żałośnie Gans. — Gdybym

się go nie pozbył, zaprowadziłby mnie do komisariatu. Nie dał się, cholera, nabrać na moją odznakę.

Crock nie odpowiedział. Skręcił w boczną ulicę i zatrzymał auto.

— Tam czeka Kerrigan — rzekł. — Powiedz mu, że on będzie tropił Galta i zatelefonuj do Duneena, Stev'a i Carsona, żeby mu pomagali. Z tobą rozprawię się jutro rano w biurze!

Gans wysiadł ciężko i podążył do Kerrigana, przechadzającego się po drugiej stronie ulicy.

Crock odjechał, klnąc pod nosem. Był silnie zdenerwowany i gdyby go ktoś teraz zobaczył z tą zmarszczką między brwiami i zaciśniętymi szczękami, powiedziałby, że takie twarze mają brutale o morderczym zacięciu. Chytra inteligencja, która hamowała w nim dzikość na rzecz ambitnej chciwości, była chwilowo w zawieszeniu. Niektóre niebezpieczne sytuacje rozpętywały w nim strach i furję, dzięki której potężne, zwierzęce natury rozwiązują powikłania życiowe.

Na dolnym Broadway'u zostawił auto przed olbrzymim gmachem biurowym, wszedł do środka i pojechał windą na trzynaste piętro. Tu zatrzymał się w korytarzu, na który wychodziły drzwi z nazwiskami adwokatów: Cadwallader, Jenkins, drugi Jenkins i Kitts.

Wszedł dopiero po dłuższej chwili, gdy udało mu się opanować drganie twarzy.

Godziny urzędowe skończyły się już tak dawno, że nawet sprzątaczką odeszła. Prawie cały lokal tonął w ciemnościach i świeciło się tylko za oszklonymi drzwiami dużej prywatnej kancelarii jednego z adwokatów, jak wynikało ze złożonego napisu — Kittsa.

Crock znów zawahał się dłuższą chwilę, po czym zdecydował się i szarpnął nagle za klamkę.

Przed nim stał C. B. Allen. Widocznie przechadzał się po pokoju, bo poza, w jakiej go zobaczył Crock, wskazywała na to, że stanął jak wryty i że musiał być silnie zdenerwowany.

— Co, u wszystkich diabłów — rzekł tym samym tonem co

w pociągu, tylko bardziej gniewnym. — Dlaczego mnie pan nachodzi?

Crock wyciągnął grube cygaro, odgryzł koniec, spróbował palić, skrzywił się, wyjął cygaro z ust i teraz dopiero spojrzął na Kittsa. Ale już nie z taką unізonością jak w pociągu. Tamten Crock i ten to byli dwaj różni ludzie.

— Panie Kitts — rzekł zniżonym głosem, który gotował mu się w gardle, jak pomruk dzikiego zwierzęcia — pan chciał, żebym napuścił na Galta Gansa. Ja i Gans wyśledziliśmy, gdzie on mieszka — w Klubie Saragossa na Czterdziestej Szóstej. Posłałem Gansa, żeby się czegoś dowiedział, ale sekretarz klubu nie dał się nabrać na policyjną odznakę.

W rezultacie Gans zmuszony był dać mu w mordę i ratowaliśmy się obaj ucieczką. Jest pan teraz zadowolony?

Kitts patrzył na niego przenikliwym wzrokiem, uśmiechając się jadownicie.

— Czy pan zapomniał, kogo musimy zadowolić? Przekażę pański raport naszemu wspólnemu przyjacielowi. Jeżeli on będzie zadowolony...

Rozpostarł ręce ironicznie przyjaznym gestem. Crock zbladł, ale zaraz opanował się i podszedłszy bliżej, zajął Kittsowi w oczy.

— W takim razie przekaz mu pan również resztę mego raportu — rzekł z naciskiem. — Niech się dowie, że ten Galt czytał to co pan, i że aby jeszcze lepiej przejrzeć pana charakter, sprowokował z panem kłótnię. To pan wie. Tego pan tylko nie wie, że Galt poszedł prosto z pociągu do Biblioteki Publicznej, że tam szukał w różnych spisach pańskiego adresu pod literą A, że — no, to jest najgorsze — czytał książkę, pod tytułem „Chorobliwe objawy i uleganie przymusom”, którą miał pan z sobą w pociągu. Jednym słowem wziął się do pana na serio. A teraz przekażę złą nowinę. Galt przejrzał wszystkie dzienniki, które pisały o pułkowniku Wilhelmie Grangerze, i przestudiował tę sprawę szczegółowo.

Kitts zmiażdżył Crocka piorunującym spojrzeniem, lecz on, nie dając się nastraszyć, ciągnął dalej:

— Tylko bez tych min, panie Kitts. Nie nastraszy mnie pan. Pan wie, kogo on zgani za to, że Galt zainteresował się Grangerem. Zaraz — pan ma się załatwić z Grangerem w ten czwartek, prawda? Otóż, jeżeli pan przekaze mój raport naszemu przyjacielowi — cały raport, bo ja tego dopilnuję, i jeżeli panu nie uda się wiadomy numer z Grangerem, to pan wie, co się z *panem stanie*? Pan rozumie?

Twarz Kittsa stała się purpurowa. Przez chwilę zdawało się, że gniew jego wyładuje się w uderzeniu, ale tak się nie stało. Miał to szczęśliwe usposobienie, że refleksja szła u niego zawsze w ślad za pasją i sprowadzała uspokojenie. Opamiętał się więc i tym razem mówiąc:



— Przystąpmy do rzeczy, panie Crock, pan wie, jak on szaleje, gdy mu się coś nie uda. Pan wie, co on by powiedział, gdyby się dowiedział o Galcie i gdyby nam coś popsulo wiadomą robotę. On nie poprzestałby na naganie. Wykończyłby nas obu. Musi pan przyznać, że i pan nie wyszedłby cało z tego piekła.

Crock milczał tak długo, że zgasło mu cygaro, ale był tak zamyślony, że tego nie zauważył. Wreszcie podniósł oczy na Kittsa i rzekł, już także bez udawania:

— Tak!

Kitts odetchnął z pewną ulgą.

Dobrze — rzekł cicho — więc działajmy w porozumieniu? Niech pan się dowie wszystkiego o tym Galcie. Jeżeli skurwiel nie działa na własną rękę, tylko dla kogoś — względnie ma współników — no to naturalnie my nie ponosimy winy i on musi się o tym dowiedzieć. Czy mam rację?

Crock skinął wolno głową.

— Ale, jeżeli Galt działa sam — w głosie mówiącego zabrzmiała jakaś złowieszcza nuta. — Jeżeli Galt działa sam — powtórzył — to w takim razie nasz przyjaciel niekoniecznie musi się o tym dowiedzieć.

Crock zająrzył mu w oczy.

— Czy to ma znaczyć, że pan pozwoli Galtowi działać? — zapytał.

— Naturalnie, że nie pozwolę — mruknął Kitts. Crock przymrużył oczy.

— Więc co? — zapytał.

— To — odparł jedwabnym głosem Kitts — to, że nie pozwolimy mu bruździć.

Crock nie zapytał w jaki sposób. Wyczytał to w morderczym uśmiešku Kittsa i w wyrazie jego oczu i ust.

— Zastanówmy się tylko — mruczał Kitts, trąc się delikatnie po brodzie. — Wyskrobek Eiler został właśnie uniewinniony w Chicago. Mógłby tu być w środę wieczorem, prawda?

— Mógłby — odpowiedział z ociąganiem Crock.

— W oczywisty sposób spieprzył ostatnią robotę i dał się złapać na gorącym uczynku, ale każdemu może się to zdarzyć. Należy mu się druga szansa... co pan na to?

Crock sięgnął nerwowo po drugie cygaro, schował je z powrotem do kieszeni kamizelki, mlasnął wargami, obrócił w rękach przycisk, wzięty z biurka Kittsa i wreszcie podniósł niespokojne oczy ku jego twarzy.

— Panie Kitts, mnie się to nie podoba — rzekł z drżeniem w głosie.

— Pan            Tak? — zapytał z lekką ironią. — Więc może masz pan lepszy nienawi sposób na Galta? Taki sposób, żeby mu się nic nie stało, ale żeby został dzi    unieszkodliwiony. Jeżeli masz pan taki sposób — dokończył z uniesie Galta    i niem — to dobrze!.

teraz nie    Crock, silnie zdenerwowany, usiadł na krześle, zerwał się, jak przema podrzucony sprężyną i zaczął krążyć po gabinecie. Kilka razy otworzył wia    usta, chcąc coś powiedzieć. Kiedy wreszcie stanął przed Kittsem, czoło przez    jego było zroszone kroplami potu, a oczy zgaszone.

pana            — Nie mam innego sposobu — rzekł.

rozsąde

k,    lecz

nienawi

ść.

Kitt

s

cof

nął

się

o

kro

k i

zmi

erzy

ł go

zim

ny

m

spoj

rzen

iem.

—

Z oczu Kittsa strzeliły błyskawice.

— To znaczy — odparł prawie szeptem — że nie mamy co dłużej głądzić.

## ROZDZIAŁ II

### W godzinie triumfu

Nowemu Jorkowi przybył jeszcze jeden drapacz chmur, zakończony tarasem i zwieńczony złotym posągami samotrackiej Nike, który obracał się za najłżejszym podmuchem wiatru. Opinia publiczna orzekła, że wybudowanie tego olbrzyma w części miasta ubogiej w drapacze chmur, było w stylu „Powietrznego Grangera”. Tu przynajmniej miał dużo przestrzeni, bo otaczające go domy sięgały zaledwie do piętnastego piętra, a wyżej nie było już nic.

W jego stylu było także zainstalowanie biur na trzydziestym siódmym piętrze. Miał manię nie tylko na punkcie dużych pokoi, ale i rozległych widoków z okien. Inaczej czuł się beznadziejnie nieszczęśliwy.

Jego prywatny gabinet miał rozmiary sali balowej, proporcjonalne, co prawda do jego ogromnego wzrostu i nieokiełznanej żywiołowości. Natura obdarzyła go hojnie we wszystkie przymioty potrzebne człowiekowi do szczęścia. Był zdrowy, silny, niezwykle żywotny, inteligentny, bardzo przystojny i lubił żarty, walkę i hazard. Pomimo, że miał już pięćdziesiątkę z okładem, mówiono o nim stale, jako o człowieku z przyszłością.

Tego dnia był jeszcze w lepszym humorze, niż zwykle. Chodząc po gabinecie pokazywał plany architektoniczne porozkładane na biurku i porozwieszane na ścianach i objaśniał je córce, która przysłuchiwała się temu z radosną dumą. Byli do siebie tak podobni, jak mogą być do siebie podobni ojciec i córka, tylko, że gdy on miał budowę atlety, ona wyglądała jak Diana.

Oboje mieli jednakowe, ogromne, błyszczące, głęboko osadzone, szarozielone oczy, tylko, że jej spojrzenie mówiło o młodej nadziei szczęścia — miała dwadzieścia sześć lat — a jego o triumfie życia. Z tym wszystkim jedno i drugie miało w oczach jakby przecucie tragedii. Coś nielogicznego, a jednak

uchwytnego.

Mieli również jednakowe, wesołe usta, energiczne podbródki, szerokie kości policzkowe i miedzianobrazowe włosy; ojciec — bujną niesforną czuprynę, córka — gładką, mocno przylegającą, podobną do hełmu fryzurę. On był opalony, ona rumiana.

Plany architektoniczne dotyczyły domów dla robotników, jakie miały powstać z inicjatywy pułkownika tam, gdzie teraz rozciągały się nędzne zaułki.

Patrz, Gail, jakie obszerne sypialnie — rzekł pułkownik.

Wspaniałe co?

Młoda dziewczyna popatrzyła na ojca z wyrazem żartobliwej bezradności.

— Doprawdy, tatuś trochę przesadza na punkcie wielkich pokoi  
odpowiedziała. — Chociaż ja mam tę samą manię.

Pułkownik odetchnął pełną piersią.

— Człowiek nie jest stworzony, żeby żyć tak jak kret rzekł dźwięcznym głosem. — Człowiekowi potrzeba przestrzeni, przestrzeni, przestrzeni... Taki jest mój program budowlany. Co ja miałem za przeprawy z architektami. Zarzucili mi dziwactwa, niepraktyczność... Orzekli, że taka budowla, jak ta, w której teraz jesteśmy, jest nie do pomyślenia. Wziąłem więc linię i ekierkę, sam sporządziłem część planów i kazałem im budować. To samo miałem z inżynierami. Musiałem pracować za nich, bo nie chcieli uwierzyć, żeby moje pomysły były wykonalne...

Tatuś zawsze chce być pierwszą osobą, na weselu panem młodym, a na pogrzebie nieboszczykiem...

Żart ten zgrzytnął jakoś niemile w uszach pułkownika, bo nie pozwolił jej dokończyć.

- Gail, na moim pogrzebie chcę być garstką popiołów, niczym więcej. Urny nie chcę. Niech moje prochy będą rzucone w przestrzeń ze szczytu tego gmachu. Pamiętaj. Gail opanowała się szybko.

— Założę się — rzekła żartobliwie — że w tej chwili tatuś zazdrości Skrzydlatej Nike na dachu, bo ona ma więcej powietrza, niż tatuś tutaj w gabinecie... Gdzie jest plan bloku nr 4? O, tam na ścianie...

Chciała wstać z krzesła ale przytrzymał ją za ramiona.

— Ja go zdejmę, córeczko. Ty powinnaś szanować swoje stare kości.

Gail popatrzyła za nim, śmiejąc się wesoło.

— Powinien tatuś jeździć po tym gabinecie na wrotkach, żeby nie tracić czasu. Kupię tatusiowi na gwiazdkę.

— Na gwiazdkę urządzimy ucztę dla rodzin robotniczych, które skorzystają z naszej fundacji — rzekł. Dasz je jakiemuś malcowi.

— Więc tatuś przypuszcza, że na Boże Narodzenie te wszystkie domy będą już gotowe? — wykrzyknęła. — Ależ to byłby cud!

— Kochanie, ja umiem czynić cuda!

Westchnęła z rezygnacją.

— Och, tatusiu, tatusiu, aż się boję...

Objął ją ramieniem.

— Pozwól mi się cieszyć, maleńka — rzekł dziwnie żalonym głosem. — Odbijam sobie te czasy, kiedy... kiedy było ze mną bardzo źle.

Pocałowała go ze skrucą.

— O, znam to uczucie, tatusiu! Niech się tatuś cieszy. Zasłużył sobie tatuś na triumf. Wolno się tatusiowi cieszyć.

W jej poważnym głosie zadźwięczała nuta dumy.

— Dokonałem dzieła, Gail, a może raczej dokonam za kilka miesięcy. Wszystko tak urządzę, ażebyś ty nie miała w razie czego najmniejszego kłopotu!

Gail posmutniała.

— Tak, wiem, że tatuś myśli o wszystkim! — powiedziała to tonem wymówki, że dla niej nie pozostało nic do zrobienia.

Potrząsnął ją łagodnie za ramiona.

— O, niewdzięczne dziecko — i dodał poważnie: — nie bądź niemądra. Gail! Mogę ci zabezpieczyć byt materialny, ale nie mogę cię zabezpieczyć przed niespodziankami życia. Jako moja córka, będziesz prawdopodobnie igrała ze szczęściem wbrew zdrowemu rozsądkowi. Mamy pod tym względem jednakowe usposobienie.

Popatrzyła na swoje wysmukłe palce, nie ozdobione żadnym pierścieniem.

— Alan to nie hazard, tatusiu — szepnęła. - Każda kobieta mogłaby z nim być szczęśliwa. Taki dobry, przystojny i kocha mnie z całego serca. A ja — uwielbiam go. Więc gdzie tu jest hazard? Nie wyraziłam jeszcze ostatecznej zgody, ale on jest cierpliwy i umie czekać!

Pułkownik przysiadł na skraju biurka.

— Niezły chłopak — rzekł — pod wieloma względami przypomina mi twoją matkę. Ona też była oddana, wierna, zrównoważona, pogodna i rozsądna. Kochała mnie, a ja ją ubóstwiałem. Poznaliśmy się jeszcze za czasów szkolnych. Byłem wtedy zbyt biedny, żeby się ożenić...

Zawahał się, czy powiedzieć córce to, co ciążyło mu na sercu brzemieniem



wstydu.

— Po skończeniu studiów — ciągnął dalej — wyruszyłem do Meksyku na poszukiwanie fortuny. Ona, żegnając się ze mną, rzekła: „Billu, nie uważaj się za związanego ze mną, ja poczekam, żeby się przekonać, czy po powrocie będziesz taki sam, jak jesteś... Rozumiesz? Wtedy pomówimy!” A trzeba ci wiedzieć, Gą,il, że już jej się przedtem oświadczyłem!

Otóż... w Meksyku poznałem inną kobietę, trochę starszą ode mnie, pół Meksykankę, pół Amerykankę, właścicielkę kopalń srebra, które odziedziczyła po ojcu. Była bogata, ale nie stworzona do szczęścia. Życie było dla niej miłosną furją. Musiała stale kochać, ale miłość jej była tak

gwałtowna, że nie mogła długo trwać. Ciągłe potrzebowała zmiany. Zakochała się we mnie, a ja uległem jej czarowi.

Wiedziałem, że życie z nią byłoby hazardem bez nadziei wygrania. Gail, ja mam hazard w krwi. Ta kobieta usidliła mnie dlatego, że była niebezpieczna.

Naturalnie stało się to, co musiało się stać. Nie wiedziałem, że pewien młody facet szalał za nią. Nigdy o nim nie słyszałem i nigdy go nie widziałem. Musiała mu widocznie odmówić swych wdzięków, bo któregoś dnia pojawił się, zastrzelił ją i uciekł. Nie wiem, co się z nim stało. Po jej śmierci zdałem sobie sprawę, że kochałem się w niej nie jak w kobiecie, lecz jak w niebezpieczeństwie.

Ponieważ trochę się już dorobiłem, wróciłem do twojej matki i wyznałem jej swą zdradę. „Jesteś wolna — rzekłem — bo nie jestem godzien twojej miłości. Wyrzekłem się szczęścia dla hazardu!” Ona mi odpowiedziała: „Nie, Billu, jesteś teraz więcej wart, niż kiedykolwiek, skoro myślisz, że ja jestem szczęściem. I zresztą — nie łudź się! Billu, ty w dalszym ciągu grasz! Nie wiesz, czy się mną nie znużysz. Nie wiesz, czy ja się tobą nie rozczaruję!”... Gdyby żyła, powiedziałbym jej teraz, że w naszym małżeństwie nie było hazardu!... Żyliśmy ze sobą dwadzieścia lat!... Alan, jest tak samo bezcenny, jak ona, mówię ci, Gail. Ale nie mam nadziei, że skorzystasz z mego doświadczenia.

Pocałowała go w czoło.

— Niech się tatuś nie martwi. Nie wyprawię się dziś na poszukiwanie niebezpieczeństwa i proszę, żeby tatuś był na podwieczorku w domu. Jeżeli tak, to się zaraz wyniosę, żeby tatusiowi nie przeszkadzać.

Będę punktualnie o piątej — rzekł. — A przygotuj mi przynajmniej tysiąc sucharków i tonę marmolady pomarańczowej.

Uścisnęła go i wybiegła.

Zabrał się do pracy jak zerwany z uwięzi. Podyktował list maszynistce, dokonał jakiegoś obliczenia, wpisał do notatnika kilka uwag, i pobiegł w drugi koniec sali po jakiś przedmiot, który mogła mu podać sekretarka. Bił z niego nadmiar energii i żywotności. Może dlatego miał taki pociąg do urządzeń elektrycznych, że sam był jak nigdy nie rozładowujący się akumulator.

Powróciwszy do swego biurka, obejrzał się, jakby czegoś szukając. W ścianie ze jego krzesłem mieściła się ogromna stalowa nisza, której drzwi były w tej chwili otwarte na oścież. Wnętrze jej miało rozmiary niewielkiego pokoiku.

Ale zamiast wstać i wziąć osobiście potrzebną rzecz, nacisnął przycisk na biurku, odszedł w drugi koniec gabinetu i zaczął przyglądać się planom rozwieszonym na ścianie.

Zjawił się sekretarz.

— Słucham, panie pułkowniku?

Granger udał ogromnie pochłoniętego planami.

— Harry, wydobądź mi z szuflady D teczkę z napisem „Ben son”, czy też „Towarzystwo Karlińskie”. Nie pamiętam. Masz tu klucz.

Sekretarz wziął klucz i wszedł do niszy, zastanawiając się nad dziwactwem swego szefa. Wiedział, że pułkownik był bardzo niecierpliwy i wołał osobiście załatwić różne drobne rzeczy, niż czekać, aby go wyręczył personel biurowy. Jeżeli jednak trzeba było pójść po coś do stalowej niszy, zawsze po kogoś dzwonił. Nie będąc psychologiem, sekretarz uznawał to zagadkowe postępowanie za dziwactwo. Nie mogąc znaleźć żadnych papierów zawołał z niszy:

— Panie pułkowniku, nie widzę nigdzie tej teczki.

— W takim razie wyjmij szufladę i postaw mi ją na biurku.

Sekretarz zrobił, co mu kazano i wyszedł. Granger zabrał się z powrotem do pracy.

Zadzwoił telefon.

— Panie pułkowniku — zabrzmiał głos sekretarza — sędzia Wicks telefonuje do pana.

— Dobrze. Przełącz go i odnieś z powrotem szufladę D do niszy.

Pułkownik powitał wesoło swego przyjaciela, sędziego Wicksa z sądu okręgowego.

— Pewnie chciałbyś odbić swoją partię golfa, Samie — rzekł. — Czy odpowiada ci sobota po południu?

Ale sędzia nastrojony był poważnie.

— Nie, nie o golfa mi idzie. Zaraz będę u ciebie.

— Proszę cię bardzo, ale dlaczego mówisz takim głosem, jakbyś miał mnie zaprosić na krzesło elektryczne?

— Za dziesięć minut będę — będziemy.

Pułkownik Granger zdziwił się przelotnie, uroczystym tonem przyjaciela,

ale miał w życiu tyle ciężkich przeżyć, w tym udział w wielkich bitwach Wojny Światowej, że nauczył się nie zakładać z góry żadnych złych ewentualności.

W kwadrans później sekretarz zameldował sędziego Wicksa i jakiegoś pana.

— Proś!

Wszedł siwowłosy sędzia Wicks, a za nim nie znany Grangerowi facet.

— Na miłość Boską, Samie! — wykrzyknął Granger. — Czy przyszedłeś tu odprawiać żałobne modły? Bój się Boga, człowieku, nie widziałem cię nigdy z taką miną.

Proszę cię, Wilhelmie — rzekł sędzia bez uśmiechu — to jest pan Merton z departamentu sprawiedliwości.

Bardzo mi przyjemnie poznać pana — odparł Granger, ściskając rękę nieznanego i zapraszając obu gestem, aby usiedli. — Teraz, Samie, mów, co masz na wątrobie.

Sędzia Wicks wyjął z teczki urzędowo wyglądający dokument i położył go na biurku przed pułkownikiem.

— To jest — zaczął i umilkł. Nie było potrzeby objaśniania, bo papier mówił sam za siebie.

Pułkownik spojrzał badawczo na posępną twarz przyjaciela, na jego milczącego towarzysza i zaczął czytać. Dwaj goście przyglądali mu się z przykrym zakłopotaniem. Nagle z oczu czytającego strzeliły ostre błyski, a brwi ściągnęły się w groźną bruzdę. Wydał okrzyk niedowierzania i skończywszy, przeczytał dokument jeszcze raz, po czym wstał.

— Co to ma znaczyć, Samie? — zapytał niepewnie.

Sędzia Wicks odpowiedział ostrym głosem, nie z powodu gniewu, lecz, żeby pokryć własne zażenowanie.

— To chyba jasne!

Więc... Więc... chcecie mnie naprawdę zabrać ze sobą? Chcecie mnie aresztować?

Rozumiesz, mój drogi... — zaczął sędzia Wicks — postaram się, żeby się to odbyło możliwie dyskretnie... Granger nie usłyszał.

Chcecie mnie aresztować? — zapytał Mertona. Przedstawiciel departamentu sprawiedliwości chrząknął nerwowo. Panie pułkowniku, złożenie kaucji będzie kwestią kwadransa. Sędzia Graham czeka, żeby to załatwić jak najszybciej...

— Jestem aresztowany — rzekł Granger, patrząc oczami duszy w przeszłość.

Należał do tych ludzi, którzy walczą nie tyle z nienawiścią, ile dla osiągnięcia swoich celów. Ale walka absorbuje ich do tego stopnia, że zapominają o wszelkich granicach. Narody o podobnym charakterze najeżdżają na kraje neutralne, aby tym łatwiej dosięgnąć nieprzyjaciela, a jednostki

krzywdzą postronnych ludzi, którzy znajdują się przypadkowo na ich drodze. Pułkownik Granger walczył prawie zawsze zwycięsko — z najzawziętymi przeciwnikami spośród rekinów finans-jery i ani on, ani oni nie liczyli się z procedurą prawną, a nawet nie cofali się przed ewentualnym bezprawiem, chociaż sam cel sporu bywał najzupełniej legalny. Nakaz aresztowania odnosił się do przestępstwa popełnionego przed dwoma laty. Było to właściwie czysto formalne i drobne przekroczenie przepisów, ale np. kierowca, który nie zastosuje się po prostu do przepisów kodeksu drogowego i wskutek tego zabije

człowieka, choćby zupełnie przypadkowo, ryzykuje ciężkim wyrokiem sądowym.

Pułkownik Granger zwrócił się do Mertona:

— Czy mógłby pan zostawić mnie sam na sam z sędzią Wicksem na dziesięć minut? — zapytał.

— Ależ, proszę, panie pułkowniku — odparł tamten wstając i wychodząc z gabinetu.

— Samie — zaczął pułkownik — nie wiedziałem, że mam jakiegoś zacieklego wroga. Walczyłem, ale czyja zwyciężyłem, czy mój przeciwnik, zawsze tak załatwiłem sprawę, żeby między nami nie pozostała poważniejsza uraza. Kto zainteresował się tą sprawą i dlaczego?

Sędzia Wicks potrząsnął głową.

— Myślałem, że ty mi to wyjaśnisz — odpowiedział. — Departament sprawiedliwości otrzymał anonimowe oskarżenie, zaopatrzone precyzyjnie we wszystkie potrzebne dane. Starano się dowiedzieć, kto je przysłał, twoi potężni przyjaciele w Waszyngtonie, robili ogromne starania, żeby dociec, kto się na ciebie wziął i z jakiego powodu. Myśleli, że może uda się temu jakoś zaradzić. Ale ponieważ nie udało im się niczego wyświecić, departament musiał działać.

W trakcie słów przyjaciela twarz pułkownika pokryła się śmiertelną bledością.

— Ależ, mój drogi — rzekł sędzia — wszak ty jesteś człowiekiem walki. Masz sposoby, masz olbrzymie wpływy. W najgorszym razie mogą cię...

— Skazać na karę pieniężną? — pochwycił skwapliwie pułkownik. — O, niechby, nawet jak najwyższą!

Sędzia Wicks przeszedł się po gabinecie.

— Obawiam się... — zaczął i nie skończył. Pułkownik patrzył na niego przerażonym wzrokiem.

— Że mnie zamkną w celi? — zapytał.

— Tylko tymczasowo — mruknął sędzia.

— W celi?



— Twoja dobra reputacja przeważy wszelkie złośliwe komentarze.  
— W celi — powtórzył dziwnie wysokim głosem pułkownik.  
— Na Boga, Wilhelmie, niejeden potentat był karany więzieniem i korona mu z głowy nie spadła — rzekł sędzia takim głosem, jakby jemu samemu groziła kara, a pułkownik odbywał nad nim sąd.

W oczach Grangera świeciła taka groza, jak w oczach schwytanego w potrzask zwierzęcia.

— W celi — szepnął.

Patrzył w przestrzeń wzrokiem człowieka, który zobaczył widmo. Nagle obudził się w nim instynkt walki.

Za telefonował do sekretarza:

Proś pana Mertona!

Przedstawiciel departamentu sprawiedliwości wszedł do gabinetu. Jestem gotów iść z panami — rzekł pułkownik — tylko jeszcze wyjmę pewne papiery z niszy.

Spokojne brzmienie jego głosu zrobiło na sędzim niepokojące wrażenie. A już dziwne światło w oczach było po prostu przerażające.

Pułkownik stanął przed niszą i przez chwilę nie wchodził. Zupełnie jak gdyby nisza była grobem, w którym miano by go pochować żywego. Jego czoło pokryło się kroplami potu. Sędzia Wicks doświadczył nagle uczucia, że wszystkie te objawy, tak niezgodne z charakterem pułkownika Grangera, nie mogły mieć nic wspólnego ze strachem człowieka zagrożonego więzieniem, czy niesławą.

I Merton nie spuszczał oczu z twarzy pułkownika, na której malowała się potworna walka. W końcu Granger wszedł do niszy, ale w taki sposób, jakby zmuszał się do każdego kroku.

Pochylił się nad niedużą szufladą.

Merton i Wicks nie spuszczaali go z oczu.

Pułkownik wyjął szybko z szuflady rewolwer i przycinał lufę do serca.

— Billu! — wrzasnął sędzia.

Ale już było za późno.

Stalowe sklepienie powtórzyło echem huk wystrzału i nim obaj prawnicy dobiegli do niszy, pułkownik leżał już martwy na podłodze. Sędzia Wicks spojrział na Mertona.

— Nie rozumiem — wyjąkał — żeby, żeby taki człowiek, jak on... Merton ukląkł i pochylił się nad ciałem.

— Zatelefonuję po lekarza — zaczął — nie, nie warto.

W ciągu minuty wieść o samobójstwie rozeszła się po całym budynku. Merton zatelefonował po koronera i policję. Ich bytność trwała krótko, gdyż naoczni świadkowie wypadku, sędzia okręgowy Wicks i pracownik departamentu sprawiedliwości, Merton, zeznali, że zmarły popełnił

samobójstwo.

Tymczasem zrozpaczony sekretarz Grangera, Andrews zastanawiał się w jaki sposób zawiadomić córkę lubianego szefa, że została sierotą. Chciał jej oszczędzić wstrząsu i nie wyobrażał sobie, żeby to było możliwe. Śmierć jest zawsze śmiercią, choćby się ją ubrało w najdelikatniejsze słowa. Nie wiedząc, jak sobie poradzić, pośpieszył do biura Towarzystwa Technicznego Rhodesa, mieszczącego się w tym samym gmachu.

— Muszę się natychmiast zobaczyć z panem Rhodesem — rzekł i, odpychając sekretarza, wpadł do gabinetu jego szefa.

Zza biurka podniósł się młody człowiek, na oko ni to myśliciel, ni to

człowiek czynu. W twarzy jego uderzało szerokie czoło, przenikliwe, szare oczy i wyraz cierpliwości i siły w połączeniu z wrażliwością i szybkim refleksem.

— Panie Rhodes — zaczął Andrews i zakomunikował jednym tchem hiobową wieść.

W oczach Alana Rhodesa odbiło się przerażenie. Przerywając sekretarzowi w połowie zdania, zapytał szybko:

— Policja zawiadomiona?

— Wszystko już załatwione — odparł Andrews. Tylko jeszcze panna Gail nie wie.

— Ja ją zawiadomię. Dziękuję panu.

Andrews wyszedł, a Rhodes porwał słuchawkę telefonu i kazał się połączyć z mieszkaniem Grangerów.

— Gail — rzekł łagodnie, usłyszawszy głos dziewczyny mam dla ciebie smutną nowinę. Chciałem, żebyś ją słyszała z moich ust.

Usłyszał okrzyk przerażenia i głos zamilkł. Cisza sprawiła, że jego twarz pokryła się szarą bledością. Wreszcie Gail rzekła jako tako mocnym głosem:

— Ojcu coś się stało. Czy ranny. Alanie?

Zawahał się i to było wymowniejsze niż słowa. Zrozumiała.

— Gail, zaraz będę u ciebie...

— Nie żyje!

Nastąpiło ciężkie milczenie. Alan pierwszy odzyskał mowę.

— Zaraz tam będę.

— Dziękuję ci kochany. — Wolałby, żeby się tak nagle nie opanowała, to było niebezpieczne. — Aleja sama zaraz przyjadę... I położyła słuchawkę.

Samobójstwo pułkownika Grangera dostarczyło prasie codziennej obfitego żniwa sensacji. Wszystkie pisma rozpisywały się o jego namiętności do szerokiej przestrzeni i dalekich widoków. O jego popularności nawet wśród pokonanych przeciwników i o mściwości losu, który zesłał mu śmierć właśnie w godzinie triumfu.

Jednakże sam fakt samobójstwa przedstawiał się niezrozumiale. Miano go aresztować za naruszenie prawa i to było normalne, ale cieszył się tak wielką popularnością, że jego przestępstwo i samobójstwo nie pasowały do opinii, jaką miało o nim społeczeństwo; ponadto śmierć jego była ciosem dla wspianego przesiewzicia budowlanego imienia jego córki, więc pismacy nie wiedzieli, czy go wysławiać, czy potępiać.

Pułkownik Granger zastrzegł sobie za życia, jak ma być pochowany. Zajęła się tym Gail. Nie było żadnych uroczystości.

Gail wyszła z biura na ulicę, gdzie czekał już samochód z za-

utoniętymi szymbami, mający ją zawieźć do domu, na Staten Island. Nie była w żalobie, gdyż ojciec prosił ją kiedyś, niby to żartując, żeby jej po nim nie nosiła. Ale w ciemnych głębiach jej oczu kryła się cicha rozpacz osamotnienia.

Jur Channers, szofer, prowadził auto ostrożniej niż zwykle. Pomimo, że na jego twarzy nie odbijało się żadne uczucie, to głęboko współczuł osieroconej panience. Był to ogromny, kościsty chłop, nie Amerykanin, lecz Anglik z Yorkshire, z rodziny farmerów. Brak oka, które stracił pod Ypres, nie dyskwalifikowało go jako dobrego kierowcy. Pod tym względem był prawdziwym skarbem, widział jednym okiem więcej, niż inni dwoma.

Samochód przyspieszył biegu w opustoszałym kanionie dolnego Broadway'u, a potem przepłynął promem przez zatokę na wyspę Staten. Tu, jadąc do Tompkinsville, wspiął się na wysoki cypel, panujący nad cieśniną New Jersey i Atlantykiem.

Prywatna rezydencja pułkownika, wybudowana według jego własnego projektu, przedstawiała się wspaniale. Samo otoczenie było niezwykle rozległe, a dojazd imponująco szeroki. Dom był w stylu angielskim, z tą różnicą, że olbrzymie, gęsto uszeregowane okna, nadawały mu niemal pałacowy charakter.

Jerry Channers, bliźniaczy brat Jura, otworzył drzwi frontowe. Pułkownik przywiózł ich sobie z Wielkiej Wojny. Obaj byli milczący, spokojni, potężnie zbudowani, inteligentni, łagodni i pełni godności, łączącej się z pewną uniżnością wobec chlebobawców, które to cechy spotyka się tak często u służby angielskiej. Teraz odnosili się obaj do Gail subtelniej i łagodniej, niż kiedykolwiek.

Idąc szerokimi schodami na górę do swego pokoju, Gail usłyszała głos swej sekretarki, panny Willard, cichej zazwyczaj dziewczyny, kłócącej się z kimś gniewnie przez telefon.

— Jeżeli pan jeszcze raz zadzwoni, to dowiem się kim pan jest i dam znać policji! — rzekła, rzucając z hałasem słuchawkę. To zachowanie się było tak bardzo nie w jej stylu, że Gail przystanąła i zapytała:

— Co się stało, panno Blanko?

— Znowu telefonował ten wariat — odpowiedziała wzburzonym głosem sekretarka. Telefonuje co kwadrans od dwóch dni i ciągle pyta o to samo. Chce, żebym mu podała wymiary sypialni ojca pani. Zapytałam, po co mu to potrzebne. Warknął na mnie tak, jakbym to ja go prześladowała. „To pani nie obchodzi. Proszę mi udzielić informacji”. Już mam tego dość. Może to nieszkodliwy idiota, ale działa mi na nerwy. Jeżeli jeszcze raz zadzwoni, to każę Jerry'emu dowiedzieć się skąd dzwoni i powiadomię police. Czy mogę to zrobić, panno Gail?

Gail skinęła głową i odeszła do swego pokoju.

Tu, nie zdejmując płaszcza i kapelusza, usiadła na framudze ogromnego potrójnego okna. W pokoju było ciemno, za oknem rozciągał się nocny widok na port, na Hudson i na wyniosłe zręby drapaczy chmur, strażujące nad dolnym Manhattanem, nad którym już zapadła cisza godziny spoczynku. Na dość dalekim planie migotało ze szczytu wieżowca Grangera stalowo niebieskie światło, podobne do wielkiej gwiazdy.

W końcu wstała, aby zejść na dół. W chwili, gdy przechodziła koło drzwi pokoju ojca, otworzyły się one i na schody wyszedł jakiś nieznajomy człowiek.

Był wysoki, chudy, ubrany bardzo niedbale i miał w twarzy coś dziwnie uderzającego.

Gail spojrzała na niego w oczekiwaniu wyjaśnienia, skąd się tu wziął, lecz on obrzucił ją tylko druzgocącym, przenikliwym spojrzeniem i nie powiedziawszy ani słowa, zaczął się oddalać.

Zastąpiła mu drogę.

— Co pan tu robi? — zapytała.

— Nic nie wziąłem i odchodzę — odparł, odsuwając ją bezceremonialnie na bok.

Gail skoczyła ku poręczy schodów.

— Jerry, Jur! Zatrzymajcie tego człowieka!

Bracia wybiegli do hallu. Nieznajomy szedł po schodach. Jerry, który właśnie naprawiał w bawialni grzejnik, miał w ręku wielki klucz francuski, jego brat szofer — rewolwer służbowy.

Nieznajomy zatrzymał się u stóp schodów z miną człowieka, który znalazł się przed wysokim murem i дума, jak go przeskoczyć.

Gail, która szła za nim rzekła:

— Zaprowadźcie go do biblioteki.

Nieznajomy wszedł szybko do biblioteki, okazując zdumiewające w danym wypadku zniecierpliwienie.

— Chciałbym już odejść — zwrócił się do Gail chyba, że pani zamierza sprowadzić policję...

— Jak się pan dostał do mego domu? — zapytała Gail.



- Przez drzwi służbowe.
- Były zamknięte na klucz.
- Otworzyłem.
- Jak pan się nazywa?
- Galt.
- Po co pan tu przyszedł?

Niesamowity gość począł tracić resztki cierpliwości.

— Prosiłem telefonicznie sekretarkę pani o drobną informację.  
Gdyby mi podała wymiary sypialni ojca pani, byłbym tu nie przychodził.

Dlaczego pan się upierał, skoro raz panu odmówiła? Gail miała sprzeczne odczucia, że dziwny intruz nie odpowiada jej, żeby ją uspokoić, lecz odruchowo, z nakazu dobrego wychowania, bo zasadniczo jest człowiekiem nie liczącym się z uczuciami innych.

Chciałem się utwierdzić w przekonaniu, że ojciec pani został zamordowany.

Gail zwróciła się do Jerry'ego.

— Wypuść tego pana, ale przypilnuj, żeby wyszedł za bramę.

I odwróciła się, żeby odejść. Galt, jakby chcąc ją zatrzymać, dodał szybko:

— Zamordowany przez kogoś, kto wiedział, że ojciec pani cierpiał na klaustrofobię.

Domyśliła się, że wyraz ten był terminem medycznym. Użycie go wskazywało, że domniemany wariat mógł być uczonym. Trochę zainteresowana zapytała:

— Czy pan czytał, w jakich okolicznościach ojciec umarł?

— Tak.

— I że sędzia Wicks i ktoś jeszcze byli naoczniymi świadkami?

— Wiem.

— I pomimo to utrzymuje pan, że ojciec został zamordowany?

Galt zbliżył się do niej, a bracia Channersowie do niego, bo w jego zachowaniu zaszła wyraźna zmiana. Przestał śpieszyć się z odejściem i całe swe zainteresowanie zwrócił na Gail. Obaj służący odczuli instynktownie, że nie zainteresował się nią wcale jako kobietą. Po prostu patrzył na nią takim wzrokiem, jakby miał przed sobą eksponat naukowy.

— Gdybym wiedział, że X jest chory na serce — rzekł, kładąc nacisk na każdy wyraz — i gdybym chciał się go pozbyć, to postarałbym się spowodować u niego jakiś silny wstrząs, który zabiłby go. Ja, naturalnie, byłbym gdzieś daleko. Naoczni świadkowie i koroner orzekliby, że zmarł śmiercią naturalną. W taki sam sposób ktoś, kto wiedział, że pułkownik cierpiał na klaustrofobię, mógł się nią posłużyć, jako pośrednim narzędziem mordu.

Gail przyjęła to oznajmienie bez specjalnego wrażenia.

— Niech pan idzie na policję, tam może zainteresują się pańską teorią.

Chciała już odejść, kiedy zobaczyła na ustach Galta kwaśny uśmiezek.

— Mam wrażenie, że pani nie wie, co to jest klaustrofobia — rzekł.

— Nic mnie to nie obchodzi.

Była już koło drzwi. Nagle, zelektryzowana jego słowami, przystanęła i zawróciła.

— Klaustrofobia polega na chorobliwym strachu przed ciasną przestrzenią. Człowiek, dotknięty nią w najostrzejszej formie, wyobraża sobie ciągle, że jest zamurowany w grobie. W ogóle zaś sama myśl o znalezieniu się w małym pokoiku, korytarzyku, czy alkuwie, przyprawia go o dreszcze, poty i palpitację.

Wygłosił to wyjaśnienie tonem człowieka, który chce zahipnotyzować słowami. Dwaj służący spojrzeli z przestachem na Gail, której twarz stała się blada jak płótno, a czoło okryło się kroplami potu. Oddychała przy tym tak szybko, jakby jej zaczynało brakować powietrza. Galt podszedł bliżej.

— Camberwell wykazał w swoim dziele p.t. „Chorobliwe objawy i uleganie przymusom”, że klaustrofobia należy do kategorii najpotężniejszych strachów, jakie mogą ośwładnąć ludzką wyobraźnię. W człowieku typu ojca pani była ona silniejszą nawet od strachu przed śmiercią... Jak większość manii, które unieszczęśliwiają ludzi, klaustrofobia przybiera pozory wprowadzające w błąd nawet samego chorego. Świat był zdania, że ojciec pani przepadał za szeroką przestrzenią z racji swojej nadzwyczajnej żywotności. On zresztą myślał tak samo. W ten sposób tłumaczono sobie jego pasję do ogromnych pokoi i rozległych widoków. On sam wierzył, że buduje swój drapacz chmur dlatego, że to dobry interes. To też była prawda.

Ale morderca dobrze się orientował, o *co* chodziło i wiedział, że ojciec pani będzie wolał się zabić, niż dać się zamknąć w ciasnej celi. Gail przesunęła ręką po czole i zwilżyła wargi.

— Jerry, Jur, zostawcie nas samych.

Bracia wyszli z pokoju, wymieniając niespokojne spojrzenia. Gail poczekała chwilę, po czym zwróciła się do Galta.

— Dlaczego pan interesuje się moim ojcem?

— Nie interesuję się ojcem pani, tylko jego zabójcą.

— Czy pan działa w porozumieniu z policją?

— Nie.

- Ale pan chce, żeby sprawiedliwości stało się zadość?
- To mnie nie obchodzi.
- Więc co pana obchodzi?
- Psychologia ludzka.
- Czy pan jest uczonym?
- Może mnie pani nazywać, jak się pani podoba.

Gail popatrzyła na niego i zrozumiała częściowo, dlaczego miała wrażenie, że jest pod mikroskopem. Ponieważ było to po prostu wrażenie miazdzące, spróbowała odwrócić jego uwagę od siebie i zwrócić ją na coś innego.

W wypadku mego ojca, nie wierzy pan w zeznania naocznych świadków? — zapytała

Technicznie było to samobójstwo, ale że z premedytacją wymuszone, więc faktycznie — morderstwo.

Osunęła się na krzesło i wskazała mu słabym ruchem drugie. Nie posłuchał.

— Nie sądzę, żeby istniał ktoś, kto pragnąłby śmierci ojca — rzekła. I finansowo, ja tylko na tym korzystam... Któż więc? Nie pozwolił jej dokończyć.

— Kanibale z plemienia Niam Niam w Afryce żywią się ludzkim mięsem. Wśród egotystów też bywają kanibale. Im bardziej taki człowiek poniża innych, tym więcej dostarcza pokarmu swemu ja. W wielu przypadkach ofiara traci także ciało. Kanibale melanezyjscy najbardziej się delektują tłustymi ciałami. W taki sam sposób, egomaniak, mający wybór, skazuje swą ofiarę na śmierć w momencie jej największego życiowego powodzenia.

Gail wstała.

— To, co pan mówi, jest absurdalne!

— Może.

Jego zupełna obojętność podziałała na nią przekonywająco. Zrozumiała, że jego wyjaśnienia nie wypływały z uprzejmości względem niej i że jeżeli jej to wszystko mówił, to w jakimś, sobie wiadomym celu. Nawet odwrócił się do niej plecami i zapatrzył w ciemne okno.

— Zainteresowałem się sprawą ojca pani — rzekł po chwili, nie odrywając oczu od dalekiego, niebieskiego światelka na trzy dni przed morderstwem. Domyśliłem się mniej więcej, na co się zanoszi.

— I nie postarał się pan temu przeszkodzić?

— Za późno było, żeby wyleczyć ojca pani z klaustrofobii, żeby zatrzymać bieg spraw sądowo-prawnych i zniweczyć intrygę.

Gail poczuła odruch nienawiści. Powiedziała sobie, że nie powinna brać tego człowieka poważnie, ale żeby ktoś mógł oczekiwać z zimną krwią na

rozwiązanie takiej tragedii — nie...!

— Co pan ma na poparcie swojej teorii?

Nagle spostrzegła, że Galt nie patrzy w przestrzeń pustym wzrokiem — lecz czegoś wypatruje. Mówiąc, zniżył nieświadomie głos i zbliżył się do okna w taki sposób, jakby chciał coś dojrzeć, a samemu nie być widzianym przez kogoś z zewnątrz, z dołu.

— Mordercy ojca pani odkryli, że zainteresowałem się ich spiskiem. Dopytywali się o mnie u sekretarza Klubu Saragossa i kiedy im się ostro postawił, ogłuszyli go i uciekli. Od tej chwili chodzą za mną trop w trop.

— Nie, jego nie można brać poważnie — pomyślała Gail, a głośno

rzekła: — Pewnie tam ktoś czeka na pana pod domem. Radzę panu dać znać policji.

Zwrócił się do niej całą twarzą.

— Nie chcę żadnej ingerencji w moje sprawy, ani ze strony pani, ani policji!

Musiał odczuć jej gniew, bo po raz pierwszy spróbował na serio przemówić jej do przekonania.

— Tylko przez tego wywiadowcę, który mnie tropi, mogę dociec, kto się kryje za tą sprawą — rzekł, stając tuż przed nią. — Tylko przez niego chyba, że...

Teraz miał jej powiedzieć, czego od niej chciał.

— Chyba, że co? — zapytała chłodno.

— Chyba, że pani zechce mi pomóc.

Nie zapytała, w jaki sposób.

On mówił dalej, jakby w odpowiedzi na pytanie: Upodobania człowieka w zakresie jedzenia są do pewnego stopnia, wskaźnikiem jego potrzeb fizycznych. To zaś, co egomaniak wybiera na strawę dla swego ja, charakteryzuje go jako człowieka.

— Co to ma wspólnego ze mną? — zapytała Gail, której przypomniało się jednocześnie niemieckie przysłowie: „Jedzenie to człowiek”.

— Jeżeli dowiem się, jakiego rodzaju człowiekiem był ojciec pani, to będzie mi łatwiej zorientować się jaki typ mógł go sobie wybrać na pożarcie.

Brutalność tej koncepcji przejęła ją mimowolnym drżeniem. Prawie wbrew własnej woli, rzekła:

— Może mogłabym powiedzieć panu o ojcu...

— Żadne dobrowolne informacje nie przydadzą mi się na nic — przerwał.

— Trochę cierpliwości, pomyślała, zaraz z nim skończę.

— Więc w jaki sposób mogłabym panu pomóc? zapytała.

Przyglądał jej się wzrokiem uczonego, który bada przez mikroskop nieznaną żyjątko. Skręcała się z dziwnego upokorzenia.

— Aby zdobyć potrzebne mi informacje, muszę zbadać charakter



ojca pani do głębin, których on sam był nieświadomy. Na przykład, ani on, ani pani nie wiedzieliście, co się kryło za waszą namiętnością do dużych, wolnych przestrzeni. Ojca pani mogą poznać przez panią.

Odparowała jego chciwe, lecz nieczułe spojrzenie zimnym wzrokiem.

— W jaki sposób chce mnie pan poznać?

— W ten, że postaram się wydrzeć pani jak najzdrośniej ukryte tajniki pani natury, nawet te, do których pani nie przyznaje się sama przed sobą.

Opanowała nadmiar gniewu. Nie chciała się przyznać nawet przed sobą, że ten obcy człowiek łączy jej duszę do samego dna.

Przypuśćmy, że udałoby się to panu — rzekła spokojnym głosem to co by mi z tego przyszło? Znam na tyle prawo, że wiem iż gdyby pan nawet zdemaskował mordercę, to nie mógłby mu pan dowieść jego zbrodni przed sądem.

Galt zamyslił się.

— Gdybym go zdemaskował — rzekł cicho — to przeprowadziłbym na nim pewne doświadczenia. Gdyby mi się udało to, co mam na myśli — to miałyby pani tę satysfakcję, że stałoby się zadość tzw. „poetyckiej sprawiedliwości”.

— Czy można wiedzieć, na czym polega „poetycka sprawiedliwość”?

— Nie.

— I co to byłyby za doświadczenia?

— Nie.

— I nie powie mi pan, jaką drogą dowiedział się pan o spisku przeciwko memu ojcu?

— Nie.

Nacisnęła dzwonek. Zrozumiał, że go wyprasza i uśmiechnął się cierpko.

Skierowała się ku drzwiom i już na niego nie spojrzała. Weszli Channersowie.

— Moja metoda poznania natury pani naraziłaby panią na męki i upokorzenia. W zamian nie obiecuję nic, oprócz ryzykownej możliwości pomszczenia ojca pani — mówił prędko Galt. — Ja osobiście nie dbam o sprawiedliwość. Zależy mi tylko na eksperymencie naukowym.

— Jerry — rzekła Gail — odprowadź pana Galta do bramy.

— Słucham, panienko

Galt, wychodząc rzucił przez ramię:

— Ale pani się boi!

Krew uderzyła jej do twarzy. Odwróciła się bez słowa do okna i usłyszawszy, że została sama, zgasiła lampę. Na ciemnym niebie zajaśniała słaba luna, bijąca od ogromnego miasta. Spróbowała otrząsnąć się z wrażenia,

jakie na niej wywarł Galt, i nie zdołała.

Wyrzwała na podjazd. Jerry eskortował Galta do bramy.

Czyjej się wydało, że z mroku wynurzyła się jakaś postać i pomknęła trop w trop za nimi? Drobna, nikła postać — nie, chyba jej się wydało. Nonsens! Ale pomimo to zapaliła lampę i zadzwoniła. Jur Channers wszedł tak szybko, że o mało mu za to nie podziękowała.

— Jur, weź wóz i dogoń pana Galta. Masz rewolwer?

— Mam, panienko!

— Chcę się upewnić, czy pan Galt powiedział mi prawdę o sobie.

Powiedz mu, że daję mu do wyboru dwie alternatywy: albo go odwieziesz do Klubu Saragossa, albo, jeżeli odmówi, na posterunek policji.

— Rozumiem, panienko!

Gail poszła do swego pokoju, silnie zdenerwowana. Kiedy pół godziny później wóz wrócił, zbiegła na dół, żeby się zobaczyć z Jurem.

— Bardzo panienkę przepraszam — rzekł szofer — ale Jerry rozstał się z nim przy bramie i wrócił. Szukałem go na wszystkich drogach, wiodących do przystanku. Przepadł, jak kamień w wodę.

### ROZDZIAŁ III

#### **Nieudana misja**

Pod względem fizycznym natura nie okazała się hojna dla Wyskrobka Eilera, ale wynalazek prochu zrównoważył u słabeuszy brak mięśni. Toteż Wyskrobek, pomimo swej chuderlawości, był zdolny do walki o byt. Posiadał pewne oko, zdolność podchodzenia, oraz gruntowne opanowanie techniki rewolwerowej. Było to zresztą jedyne narzędzie, które znał. Bez tych kwalifikacji nie dałby sobie w życiu rady. Z jego punktu widzenia świat był dzunglą, gdzie trzeba zabijać, żeby samemu nie być zabitym.

Żył wśród szumowin i działał przeważnie na własną rękę. On nikomu nie ufał i jemu nie ufano. Nieprawdą jest, jakoby przestępcy kierowali się zasadami honoru. Jeżeli ich coś kiedy łączy dla wspólnego dobra, to tylko zdrowy rozsądek. Wiedza, że czasami gromada łatwiej może coś zdziałać, niż jednostka.

Wyskrobek nie wiedział, co za ludzie ściągnęli go na robotę do Nowego Jorku, ale pracował już dla nich kiedyś razem z innymi i przekonał się że płacili rzetelnie. Wiedział też, że umieli również dotrzymać grózb.

Otrzymał wezwanie niepodpisane i zredagowane w umówiony sposób, zorganizowaną mafijną pocztą. Zastrzegano sobie tylko, żeby po raz drugi nie popełnił takiej fuszerki, jak przy zastrzeleniu sędziego w Chicago. Usunięcie świadków tej spieprzonej roboty kosztowało jego chlebodawców niemało

kłopotu. Wyskrobek wiedział, że darowano mu życie nie ze względów uczuciowych i że gdyby się znowu zbłądził to byłby skończony.

Toteż przestudiował swoje nowe zadanie bardzo starannie. Ale chudy facet, którego kazano mu tropić, był niezwykle zagadkowy. Kręcił się po mieście pozornie zupełnie bezcelowo i Wyskrobek musiał

się upewnić przed wykonaniem roboty, czy nie kryło się w tym jakieś niebezpieczeństwo.

Przez trzy wieczory Galt jeździł nad rzekę do składów kolejowych. Wyskrobek nie mógł zrozumieć, po co on się kręcił w labiryncie pociągów towarowych i ogrodzeń, gdzie trudno go było utrzymać na oku. Swoją drogą było to wymarzone miejsce do wykonania obmyślonego planu. W nocy składy kolejowe były słabo oświetlone i rzadko można było tam kogoś spotkać.

Czwartego wieczora zdecydował przed Klubem Saragossa, że tym razem Galt nie wróci ze składów kolejowych, ale spotkało go rozczarowanie, bo dziwny włóczęga zmienił marszrutę i udał się na Staten Island. Wyskrobek dobrze się nasapał, nim wdarł się za nim na wzniesienie, na którym znajdowała się jakaś bogata rezydencja.

Tu Galt zachował się bardzo dziwnie, bo zamiast iść podjazdem przed front domu, przemknął się ukradkiem na tyły i wszedł kuchennymi drzwiami, które nie bez trudu otworzył, bo były zamknięte na klucz.

Wyskrobek czekał w ciemnościach, z dala od oświetlonego podjazdu, ale blisko głównego wejścia. Posiadał dar cierpliwości, która go tym razem niewiele kosztowała. Po półgodzinnej wizycie Galt wyszedł z domu, eskortowany przez atletycznego faceta.

Facet zawrócił od bramy, bez słowa, a Galt podążył do przystani promowej. Droga prowadziła przez teren słabo oświetlony i rzadko zabudowany. Wyskrobek doznał pokusy. Tu było jeszcze bezpieczniej, niż na stacji towarowej. Nagle Galt znikł mu z oczu, tak jakby zapadł się pod ziemię.

Nie było innej rady niż iść na przystań, bo gdzież on by się podział? I rzeczywiście Galt siedział już w poczekalni i czekał na prom. W Nowym Jorku wsiadł do kolejki podziemnej i wysiadł na Columbus Circus.

Tu wszedł do restauracji, której liczne okna pozwoliły Wyskrobkowi na swobodną obserwację. Po skąpym posiłku Galt poszedł do kasy zapłacić rachunek, przy czym wyjął z kieszeni gruby plik banknotów których widok wzburzył w Wyskrobku wszystką krew. Obojętność — Wyskrobek nazwał to niedbałością — z jaką Galt schował pieniądze do łatwo dostępnej kieszeni

spodni, mogła sprowokować każdego złodzieja.

Wyskrobek nie był kieszonkowcem, uważał szperanie w kieszeniach za głupie zajęcie. Jego specjalność była poważniejsza. Ale taka okazja, jak ten plik pieniędzy zasługiwała na uwagę. Galt wyszedł z restauracji i udał się w stronę składów kolejowych. To było Wyskrobkowi na rękę.

Ale zmienił swój pierwotny plan. Gdyby nie pieniądze, poszedłby jak zwykle za Galttem, zastrzelił go zza jakiegoś wagonu towarowego i uciekł. Zdobyć łupu wymagało innej taktyki.

Gdyby wpieryw strzelił, a potem rzucił się obrabowywać trupa, nastąpiłaby zwłoka w ucieczce. Umiał co prawda działać sprawnie i szybko, ale pamiętał, że nie pozwolono mu ryzykować. W każdym razie, opróżnienie nęcącej kieszeni zajęłoby pół minuty, a strzał spowodowałby alarm i ewentualną pogon.

Obmyślił rozsądniejszy plan. Podkradnie się do typa i zażąda szeptem, pod groźbą rewolweru, żeby mu oddał pieniądze. Potem dopiero zastrzeli go i ucieknie.

Znaleźli się w ciemnym przejściu między dwoma rzędami wyładowanych wagonów i Galt zwolnił kroku. Musiał być zamyślony, bo szedł ze zwieszoną głową. W miejscu, rozjaśnionym słabym odbłaskiem dalekiej lampy, widać było, że jeden wagon był pusty, gdyż rozsuwane drzwi stały otworem. Tu Galt wrósł w ziemię, jakby pod naporem ważkich myśli.

Wyskrobek zdecydował się w jednej chwili. Pod kradł się bezszelestnie do swej ofiary i rzucił chrapliwym szeptem:

— Ręce do góry!

Głowa jego sięgała Galtowi do ramienia, ale lufa rewolweru znalazła się na poziomie serca Galta.

— Czego chcesz? — zapytał napadnięty takim tonem, jakby nagły wstrząs odjął mu oddech.

— Wykręć się do mnie prawym bokiem - rzekł Wyskrobek. Nie był nowicjuszem w tej branży, chociaż terroryzowanie gości rewolwerem nie było, ściśle mówiąc, jego specjalnością. Ale wiedział, jak się zachować w podobnej sytuacji, nie ryzykując. Potrafił uprzedzić każdy obronny gest przeciętnie sprytnego człowieka i ktoś, kto zaryzykowałby z nim walkę w takiej chwili, byłby skończonym głupcem.

Galt posłuchał, podniósł ręce powyżej głowy i obrócił się do napastnika prawym bokiem. Wyskrobek, nie odejmując lufy rewolweru od serca



napadniętego, sięgnął lewą ręką do jego kieszeni. Ale w tej chwili stało się coś nieoczekiwanego.

Wyskrobek poczuł uderzenie ostrym kolanem w podbrzusze. Jednocześnie równie ostry łokieć podbił mu rękę z rewolwerem. Mógł właściwie strzelić, ale nie przydałoby mu się to na nic, a wywołało alarm. Nim zdążył odskoczyć, Galt wyrwał mu z ręki rewolwer i wykręcił ramię w taki sposób, że szarpnięcie równałoby się złamaniu kości, albo zerwaniu ścięgna.

Galt schował do kieszeni zdobyty rewolwer i nie zwalniając okrutnego uchwytu popchnął jeńca w kierunku pustego wagonu.

I znowu stało się coś nieoczekiwanego. Koścista pięść wyrznęła Wyskrobka w szczękę i cyngiel mafijny runął na ziemię nieprzytomny.

Świadomość wróciła mu najpierw w formie tępego bólu. Poczul różnorodne zapachy towarów kolonialnych i stwierdził, że leży w wagonie towarowym, którego drzwi są zamknięte.

Chciał zmienić pozycję i nie zdołał. Był skrupowany sznurami od stóp do głów. Gdyby nie to, że odznaczał się zawsze szczurzą odwagą, byłby uległ teraz panicznej trwodze. Zastanowił się trzeźwo nad sytuacją.

Galt poszedł z pewnością po policję, i zważywszy na wszystkie okoliczności, zanosilo się na to, że fatalna przygoda skończy się długoletnim więzieniem. Wyskrobek nieraz już siedział w kiciu, i chociaż taka nowa perspektywa nie była miła, mógł się przynajmniej pocieszyć tym, że gdyby strzelił, zabił i dopiero potem był schwytyany, to byłoby jeszcze gorzej.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał zemdlny, ale wydało mu się, że drzwi wagonu otworzyły się bardzo prędko. Na tle ciemnego nieba ukazała się mroczna sylwetka, długie ręce sięgnęły do środka, wyciągnęły go i poniosły na chudych plecach, jak wór mąki.

Wiedział, że protest nie przydałby się na nic. Ale po chwili zaczął się dziwić. Człowiek, który go niósł, szedł tylko w cieniu wagonów i płotów, tak jakby unikał ludzi tak samo jak on.

— Co, u ciężkiej cholery? — zaczął Wyskrobek.

I poczuwszy na szyi ostrzegawczy uścisk chudych palców, umilkł.

Weszli w krąg przytłumionego światła i Wyskrobek zobaczył samochód, podobny do karetki pogotowia ratunkowego. Przy kierownicy siedział człowiek w białym kitlu. Ten, który niósł Wyskrobka, rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony i przeszedł krąg światła prawie biegiem. Było jasne, że nie życzy sobie spotkania z policją.

Kierowca odwrócił się i sięgnął gdzieś ręką. Jednocześnie dwoje drzwiczek w tyle karetki otworzyło się automatycznie i Wyskrobek został wrzucony do środka jak martwa rzecz. Drzwiczki zatrzasnęły się jakby same, ale Wyskrobek mógł widzieć przód auta.

Galt usiadł obok kierowcy, jak się okazało w świetle lampy, Japończyka, zdjął szybko płaszcz i ubrał się w długi, biały kitel, który nadał mu wygląd lekarza pogotowia.

Samochód ruszył i w krótkim czasie znalazł się w samym sercu miasta. Wyskrobek orientował się po światłach, hałasie i coraz dłuższych przystankach.

Mógł zacząć krzyczeć i pewnie usłyszano by go. Zdjęła go pokusa, uzasadniona bojaźliwym zachowaniem się Galta. Ale to się zmieniło.

Galt odzyskał swobodę i siedział sobie spokojnie, z miną lekarza wiozącego chorego do szpitala.

Auto wjechało w słabiej oświetloną ulicę i wreszcie stanęło.

Galt wszedł do środka, uniósł Wyskrobka, ułożył go na noszach i przykrył derką. Naturalnie nie z dobroci, lecz żeby jakiś przypadkowy świadek nie zobaczył, że pacjent jest skrepowany sznurami.

Japończyk otworzył znów tylne drzwiczki, obaj ujęli nosze i ponieśli w kierunku dwupiętrowego, ceglanego domu. Licha uliczka musiała być kiedyś modna, bo dom robił wrażenie pałacyku. Wszystkie okna były zamknięte na okiennice. Na jednym, koło frontowych drzwi widniał napis: „Dr Stefan Braddish. Przyjmuje tylko po uprzednim zarejestrowaniu się”.

I znów Wyskrobek stłumił impuls krzyknięcia o pomoc. Wiedział dokładnie, co zrobiłaby z nim policja. Nie miał pojęcia, co zamierzał Galt. W trakcie jazdy nieznane wydało mu się kilka razy gorsze od znanego, ale uspokoił się rzeczowym argumentem, że obawa Galta przed policją była atutem, który mógł wygrać przeciwko niemu, zależnie od okoliczności.

Dwaj fałszywi sanitariusze weszli na kamienne schodki do domu. Wyskrobek znalazł się w laboratorium lekarskim. Pod ścianami stały szklane szafki pełne narzędzi i nieznanej mu aparatury, a na środku pokoju stół operacyjny na kółkach. W jednej ze ścian znajdowały się nisze, zaopatrzone w oszklone drzwi, z półkami, zastawionymi butelkami i słojami, tak jak w aptece.

Wyskrobek znalazł się na stole operacyjnym i zobaczył nad sobą chudą twarz Galta. Ale nie wyczytał z niej absolutnie nic.

— Kto jest twoim rozkazodawcą? — zapytał Galt.

Wyskrobek przeżył wszelkie możliwe w życiu gangstera sytuacje, z których wyszedł zahartowany jak zielsko, zdolne czerpać soki żywotne nawet z kamienia. Nie posiadał przy tym ani za grosz wyobraźni, będącej matką strachu, i jeżeli się czegoś w życiu lękał, to tylko halucynacji, po wielkim przepiciu, lub po kokainie. Galt mógł go nastraszyć tylko czymś w tym rodzaju, niczym więcej.

— Możesz być ty! — odpowiedział.

Galt widocznie nie spodziewał się na razie niczego więcej, bo nie pytając dalej, rozwiązał mu z pomocą Japończyka ręce. Ten wyszedł z pokoju i zaraz wrócił, niosąc kaftan z ciemnego płótna z niesłychanie długimi rękawami. Nieraz po orgii kokainowej Wyskrobek bywał odwożony do szpitala i ubierany w kaftan bezpieczeństwa. Toteż widok tego narzędzia męki nie robił na nim miłego wrażenia. Ale na szczęście dla siebie nie miał skłonności do imaginacji i łatwo otrząsał się z przykrych wrażeń. Wariatów ubiera się w kaftany bezpieczeństwa, ale

nie wynika z tego, że kaftan bezpieczeństwa powoduje utratę zmysłów. Wyskrobek uśmiechnął się ironicznie. Czyżby ci dwaj myśleli, że nastraszą go głupim kaftanem?

Galt zaczął badania, które skrepowanemu rękawami kaftana opry-s/.kowi wydały się sztuczkami kuglarskimi.

Obejrzał mu końce palców, rozchylił wargi, aby zajrzeć w zęby, /badał palcami formę czaszki, porównał prawą stronę twarzy z lewą, wykrzywił głowę w jedną stronę i w drugą i t. d. Robił to wszystko w taki sposób, jakby miał do czynienia z martwą rzeczą. Wreszcie umocował u podstawy czaszki pacjenta końce przewodów i puścił prąd.

Wyskrobek poczuł w tyle głowy łagodne pulsowanie, które objęło stopniowo cały mózg i zeszło w dół po mleczu pocierzowym. Było to uczucie nie tyle niemiłe, co niepokojące z powodu swojej nowości, ale bandyta nie dał się ponieść nerwom. W trakcie tego zabiegu Galt uniósł mu powieki i przyświecając sobie latarką elektryczną, zbadał oczy przez szkło powiększające. Zupełnie, jakby chciał go przejrzeć na wylot.

Wyskrobek był już w rękach tyłu lekarzy, że niewiele sobie z tego robił. Byk tylko obeszło się bez bólu. Wreszcie Galt odłożył latarkę i wyłączył prąd. Pulsowanie w nerwach Wyskrobka ustało.

Teraz zaciekało go, co będzie dalej. Galt wyjął ze szklanej szafki tekturowe pudełeczko, pełne przejrzystych ampulek, ułożonych na wacie, i wziął jedną z nich tak delikatnie, że nie chciało się wierzyć, iż ta sama ręka mogła wymierzyć cios, jakiego doświadczył Wyskrobek.

Następnie stłukł ampulkę i wylałszy jej płynną zawartość do maleńkiego naczynka, wyjął z pudełka strzykawkę i zanurzył w płynie.

Japończyk, który wiedział, co ma robić, przytrzymał głowę pacjenta i wykrecił ją twarzą do stołu. Wyskrobek poczuł u nasady czaszki ukłucie igły.

Warknął gniewnie. Tego zaczynało już być za wiele. Ale widocznie skończyli, bo po zastrzyku Japończyk zaczął ciągnąć stół ku drzwiom. Galt szedł za nim.

Zatrzymali się w pokoju bez okien. Żarówka pod sufitem ukazywała ściany

wyłożone materacami. Nie było żadnych mebli, a jedne jedyne drzwi miały wygląd zdecydowanie więzienny. Krótko mówiąc, była to niemiła klatka, toteż kiedy Japończyk zdjął Wyskrobka ze stołu, znękany bandzior poczuł odruch obawy.

Skośnooki zwrócił się do Galta z miną człowieka, który zrobił coś co do niego należało.

— Proszę pana, pana doktora dziś nie ma, czy mogę iść do nocnego kina?

Wyskrobek zobaczył po raz pierwszy, że Galt się uśmiechnął.

— Ito — rzekł — jak na normalnego człowieka, masz fantastyczne upodobania.

Ito uśmiechnął się również, i zgasił żarówkę.

— Przepraszam pana, ale i panu ich nie brakuje.

Drzwi się zamknęły i Wyskrobek został sam w ciemnościach i ciszy. Już wiele razy doświadczał paniki, jaka ogarnia człowieka w pierwszych chwilach po uwięzieniu, więc tym razem nie przejął się zbytnio swym położeniem. Galt chciał coś z niego wyciągnąć, ale nie zanosilo się na to, żeby miał go poddać torturom, tak jak to było w zwyczaju mafii, a czasami i policji. Raz go tylko wyrznął w szczękę, ale w ogóle obchodził się z nim delikatnie. Sztuczki medyczne nie zrobiły na Wyskrobku wielkiego wrażenia. Nudno było leżeć w ciemnym pokoju, chociaż... przeżywał już gorsze rzeczy.

Upłynęło już kilka godzin, zaczęły go łapać kurcze i zapragnął, żeby Galt wrócił, choćby tylko po to, żeby go wziąć na stół. Cokolwiek, byle nie to beznadziejne czekanie w ciemnościach.

Nagle poczuł przyływ hysterii, która go zwykle ogarniała po orgii kokainowej i poprzedzała coś jeszcze gorszego. Zdziwił się, gdyż już od wielu tygodni nie tknął straszego narkotyku. Znow zbliżało się do niego nieszczęście. W mózgu wezbrało nieprzytomne przerażenie przed zbliżającą się grozą.

Chaos rósł, ale nie ogarniał całej świadomości. Dusza Wyskrobka podzieliła się na dwie części. Jedna z nich szalała, druga przytomna — obserwowała przyływ straszliwej fantasmagorii.

Z dżungli, za jaką uważał świat, zaczęły wypełzać złe twory. W ciemnościach ukazywały się i znikaly twarze najgorszych wrogów, podkradających się z rewolwerami w rękach a on. Wyskrobek, był zwyciężony i nie mógł się bronić.

Wrzasnął i wydało mu się, że uwolnił nadludzkim wysiłkiem ramiona, ale nie miał broni, a dzikie twarze były coraz bliżej. Bełkocąc modlitwę, Wyskrobek uniknął zręcznym podrzutem niebezpieczeństwa i poczuł w rękę wymodlony rewolwer. Nacisnął spust — nic, drugi raz



— nic. Nie padł żaden strzał. W mózgu jego zahuczało echo śmiechu tych, którzy chcieli go zabić i cieszyli się, że jest bezbronny.

Znów błagał niebo o naboje i znów został wysłuchany. Spadły mu na dłoń, ale rewolwer, jedyna jego obrona w dżungli świata, zniknął.

Bezbronny do głębin swej elementarnej słabości, zaniósł się bełkotem trwogi. Ze wszystkich stron spoglądały nań twarze, wystające znad wycelowanych rewolwerów. Jeszcze nie strzelano, widocznie dlatego, że chciano się nacieszyć widokiem jego przedśmiertnej męki.

Za twarzami zaczęły majaczyć kształty dziwnych bestii, jakich nie widziało ludzkie oko. Bestie unosiły się wysoko nad szatańskimi

twarzami i mogły z wielką łatwością uratować Wyskrobka masakrując wrogów kłami i pazurami, ale cóż, kiedy były z nimi w zмовіе, i czekały tylko na salwę rewolwerową, żeby się rzucić na świeże mięso.

Wyskrobek błagał, jęczał, przyrzekał coś i modlił się. Szarpany zwierzęcą rozpaczą próbował kąsać. Z oszalałej części mózgu promieniowały konwulsje do wszystkich części ciała. Mała wysepka poczytalności powiększała tylko grozę obłądu.

Drzwi celi Wyskrobka otworzyły się, z góry błysnęło oślepiające światło i tłum przerażających zjaw powiększył się o szkieletowego człowieka z bezduszną twarzą, którego igła rozpętała w mózgu Wyskrobka szaleństwo. Człowiek sięgał głową sufitu, z oczu jego strzelały lodowate błyski, a usta zacięły się w wąską szparę okrucieństwa.

W prawej ręce trzymał zwykłą szklankę, napełnioną do połowy mieniącym się tęczowo płynem.

Wyskrobek poczuł na twarzy żelazne palce, które zmusiły go do otworzenia ust, a na wargach chłód szklanki. Połknął kilka kropeł opalizującego płynu.

Twarze jego wrogów rozjaśniły się radością. Niewielka ilość kropeł była wystarczająca. Teraz miała nastąpić prawdziwa uczta. Twarze powiedziały, że teraz dopiero pokażą, co umieją. Poczekaj tylko, Wyskrobku, aż płyn zacznie działać!

Szklanka w rękach chudego człowieka zaczęła tak rosnać, że musiał ją postawić na ziemi, gdzie przybrała rozmiary beczułki, a potem ogromnego rezerwuaru. I ciągle była napełniona do połowy cudownym, tęczowym płynem.

Wyskrobek skorzystał z okazji i schował się za nią przed swymi wrogami. Ale wiedział, że patrzą na niego przez opalizujący płyn i nie wiedzą, co o tym myśleć. Teraz miał w ręku swój ulubiony rewolwer, na pewno nabity, bo bardzo ciężki.

Rzucił się na ziemię i zaczął czołgać się ostrożnie dookoła szklanki, żeby ich podejść. Ponieważ nie zobaczyli go, podniósł lufę i zaczął strzelać. Bał się tylko, żeby ich strzały nie roztrzaskały szklanki.

Twarze znikły jedna po drugiej, bestie uciekły i na Wyskrobka spłynął spokój. Szklanka, już teraz niepotrzebna, zmalała do zwykłych rozmiarów i znalazła się z powrotem w ręku chudego człowieka, który także przybrał normalne rozmiary.

Światło żarówki stało się zwykłym światłem, cela — celą, a głos Galta, chociaż nieczuły — zwykłym głosem.

— Teraz będziesz gadał?

Wyskrobek czuł się słaby jak dziecko. Ciało miał złane potem, ale wysepka poczytalności rozrosła się w cały kontynent i na horyzoncie nie groziła żadna najmniejsza chmurka szaleństwa.

Czego ten Galt od niego chce? Ach, gdyby tak nie być w kaftanie bezpieczeństwa i mieć w rękę ulubioną spluwę! Wtedy pogadałoby się z nim.

W danej sytuacji mógł dokuczyć temu człowiekowi, którego nienawidził do granic ekstatycznego szału, tylko odmówieniem mu wszelkich odpowiedzi.

Ale słodką radość triumfu przygasił spokój, z jakim przyjęto odmowę. Galt postawił na podłodze szklanę z płynem i usiadł obok, plecami do drzwi, z długimi rękami oplecionymi dokoła kolan, w pozie cierpliwego wyczekiwania.

Wyskrobek poczuł niepokój. Na co on czekał? Ułynęło kilka minut i okazało się, na co. Pogodny horyzont zamroczył się znów chmurą nadciągającego szaleństwa.

Teraz Wyskrobek zrozumiał, czemu Galt wydzielił mu tak mało opalizujących kropli. Ich skutek — chwilowe uspokojenie — rozplywał się już w strasznych symptomach grozy, w skurczach ciała, w panice mózgu.

Zacisnął odważnie usta, żeby tylko nie skapitulować przed czekającym ufnie szatanem. Ale z powietrza wynurzył się krąg szyderczych twarzy. Wrzasnął przeraźliwie.

— Na Boga, daj mi więcej tych kropli!

Galt nie poruszył się, tylko twarze podpełzły bliżej.

— Niech i tak będzie! — wrzasnął Wyskrobek. Powiem wszystkim.

Galt wstał powoli i napoił go hojniej niż poprzednio cennymi kroplami. Tym razem umysł Wyskrobka rozjaśnił się o wiele szybciej. Tylko, że język nie od razu posłuchał nakazu woli.

- Naczelniku — wyjąkał — co ja pocznę? Jeżeli powiem, to mi nie uwierzycie, a jeżeli nie powiem, to mnie wpędzicie w wariację. W imię Chrystusa, co ja pocznę? — Ale Galt milczał niemiłosiernie. — No, to już powiem wszystko co wiem...

Urwał, aby nabrać sił dla nadania swoim słowom wiarygodności.

— Naczelniku, ja sam nie wiem komu służę. Nie wiem co to za ludzie. Oni mnie i innych wynajmują, ale nie wiemy dla kogo odwalamy robotę. Zawsze pocztą na poste restante otrzymujemy wezwanie

oznaczone hasłem „bez adresu” i wiemy, co jest grane. Ostatnim razem dostałem telegram: „Przyjechać pierwszym pociągiem do Nowego Jorku”. Po przyjeździe poszedłem zaraz na pocztę. Był dla mnie list na poste restante z hasłem „bez adresu”.

Każą mi udać się pod Klub Saragossa i czekać po drugiej stronie ulicy. Czekam całe godziny. Nie wiem kogo przeznaczyli do odstrzału...

Niedaleko stoi czarny sedan, szyby zasłonięte, nie widać twarzy.

Potem pan wychodzi z domu. Sedan cofa się trochę, jakby nie mogąc inaczej nawrócić i po chwili wraca powoli na to samo miejsce. Jest to znak, że pan jest celem. Od tego dnia chodziłem za panem krok w krok. I to wszystko. Odwaliwszy robotę, wróciłbym do Chicago i tam odebrał na poste restante kopertę z pieniędzmi, oznaczoną „bez adresu”. Zapłatę, rozumie pan! Przysięgam naczelniku na Chrystusa, że to jest wszystko co wiem...

Szczurze oczka błagały o wiarę. Twarz wykrzywiła się strachem, że Galt nie uwierzy.

Nastąpiła wieczność piekielnej niepewności. Niebieskie oczy Galta były zimne, nieczytelne... Kiedy?

Galt wstał, dał Wyskrobkowi do wypicia resztę tęczowego płynu i uwolnił go z więzłów kaftana bezpieczeństwa i sznurów na nogach. Uradowany bandzior chciał wstać i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Siedząc na ziemi, usłyszał głos Galta:

— Możesz iść!

Wyskrobek niemal nie uwierzył swoim uszom, ale zaraz przygaśł, bo Galt uśmiechnął się mimowoli i dodał suchym tonem:

— Ale zapamiętaj sobie adres tego domu!

Wyskrobek był już zupełnie przytomny, lecz pomimo to jego wyjście na ulicę odbyło się w sposób świadczący o niepewności i nóg i głowy.

Nocne powietrze orzeźwiło go i postawiło na nogi. Przypomnił sobie ostatnie słowa Galta i doznał uczucia, że za ich lakonicznością musiał się kryć jakiś sens.

Zanotował sobie tedy w pamięci numer domu i nazwę ulicy.

Ledwie się dowlókł do nadrzecznego hoteliku, gdzie wynajmował pokój. Tu rzucił się na łóżko w ubraniu i zapadł w ciężki sen, pełen dręczących majaceń.

Obudziło go południowe słońce i ruch uliczny. Przez dłuższą chwilę leżał w stanie półodrętwienia i dopiero stopniowo wróciła mu świadomość przeżytej ubiegłej nocy. Był tak rozstrojony, że nie mógł zebrać porządnie myśli, ale w sercu jego fermentowała już dzika żądza zemsty.

Wstał z łóżka i, otworzywszy skórzaną walizę, stanowiącą cały jego bagaż, wydobyl z jej podwójnego dna zapasowy rewolwer. Tamten zabrał Galt. Chłód stali przyniósł mu ukojenie. Nie wiedział jak doczeka nocy i powrotu do Galt. Przesiedział w swoim pokoju do wieczora bez żadnego posiłku. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia, tylko żądzę zemsty.

Zapadły ciemności, ale kiedy wybiła dziewiąta, pragnienie zemsty zeszło na drugi plan ustępując miejsca obawie przed nawrotem szaleństwa. Wyskrobek wypadł z hotelu i wszedł do taksówki. Przez cały czas jazdy warczał na kierowcę, żeby dodawał gazu, ten zaś, odpyskując pasażerowi, nie miał pojęcia, że lada chwila mógł dostać kulę w łeb.

Na gwałtowny dzwonek pod zapamiętanym adresem otworzył Japończyk.

— Czy on jest — zapytał Wyskrobek.

Ito wskazał mu drzwi na piętrze.

Ze względu na obecność Ito, Wyskrobek wszedł spokojnie po schodach. Zapukał grzecznie we wskazane drzwi i wszedł do gabinetu z miną niewiniątka. Galt, pochłonięty czytaniem jakiejś broszury, podniósł na niego obojętne spojrzenie.

Wyskrobek zbliżył się do niego na dwa kroki i nagle wyszarpnął z kieszeni rewolwer. Jednocześnie źrenice jego błyszczących, szczyrzych oczek zwęziły się w dwie szparki, a ciało sprężyło jak u kota gotowego do skoku.

Słuchaj — rzekł śmiertelnie spokojnym głosem co ci powiem. Zadzwoń na swojego mongoła i każ mu przynieść przybory do przyrządzania tej mikstury, którą mi dałeś wczoraj. Cały litr, albo i więcej, tylko ani się waż podejść do mnie o pół kroku bliżej bo... — urwał.

Galt uśmiechnął się jadownicie i znaczenie tego uśmiechu wżarło się w umysł Wyskrobka, tak jak kwas wżera się w ciało.

— Głupcze — mówił uśmiech — jeżeli mnie zastrzelisz, to kto cię będzie ratował?

— Czy słyszysz? — warknął z rozpaczą Wyskrobek.

Galt odrzucił broszurę, wstał i podszedł do gościa, świdrując go wzrokiem.

— Dam ci mikstury na dwa tygodnie — rzekł powoli. — Wrócisz do Chicago i obejdiesz wszystkich tych, którzy kiedykolwiek pracowali na zlecenie tamtych „bez adresu”. Staraj się działać możliwie sprytnie. Musisz się dowiedzieć o nich tyle, ile się tylko da. Możesz używać wszelkich sposobów. Potem wrócisz tu do mnie z raportem. Jeżeli będę z ciebie zadowolony, to może dam ci drugą porcję specyfiku.

W nieliczeniu się Galta ze śmiercią, wyglądającą z lufy rewolweru, było coś paraliżującego. Ale samo *to nie* powstrzymałoby Wyskrobka. Powstrzymała go odrobina poczytalności, broniąca się w nim przeciw naporowi szaleństwa. Zrozumiał, że nie on był górą. Czuł się coraz straszliwiej, coś mu rosło w gardle, serce waliło w nim na alarm, nerwy przeżyły



się jak struny. Nie mogąc dłużej utrzymać w ręce rewolweru, upuścił go na podłogę.

— Dobra, naczelniku, niech i tak będzie — wyjąkał. Proszę o miksturę! Pojadę do Chicago.

Galt podniósł rewolwer i wsunął mu go do kieszeni.

— Będiesz go potrzebował — mruknął złowieszczo.

Wyskrobek osunął się na krzesło, a Galt opuścił pokój.

Nie było go pozornie bardzo długo, a tymczasem szaleństwo potężniało. Ale żalosna wiara Wyskrobka w Galtę pomogła mu do pewnego Stopnia zwalczyć napierającą fantasmagorię i utrzymać się na krześle.

Galt wrócił, niosąc w rękę małe pudełeczko, z którego wyjął żelatynową kapsułkę i dał Wyskrobkowi do połknięcia. Efekt nastąpił prędzej, niż się można było spodziewać, gdyż Wyskrobek przyspieszył go swą histeryczną nadzieją. Przyszedł do siebie w ciągu kilku minut i wstał, trzęsąc się na nogach.

Galt dał mu pudełeczko. Wyskrobek schował je na sercu.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Galt wyraził swą wolę jasno i Wyskrobek wiedział, co ma robić.

Ale został jeszcze kilka chwil w gabinecie, żeby się uspokoić. Po schodach zeszedł bardzo wolno. Kiedy Japończyk wypuścił go na ulicę, orzeźwiająca świeżość powietrza wywołała złudzenie, że wszystko było tylko sennym koszmarem.

Zeszedł ostrożnie po kamiennych schodach i uszedłszy kawałek chodnikiem, przystanął w nadziei ujżenia jakiejś wolnej taksówki. Nie mógł jeszcze opanować drżenia kolan.

Z prawej strony nadjeżdżał samochód, ale nie była to taksówka. Światło jego reflektorów było oślepiające. Chociaż i bez tego Wyskrobek nie dostrzegłby, kto siedział za przyciemnionymi szybami. W chwili gdy odwracał oczy od rażącego światła, z okna błysnęły trzy smugi ognia.

Wykręcił się powoli, ale nie, żeby się obejrzeć. Był to odruch konwulsyjny. W następnej chwili leżał na chodniku. Ciało jego poruszało się powoli, ale nie drganiem życia.

Nim huk wystrzałów sprowadził na miejsce mordu pierwszych gapiów, samochód był już o kilka bloków dalej. Kierowca nie usiłował łamać przepisów. Jechał spokojnie, nie spiesząc się...

Wyskrobek miał rację, że uważał świat za dżunglę, w której jest się albo zwierzyną, albo myśliwym.

## ROZDZIAŁ

### IV **Subtelny**

#### **trop**

Gail Granger i Alan Rhodes siedzieli w ogromnej kancelarii zmarłego pułkownika. Oboje byli egzekutorami testamentu: on wziął na siebie formalności prawne, ona zajęła się działalnością filantropijną. Właśnie skończyli konferencję i Alan chciał wstać, gdy Gail wyjęła z torebki list oraz wycinek z gazety i podała mu bez słowa.

Alan wstał.

— Jeżeli on wie coś o mordercy twego ojca — jeżeli to w ogóle było morderstwo — to jako dobry obywatel powinien zwrócić się do policji. Dlaczego tego nie robi?

Gail podeszła do okna, jak gdyby widok z lotu ptaka mógł jej rozjaśnić zagadkę umysłowości Galt.

— Jego kolega z klubu Saragossa powiedział mi, że Galt nie posiada uczuć obywatelskich i że dla niego nie istnieje ani obowiązek, ani sentyment. Nie zrobiłby jednego kroku, żeby uratować czyjąś duszę od potępienia, chyba, że zainteresowałaby go psychologicznie. Wtedy poszedłby za nią do piekła. Policja prawdopodobnie nic by mu nie pomogła, bo ona posługuje się innymi metodami. Między nami mówiąc, mam wrażenie, że w swoich doświadczeniach na żywym ludzkim ciele, nie cofnąłby się przed niczym. Nawet przed morderstwem.

Alan okazał pierwszy odruch zniecierpliwienia.

— Więc dlaczego chcesz mu pomagać?

— Bo — urwała z braku jasnego wyobrażenia o swoich uczuciach — bo jeżeli on ma rację w kwestii śmierci ojca — i jeżeli udałoby mu się wytropić mordercę... — Uśmiechnęła się żałośnie — to brzmi tak jak „gdybym miała szynkę, to bym jadła szynkę”, prawda Alanie?

Stanął przed nią.

— Gail, ty jesteś zdecydowana — rzekł tonem niepokoju.

Odetchnęła głąboko i podniosła oczy.

— Chyba tak, Alanie.

— W takim razie pojedę z tobą.

Zastanowiła się chwilę.

Napisał, że jeżeli przyjadę z obstawą, to mnie nie przyjmie.

— Będę czekał na ulicy na twoje ewentualne wezwanie.

— To nie byłoby zbyt honorowe — odrzuciła.

Uśmiechnął się ponuro.

— Gail, ty jesteś rzeczywiście przewrażliwiona. Honorowe skrupuły wobec człowieka, który wdarł się do twego domu i teraz proponuje ci najspokojniej w świecie, żebyś się pozwoliła użyć do jakichś eksperymentów. Jakich? „Przez niego mogłem dowiedzieć się prawdy. Teraz jedyna moja nadzieja w pani. Jego zamordowano. Proszę mi go zastąpić...” Gail, ja cię samej nie puszczę i dam ci swój nowy rewolwer. Mały, zmieści się w torebce.

— Mam wrażenie, że rewolwer przeciw niemu to za słaba broń. Jeżeli będzie chciał coś ze mnie wyciągnąć to tylko poprzez przymus wewnętrzny.

Podniosła słuchawkę telefonu.

— Panno Janko, proszę mnie połączyć z Klubem Saragossa, i prosić portiera.

Po krótkim oczekiwaniu w słuchawce odezwał się męski głos, grzeczny, ale pełen rezerwy:

— Słucham?

— Proszę... pan Bass.. czy jest?

Nastąpiła pauza, po czym układny głos podał numer na Dwudziestej Ulicy. Gail zanotowała go szybko, podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Tego wieczoru Alan zawiózł narzeczoną na róg wskazanej ulicy. Otoczenie było nędzne, domy dwu — trzypiętrowe, z monotonnymi fasadami, imitującymi cegłę.

Gail wysiadła z samochodu z teczką pod pachą i skręciła w intrygującą ją ulicę. Dom, do którego miała wejść, był dwupiętrowy. Koło drzwi frontowych widniała mosiężna tabliczka z napisem: „Ubezpieczenia i zabezpieczenia hipoteczne”.

W żadnym oknie nie paliło się światło. W momencie gdy miała zadzwonić, drzwi otworzyły się z nienacką i na tle oświetlonego wejścia ukazała się twarz Japończyka.

Pan Galt prosi, żeby panna Granger poszła z Ito, proszę bardzo.

Gail weszła do hallu. Japończyk zamknął drzwi i poszedł przodem w głąb korytarza. Zachowywał się ze wschodnią kurtuazją, przez którą przebijała rezerwa. W powietrzu unosiły się domowe zapachy i Gail pomyślała przelotnie, że taka swojska atmosfera nie licowała z radykalizmem Galta.

Japończyk otworzył drzwi na podwórze i dał jej znak, żeby uważała na schodki. Zeszła z wahaniem i po chwili znaleźli się obok wysokiego płotu z desek, pod którym stało kilka skrzyń i pak ustawionych jedna na drugiej. Zrozumiała, że ma po nich wejść i przypuszczalnie przedostać się na drugą stronę. Chciała zaprotestować, ale pomyślała, że chodzi w sumie o drobnostkę.

Weszła szybko na płot. Japończyk rozrzucił zaimprovizowane schody, widocznie dla zatarcia śladów, i wdrapał się za nią zręcznie, jak kot. Po drugiej stronie stało analogiczne rusztowanie z pak i skrzynek. Wskazał na nie i

pomógł jej zejść.

Przebyli jeszcze w ten sam sposób dwa płoty i za każdym razem Japończyk rozrzucał prowizoryczne schody. Trzeba dodać, że na podwórzu było bardzo ciemno. Gail szła odważnie za milczącym przewodnikiem, postanawiając w głębi duszy, że jeżeli rzecz okaże się tak absurdalna, jak ten wstęp, to osobiście rozprawi się z Galtem.

Zorientowała się, że przeszli na drugą ulicę. W końcu spuścili się do piwnicy, ciemniejszej niż podwórze, przy czym Ito zamknął drzwi tak ostrożnie, że nie słyszała najbliższego skrzypnięcia. Drugie drzwi

ukazały jej oczom kondygnację oświetlonych schodów, prowadzących w górę.

Znalazła się w holu prywatnego domu. Na podłodze leżał gruby, brunatny dywan, poza tym nie było żadnych sprzętów, które mogłyby dać wyobrażenie o charakterze domu. Ale w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach szpitala, czy gabinetu lekarskiego.

Japończyk zaprowadził ją na górę i tu zapukał w jakieś drzwi.

Otworzył Galt, ubrany w stary, zniszczony i poplamiony sweter, rozdarty po lewej stronie. Gail pomyślała, że mógł to być ślad noża. „Ktoś go chciał przebić”. Weszła do pokoju, który zrobił na niej z miejsca silne wrażenie.

Jego pokój.

Tak, ten pokój był tak samo indywidualny, jak Galt, lecz jednocześnie dawał poznać nowe cechy jego indywidualności. We wnętrzu kominka stał miedziany pojemnik do podgrzewania naczyń z chemikaliami, na konsoli, zamiast zwyczajowych cacek, słoje z preparatami z mózgu ludzkiego i mleczka pacierzowego, oraz wytrepanowana czaszka, złośliwie wyszczerzona. Ściany były obwieszane wykresami, schematami i zdjęciami twarzy: twarzy idiotów i twarzy geniuszy; twarzy mogących frapować tylko psychiatrów i twarzy pięknych fizycznie i duchowo: twarzy zmarłych, wykrzywionych bólem, lub pełnych nieziemskiego spokoju.

Na podłodze, stołach i biurkach piętrzyły się stosy pism, najwidoczniej specjalistycznych.

Na środku pokoju stał silnie oświetlony stół, zastawiony dziwnymi przedmiotami. Gail zwróciła uwagę na okaz rzeźby murzyńskiej z okresu N'gu. Była to figurka, świadcząca o pozornie obłąkanej fantazji dzikiego, afrykańskiego artysty, który ją stworzył. Galt studiował ją właśnie, ale nie jako dzieło sztuki, o czym świadczyły cyrkle rozłożone na zielonej bibule i inne przyrządy antropometryczne.

Niedaleko murzyńskiej figurki czerwieniło się jedwabne wnętrze szagrynowego futeraliku na skalpele.

Obok fotografii przepięknej kobiety w toalecie wieczorowej leżał kawałek



chińskiego adamaszku koloru granatu, jakby wydartego z jej sukni.

Nieopodal leżało szkło powiększające. Pod szkłem, napisane dziecięcym pismem, widniały słowa: „Śmiał się z Lesbią”.

Galt wyciągnął rękę po teczkę, przyniesioną przez Gail. Nie wypowiedział ani jednego słowa powitania. To, co w innym człowieku uszłoby za nieznaną form towarzyskich, u niego było naturalną reakcją uczonego, zaabsorbowanego przedmiotem i uważającego te formy za drobnostki niegodne uwagi.

Japończyk wyszedł. Drzwi zamknęły się bezgłośnie. Galt otworzył teczkę, usiadł pod lampą i zaczął studiować z przejęciem fotografie pułkownika Grangera. Gail usiadła na krześle, przyglądając mu się równie bacznie, jak on fotografiom.

Galt odczytywał fotografie jak pismo. Jego twarz wibrowała grą wrażeń. Była w tym pewna analogia do mimiki ust uczącego się czytać c/łowieka.

Gail poczuła dreszcz chłodu. Wydało jej się, że ten obcy człowiek usiłuje przybrać wyraz twarzy jej zmarłego ojca i przeobrazić się niejako w niego samego. W jakim celu?

Nagle Galt zwrócił się w jej stronę.

— Jak on trzymał głowę, gdy był zamyślony? — zapytał.

Czy ma mu pomagać w jego maskaradzie?

Tak, skoro przyszła, powinna — dopóki nie przekona się, że ma do czynienia z głupcem, lub wariatem. Przybrała niechętnie pozę, w jakiej widywała ojca, gdy był zamyślony. Galt patrzył na nią, jak na manekina z witryny sklepowej.

— No! Teraz telefonuje do ojca jego przeciwnik — rzekł hipnotycznie nieodpartym tonem. — Ten, który zaczął z nim walkę dwa lata temu i w końcu go zabił. Niech pani z nim porozmawia!

Gail widywała ojca w trakcie takiej walki. Wstała, podeszła do biurka i porwała słuchawkę takim chwytem, jakby to była broń. Niepewny początkowo głos nabrał siły.

Teraz wiedziała, czego chciał od niej Galt. Jeżeli ubranie wpływa na nastrój — Gail, jako kobieta wiedziała o tym doskonale — to i przybrany wyraz twarzy może działać tak samo. Galt patrzył na nią chciwym wzrokiem, usiłując ją naśladować. Odczuwała, że niechby tylko podchwycił udanie jej uśmiech, czy grymas gniewu, to ten naśladowczy wyraz zapuściłby w nim momentalnie korzenie, zlał się z jego systemem nerwowym i obudził w nim uczucia i myśli, już zupełnie naturalne. To znaczy, że naśladownictwo przestałoby być naśladownictwem.

Przypomniła sobie ze studiów teorię psychologiczną Lange-Jame-sa, że

przybierając wyraz twarzy, mający oznaczać jakieś uczucie, wywołuje się w sobie to uczucie, tym silniejsze, im doskonalsze jest naśladownictwo. Czy Galt chciał zgłębić duszę jej ojca, imitując jego mimikę, ruchy, gesty, pozy?

Kazał jej chodzić, wstawać, siadać i w ogóle stosować się do wydawanych przez niego poleceń. Trwało to dłuższy czas. Zaczęła się denerwować, bo domagał się od niej coraz to bardziej osobistych zwierzeń. Głęboko dotknięta tą niedyskrecją, już, już miała mu odmówić posłuszeństwa, kiedy nagle wstał i rzekł:

— Niech pani mnie poprawia!

Zaczął chodzić po pokoju, naśladowując w szybkim tempie jej ojca w różnych nastrojach. Gail wstała z krzesła, nieświadoma tego, co robi. Skąd on wziął tę i tamtą pozę i ten błysk oczu, i to zaciśnięcie ust, jakie widywała u ojca w chwilach triumfu? Wszak tego mu nie pokazywała. Czyżby zdołał samorzutnie dopełnić żywy portret, który ona tylko naszkicowała? Co za niewyobrażalny talent, naśladować zmarłego człowieka, którego nie znało się za życia patrzeć, poruszać się i mówić, jakby się było nim samym! Gail poczuła, że usta jej zeschły się jak w gorączce.

— Niech pani mnie poprawia! — powtórzył Galt.

Gail milczała. Co tu mogło być do poprawienia?

— No, to dobrze. Proszę tutaj — rzekł z charakterystyczną dla siebie błyskawiczną zmianą nastroju.

Nie zdawała sobie sprawy, że wywołał u niej silne napięcie nerwowe i że posłuchała go zupełnie automatycznie; ona, która nigdy nikogo nie słuchała i uważała taką możliwość za czysty absurd. Była intensywnie świadoma otoczenia i niczego więcej.

Galt zaprowadził ją w kąt pokoju i pokazał wąskie drzwi, prowadzące do jakiejś komórki.

I znowu jego nastrój uległ zmianie; stał się władczy i surowy. Zgrzytnął klucz i ukazało się wnętrze komórki, wąskie jak drzwi i niewiele głębsze. Na ścianach wisiały jakieś dziwne ubrania i przybory. Rozpoznała kaftan bezpieczeństwa i domyśliła się przeznaczenia niektórych innych przedmiotów, jak np. skórzanych pasów, rzemieni, kajdan i kółek.

Galt mówił teraz ostrym, brutalnym głosem:

— Niech pani tu wejdzie — rozkazał. — Zamknę panią na klucz i wypuszczę, kiedy uznam za stosowne.

Tym razem nie posłuchała. Podeszła do stołu, zgarnęła fotografie ojca do teczki i skierowała się ku drzwiom.

— Już mam tego dosyć — rzekła.

Zastąpił jej drogę. Zobaczyła nad sobą rozszerzone, niebieskie źrenice, z

których bił intensywny blask.

— Ojciec pani jest w tej komórce — stwierdził. — Zamknąłem go na klucz i mam go w kieszeni. W komórce jest zupełnie ciemno. Ojciec czuje bliskość ścian, które się jakby zbliżają. Brak mu powietrza, drzwi są bardzo grube. Komórka jest ciasna jak skrzynka...

Gail rzuciła teczkę na ziemię i spróbowała dopaść do drzwi wyjściowych. Ale jej się to nie udało. W którąkolwiek stronę zwróciła się, Galt zastępował jej drogę. Chciała go odepchnąć i czuła pod palcami ciało twarde jak skała i niewrażliwe. Ogarnięta nagłą furją, zaczęła go

bić zaciśniętymi pięściami po twarzy. W zachowaniu jej było coś dziwnego, zupełnie jakby szturmowała zamknięte drzwi.

Galt pozwolił się bić i tylko balansował w prawo i lewo, żeby jej nie wypuścić. Musiał odczuć jej uderzenia, gdyż jedno spowodowało krwawienie z ust, ale zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Jego wzrok nie schodził z twarzy dziewczyny, miotającej się w ataku żywiołowej trwogi. Jej czoło było złane potem, twarz dzika i nieprzytomna. Spostrzegawczy widz powiedziałby, że pomimo jej kobiecości, sprawiała wrażenie mężczyzny.

— Więc on tak wyglądał!

Ton tych słów zahamował w jakiś dziwny sposób podstępnie wywołany u Gail szłał. Doznała wrażenia, że budzi się ze snu, w którym krzyczała i biła. Wstyd i wahanie przykuły ją do podłogi. Chciała uciec i zlekła się, że Galt zrozumiałby to jako przyznanie się do głębokiego upokorzenia.

Proszę, niech pan mnie puści — szepnęła bladymi wargami.

Odwróciła się i podsunął jej miękki fotel na kółkach.

— Niech pani odpocznie — rzekł ignorując jej słowa. — W każdym razie, dokonaliśmy pewnego postępu.

Skierowała się ku drzwiom i nagle kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Nie chcąc się zdradzać ze swoją słabością, osunęła się na fotel, drżąc nerwowo całym ciałem.

Bezwiednie posłuchała go.

Galt wyszedł z pokoju, aby w samotności prędzej przyszła do siebie.

Gail postanowiła, że za chwilę odejdzie. Musi się tylko opanować, aby w razie spotkania z nim na schodach nie dać się znowu ponieść nerwom.

Z zewnątrz dochodziło słabe nawoływanie. Rozpoznała głos — męski głos — który wydał się jej dziwnie znajomy. Słów nie rozróżniała.

Okna były zamknięte i zasłonięte. Nie chciało jej się wstać i zbadać, kto wołał i dlaczego. Co ją to zresztą mogło obchodzić! Byle się prędzej wydostać z tego okropnego domu. Jeszcze chwilę...

Już miała wstać, kiedy drzwi otworzyły się i wszedł Galt. Zmienność usposobienia tego człowieka była zdumiewająca. Przed chwilą był

antypatyczny, niezrozumiały, ordynarny i bezwzględny. Teraz zachowywał się taktownie, uprzejmie i współczująco.

— Z podwórza ktoś nawołuje — rzekł. — Prawdopodobnie to warzysz pani. Może pani zawołać do niego z okna, albo po prostu wyjść do niego i dać się stąd zabrać. Ale — stracilibyśmy na tym oboje — i pani, i ja.

Już zupełnie uspokojona, wzięła teczkę i skierowała się ku drzwiom.

Ale sam fakt opanowania się sprawił, że zapragnęła pokazać mu, iż jest odważna. A zresztą była ciekawa.

— Pani pamięta — ciągnął Galt — że z góry zapowiedziałem pani ciężkie przejścia. Pomimo to zdecydowała się pani przyjść. Teraz, kiedy już pani tyle przecierpiała, szkoda byłoby się wycofać, marnując to. Nie kłamałem i teraz też nie kłamię. Muszę panią ostrzec, że dalsza współpraca ze mną może narazić panią na niebezpieczeństwo — ze strony tych samych ludzi, którzy nastają na moją osobę. Ale z drugiej strony, moglibyśmy osiągnąć dobre rezultaty.

Stała koło drzwi niezdecydowana. Ton jego głosu był niezwykle szczerzy. Przrzekał jej rezultaty, których sam nie był w stanie przewidzieć. Apelował do jej poczucia obowiązku i kobiecej ciekawości.

— Jeżeli pański służący sprowadzi tu pana Rhodesa, to pomówię z panem — rzekła, nie odwracając głowy.

— Jeżeli pan Rhodes weźmie udział w naszych doświadczeniach — rzekł tonem żalu — to niczego nie dokonamy.

Zwróciła się w stronę okna, spoza którego dochodziło nawoływanie Alana.

— Nie mogę go tak zostawić na dłuższy czas — rzekła.

— Mogłaby pani napisać kartkę, aby się o panią nie niepokoił i Ito zaniósłby mu — zaproponował uprzejmie. — Zapewniam panią, że za parę godzin wróci pani do domu.

Ogarnęła ją złość na siebie samą, że jego słowa budzą w niej zaufanie.

— Dlaczego mi pan nie pozwoli sprowadzić Alana? — zapytała.

— Dla tej samej przyczyny, dla której nie sprowadzam policji — odrzekł tonem zniecierpliwienia. — Co dla mnie jest ważne, to im wydałoby się niedorzeczne. Chcieliby się wtrącać, a ja muszę mieć zupełną swobodę działania. Na razie mogę pracować tylko z panią i z nikim więcej.

Teraz już nie mogła się oprzeć jego wpływowi. Działał na nią hipnotycznym wzrokiem, inteligencją i siłą swej indywidualności. Wyczuwała w nim niezgłębianą wiedzę i jeszcze coś więcej. Postawiła sprawę warunkowo.



— A więc będę mogła stąd wyjść, kiedy zechcę?

Wskazał na telefon na biurku.

— W kwadrans może zajechać po panią taksówka. Usiadła przy biurku i napisała ołówkiem na kartce papieru:

*„Alanie, słyszę, jak mnie wołasz, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Możesz iść do domu. Sama niedługo wrócę i zaraz do ciebie zadzwonię.* „

Podpisała się pieszczotliwym zdrobieniem imienia, używanym tylko przez Alana, aby mu dać poznać, że pisze z własnej, nieprzymuszonej woli.

Galt nacisnął przycisk w ścianie i po chwili rozległo się lekkie pukanie Ito. W kilka minut później Alan umilkł.

Galt zaprosił Gail grzecznym gestem, aby zajęła miejsce w fotelu.

— Musi pani zrozumieć, że bez pani współdziałania ja nie dokażę nic — rzekł. — Teraz poproszę panią o przypomnienie sobie pewnych przykrych rzeczy. Czy od śmierci ojca miała pani ataki klaustrofobii na jawie, lub we śnie? Naturalnie z wyjątkiem tych dwóch, wywołanych przeze mnie.

— Nie — odpowiedziała po bardzo długiej pauzie.

— Czy przed jego śmiercią miewała pani we śnie tego rodzaju obawy?

— Owszem.

— Jak się to objawiało?

Zawahała się, czy takie intymne wyznanie nie poniży jej w jego oczach. Mogła znów wpaść w szal. Galt odczytał jej myśli.

— Jeżeli pani rozluźni mięśnie i będzie mówiła powoli, to nerwy uspokoją się — rzekł.

Wyjął z szuflady zwykle, ręczne lustro i położył jej na kolanach. Obejrzała je i zobaczyła, że szkło było z lekka wypukłe, powiększające. - Niech pani mówi, patrząc na swoją twarz — rzekł Galt. — Niech pani nie przybiera min, wyrażających strach. I niech pani stara się trzymać wszystkie mięśnie ciała w rozluźnieniu, bo wszelkie napięcie idzie w parze ze strachem. Im lepiej pani opanuje zewnętrzne objawy tego uczucia, tym słabiej go pani doświadczy. To samo dotyczy wszelkich uczuć... No, proszę zaczynać.

Patrząc w lustro, Gail zaczęła mówić:

— Ten sen jest zawsze jednakowy. Śni mi się, że ojciec jest zamknięty na klucz... w jakiejś piwnicy, czy komórce... — Zobaczyła wyraz strachu na swojej twarzy i poczuła go w nogach i w całym ciele, ale pamiętna ostrzeżeń Galta, opanowała świadomym wysiłkiem skurcz ciała i otworzyła zaciśnięte ręce. Zaraz też twarz jej przybrała normalny wyraz. — Słyszę, jak woła o pomoc, a ja nie mogę otworzyć ust. —

Zabrakło jej głosu, ale zobaczywszy w lustrze zaciśnięte usta, opanowała się znowu. — Potem ojciec wyłamuje się ze swojego więzienia... z twarzą... taką okropną... że zaczynam krzyczeć i — budzę się.

Odłożyła lusterko. Galt popatrzył na nią z zadowoleniem.

— Czy i za dnia atak strachu u pani wiąże się z myślą o ojcu? — zapytał.

— Tak, zawsze.

Galt wstał. Był tak ożywiony i podniecony, że go nie poznawała.

— Teraz znów zostawię panią samą — rzekł, wskazując dzwonek, którym wzywał Ito. — Niech pani postara się sobie przypomnieć, od jak dawna miewa pani takie ataki. Potem pani po mnie zadzwoni.

Wyszedł, zabierając z sobą wyjęty z szuflady, plik papierów. Widocznie przypuszczał, że jego nieobecność potrwa dość długo.

Gail uświadomiła sobie teraz, że pragnie mu pomóc w dochodzeniach, pomimo, że nie orientowała się za bardzo o co chodziło. Zażądał od niej dużej ofiary. Unikala niektórych wspomnień, bo przynosiły ze sobą zawsze jednakowo żywe cierpienie, i on jej teraz kazał, aby je wskrzesiła. Ale ułatwił jej to ciężkie zadanie. I to bardzo. Trzymając w ręku lusterko, zaczęła się zastanawiać. Ani na chwilę nie zapomniała o jego przestrodze. Co więcej, obudziła się w niej wiara w jego fachową nieomyślność.

W pokoju panowała zupełna cisza. Zmiana w usposobieniu Galta sprawiła, że czuła się w jego niesamowitym przybytku prawie jak u siebie w domu. Miała ochotę podumać o tym dziwnym człowieku, tak niezmiernie różnym od innych ludzi i tak bardzo przez to pociągającym, ale zmuszała się do myślenia o tym, o czym jej kazał.

Przypomniła sobie po kolei wszystkie nawroty strachu. Największy kłopot miała z najświeższymi wspomnieniami. W miarę cofania się w przeszłość emocje słabły. Ale i wyrazistość wspomnień także. Cofała się w lata młodości — dorastania, dzieciństwa i przypominała sobie z coraz większym trudem.

Nagle z pomroków przeszłości wróciło wspomnienie tak żywe i tak przerażające, że o mało nie krzyknęła. Zobaczyła cały obraz w najdrobniejszych szczegółach...

Opanowanie trwogi zajęło jej kilka minut. Uspokoiwszy się wreszcie, zaczęła się cofać w czasie jeszcze dalej, poza ten kamień graniczny.

Ale trop urwał się i już go nie odnalazła. Nie zdołała sobie przypomnieć nic więcej. Wstała więc i zadzwoniła na Galta. Zegarek na rękę wskazał jej, że przesiedziała sama przeszło godzinę. Myślała, że o wiele dłużej. Nie chciało jej się wierzyć, że podczas tej niedługiej wizyty zaszła w niej taka zmiana. Przyszła

w nieprzyjaznym nastroju, chciała uciekać — a teraz...?

Wszedł, pytając ją oczami, co ma do powiedzenia. Był w dalszym ciągu ogromnie podniecony.

- Przypomniałam sobie, że pierwszy taki napad strachu zdarzył się, gdy miałam lat dwanaście — rzekła. Nie mogę sobie absolutnie przypomnieć nic wcześniejszego, ale zdumiewa mnie, jak mi się to wyraźnie przypomniało, zupełnie, jakby to było wczoraj.

— Niech mi to pani opowie.

— Mieszkaliśmy wtedy w Albuquerque... Ojciec wrócił z jakiejś podróży, nie pamiętam, skąd. Ale pamiętam, że pojechałam z mamą po niego na stację kolejową — przeraziłyśmy się jego widokiem... Wyglądał tak, jakby się okropnie postarzał. Na pytanie, co się stało, nie chciał odpowiedzieć, chociaż zawsze mówił o sobie wszystko i nie miał przed nami żadnych tajemnic.

Tego wieczora z okazji jego powrotu mama przygotowała wspólny obiad. Pamiętam, jak powiedziała do niego: „Jesteś taki wybredny na punkcie wina, że idź lepiej sam do piwnicy i wybierz sobie coś do obiadu”.

Pamiętam, jak ojciec odpowiedział! „Jeżeli nie masz wina w kredensie to się obejdę” I to nie było w jego stylu. Zawsze był niesłychanie żywy, lubił ruch dla samego ruchu i jeżeli zaszła potrzeba, to biegł po drobnostkę nie wiem jak daleko... Nie mogliśmy wobec tego zrozumieć, dlaczego nie skorzystał z okazji, zwłaszcza, że ogromnie lubił wino. Ale matka musiała okazać takie zdumienie, że w końcu zdecydował się iść.

Ja zawsze mu towarzyszyłam. Mieliśmy skromny zapas win tylko w najlepszych gatunkach. Nasz lokaj — murzyn — Elmer, posiadał przy wszystkich swoich zaletach tę wadę, że trzeba było przed nim trzymać piwnicę zamkniętą na klucz. Jego nigdy nie posyłało się po wino.

Piwnica była niewielka, kamienna i wybetonowana. Drzwi potężne, dębowe... Ojciec otworzył je i zostawił klucz w zamku. Odniosłam silne wrażenie, że wszedł do piwnicy z ociąganiem i to mnie naprowadziło na myśl wypłatania mu figla.

Nieraz bawiliśmy się z sobą jak dzieci. On mnie płatał figle, ja jemu. Tym razem, skoro tylko wszedł do piwnicy, zatrzasnęłam za nim drzwi i przekręciłam klucz w zamku.

Zrobiłam to nie pierwszy raz. Odbywało się to zawsze w następujący sposób: Wołałam przez drzwi, że nie wypuszczę go z „więzienia” dopóki nie wykupi się srebrnym pieniążkiem, albo partią krykieta; nie znosił krykieta, jako gry zbyt powolnej. Zawsze udawał, że raczej umrze z głodu, niż przystanie na moje warunki, ale po dłuższym targu dochodziliśmy do porozumienia i wypuszczałam go.

Tym razem usłyszałam z przerażeniem, że rzucił się na drzwi, szarpiąc je gwałtownie za klamkę i wołając okropnym, wysokim głosem, żebym mu w tej chwili otworzyła. Straciłam głowę i chcąc włożyć klucz w zamek, upuściłam go na ziemię. Nim go znalazłam i otworzyłam drzwi, ojciec rozbił o nie kilkanaście butelek... Zupełnie jakby oszalał.

Otwierające się drzwi — pchnął je gwałtownie — przewróciły mnie na ziemię. Twarz jego w owej chwili przypomina mi się z każdym nawrotem... strachu. Oczy miał dzikie... źrenice rozszerzone, czoło mokre od potu, włosy w wilgotnych kosmykach, twarz wykrzywioną grymasem trwogi...

Ja... ja również doznałam pierwszy raz niepojętego strachu. Tak...

— Przypomniała sobie coś. — Tak, wtedy doświadczyłam tego pierwszy raz...

Myślała, że już powiedziała wszystko, ale Galt nalegał w dalszym ciągu.

— Czy pani zobaczyła wtedy ojca w takim stanie również pierwszy raz?

Zmarszczyła brwi, namyślając się.

— Tak, na pewno pierwszy raz.

Spojrzała na trzymany w ręku plik papierów.

— Kiedy to było? W którym roku? — Wymieniła rok. — A, w tym roku ojciec pani pojechał do Sonory i po powrocie sprzedał wszystkie swoje kopalnie. Pomimo, że zaczął swoją karierę, jako inżynier górniczy, nigdy już potem nie prowadził interesów kopalnianych.

— Prawda — potwierdziła po namyśle. — Ale skąd pan o tym wie?

— Studiowałem karierę pani ojca. Wtedy musiał wrócić z podróży do kopalni.

— Tak, tak! — rzekła. — Przypominam sobie teraz. Wtedy jeździł do Sonory. Przypominam sobie, jak mama mówiła, że miał się spotkać z kimś, kto chciał mu sprzedać swoją kopalnię. Ojciec nie chciał nam powiedzieć, co zaszło w czasie tej podróży. Pamiętam doskonale wyraz twarzy mamy, gdy go o to pytała: „Billu, co ty ukrywasz przede mną? Co się stało, że jesteś taki nieswój? Wszak zostawiam ci we wszystkim zupełną swobodę. Ale uważałeś zawsze, że nie ma lepszego interesu, niż górnictwo i teraz nagle pozbywasz się tych kopalń, zupełnie, jakby ktoś tam rzucił na ciebie kłatwę"! Ale ojciec odpowiadał tylko: „Skończyłem raz na zawsze z grzebaniem się pod ziemią". I nic więcej.

Gail umilkła, myśląc, że tym razem to będzie już wszystko, lecz Galt nie ustępował.

— Kto był wtedy współnikiem ojca pani? I gdzie on teraz mieszka?

— zapytał.

— Nazywał się Barnard i już nie żyje. Ale zaraz -jeszcze sobie coś



przypominam. Coś, co Barnard powiedział do mamy na drugi dzień po powrocie ojca. Ja siedziałam nad książką w głębokim fotelu i nie widzieli, że jestem w pokoju. Barnard powiedział tak: „Mam wrażenie, że Bill miał jakiś przykry wypadek w kopalni, którą zamierzał kupić. Może skała się obsuwała, czy coś takiego i został uwięziony w ciasnym przejściu. Nie chce mi nic powiedzieć, ale domyślam się, że to było coś takiego”.

Galt sypnął potokiem pytań.

— Kto był z ojcem pani w Sonorze? Czy ten facet, który chciał sprzedać mu kopalnię? Jakby się można z nim skomunikować? Kto by mi mógł o nim coś więcej powiedzieć.

< iiii? potrzęsnęła głową.

Niestety, nie mogę panu pomóc. Niech pan nie zapomina, że to było piętnaście lat temu!

Do diabła! — wykrzyknął Galt tak gniewnym tonem, że Gail poczuła się dotknięta.

Przeszedł się po pokoju, trzaskając palcami i wydając krótkie okrzyki. Ale w końcu spostrzegł, że miota się w próżni i opanowawszy się, zwrócił się znów do Gail:

— Musimy się koniecznie dowiedzieć, kto wtedy był z ojcem w Sonorze i co się właściwie stało. Sądzę, że ten pan Barnard wpadł na właściwy trop. Ojciec pani musiał mieć jakiś wypadek w kopalni, który wywołał u niego klaustrofobię. Czy ten wypadek wydarzył się sam przez się, czy też został zaaranżowany?

— Zaaranżowany? — powtórzyła Gail z niedowierzaniem. Przez kogo?

— Ja tylko tak przypuszczam — rzucił niecierpliwie. — Czy to był wypadek, czy też co innego, faktem jest, że od tego dnia ojciec zapadł na klaustrofobię. Pani dziecinny figiel z zamknięciem go w piwnicy, okazał w całej pełni następstwa tego wypadku. Widok ataku u ojca podziałał na panią tak, jak na niego ów zagadkowy wypadek; doznała pani niesłychanie silnego wstrząsu, z którego narodziła się klaustrofobia. Zrozumienie tego faktu dobrze pani zrobi, a mnie pomogło już wyświecić początki choroby ojca. Ale musimy dowiedzieć się, z kim ojciec był w Sonorze.

Gail nie rozumiała, jak jej mogło pomóc uświadomienie sobie, w jaki sposób zapadła na klaustrofobię, chociaż słyszała, że współczesna psychoterapia kładzie duży nacisk na odsłanianie przyczyn wstrząsów psychicznych. Zapadło milczenie. Galt zastanawiał się, jak odnaleźć człowieka, którego trop zatarł się już przed piętnastu laty w odległej o tysiąc kilometrów Sonorze. Gail czekała. Nagle w ciszy odezwało się delikatne pukanie Ito.

Galt wstał i otworzył drzwi. Japończyk wszedł na palcach i rzekł szeptem:

— Na podwórzu — po ciemku — jakiś człowiek szpera w ścianie naszego domu, ma narzędzia...

Galt sprężył się cały, jak do skoku.

— Pokaż, gdzie — rzekł cicho.

Ito wskazał skrajne okno pokoju od strony sąsiedniego domu.

Galt wpatrzył się we wskazanym kierunku i po chwili w oczach jego mignął błysk zrozumienia.

Gail obejrzała się i zrozumiała, że musiało chodzić o przewód telefoniczny, biegnący po parapecie. Galt podszedł tymczasem do

biurka i podniósł z wielką ostrożnością słuchawkę, przyciskając jednocześnie palcem widelki. Naturalnie nie chciał, żeby ktoś na linii pochwyił cichy odgłos zwalnianych widełek. Nim centrala zdążyła się odezwać, Galt położył słuchawkę tak samo ostrożnie, jak podniósł.

Oczy błyszcząły mu podnieceniem, zadowoleniem i szatańskim humorem. Musiał podzielić się swoim odkryciem z Gail.

— Podsluchują mój aparat — zachichotał wspaniale.

I nagle spoważniał.

— Proszę, niech pani zatelefonuje do Czerwono-żółtego Związku, żeby tu przysłali taksówkę dokładnie o czwartej rzeł z naciskiem, po czym wymienił numer telefonu.

Otworzyła szeroko oczy.

— Ależ ja nie potrzebuję taksówki, Alan po mnie przyjedzie.

— Proszę, niech pani zatelefonuje!

Gail zeszywniała.

— Dobrze, jeżeli mi pan wytłumaczy, dlaczego to jest konieczne. Znów wydał okrzyk zniecierpliwienia, ale zrozumiawszy, że musi jej ustąpić, rzeł:

— Przypuszczam, że ci, którzy nasłali na mnie Wyskrobka, żeby mnie zabił, podsluchują mój telefon, w celu dowiedzenia się czegoś o moich poczynaniach. Ale upewnię się co do tego, jeżeli pani pojedzie do domu taksówką.

— Czy nie prościej byłoby złapać tego fachowca'?

— Nie, to jest na pewno tylko narzędzie nieświadome rzeczy, tak, jak poprzednio Wyskrobek. Ale jeżeli udam, że nie wiem, że mnie podsluchują, to może mi się uda złapać w pułapkę jakąś grubszą rybę.

Gail wpatrzyła się w niego badawczym wzrokiem.

— Jeżeli pana zrozumiałam — rzeła — to mam zatelefonować po taksówkę zamiast po Alana, żeby panu dostarczyć przynęty do pułapki. Jednym słowem mam odegrać rolę, jak się to mówi na południu „przynęty na krokodyła?” Tylko, że ja nie jestem małym murzyniątkiem.

— Tak — rzekł. — Czy boi się pani?

## ROZDZIAŁ V

### **Przynęta na krokodyla**

Popatrzyła na niego chłodno.

— Musiałabym w pełni uwierzyć w pańską teorię, przed rozpoczęciem dyskusji o mojej odwadze — rzekła.

Niech pani zatelefonuje po taksówkę, to pani uwierzy — odrzucił cierpkim tonem.

Daruję pan, że jestem taka tępa — odparła — ale nie rozumiem, jakim sposobem zatelefonowanie po taksówkę mogłoby mnie przekonać.

Rzucił jej gniewne spojrzenie. Zmuszała go do tłumaczenia się, czego nie lubił. Ale cóż miał robić?

— Wyskrobek miał polecenie zabicia mnie. Jego śmierć nie od wiedzy ich od tego zamiaru. Z tej przyczyny, muszę zostać tu, w domu...

- Spozrzegł wyraz jej twarzy. — Kwestia mojej odwagi nie ma w tym przypadku znaczenia — ciągnął dalej, dając jej do zrozumienia tonem głosu, że wszystko mu jedno, co kto o nim myśli. Gail zrozumiała, że jej przelotny domysł co do przyczyny jego zamknięcia się w domu był po prostu bezpodstawny. — Jeżeli oni mnie zamordują, to stracimy na tym oboje. Dlatego nie mogę się chwilowo narażać i muszę działać za pani pośrednictwem. Jeżeli pani zatelefonuje po pana Rhodessa, to pošłą za nim wywiadowcę, a my nie dowiemy się, czy oni podsłuchują moje rozmowy telefoniczne, czy nie. Podczas gdy — jeżeli pani zamówi taksówkę na wpół do czwartej — damę im czas na obmyślenie i przygotowanie zasadzki — to może zamiast kierowcy czerwono-żółtej taksówki przyjedzie tu jeden z ich ludzi.

— Rozumiem — odrzekła. Teraz ona patrzyła na niego, jak na jakiś rzadki okaz. Pański kolega z Saragossy powiedział mi, że poświęciłby pan wszystko dla zaspokojenia ciekawości. Czy to prawda?

— Prawda.

— No, przynajmniej pan jest szczery. Ale, co mnie zdumiewa, to pańskie spokojne przekonanie, że zgodzę się z radością spełnić rolę ofiary w pańskim eksperymencie.

Odpowiedział trochę szyderczo:

— Jeżeli pani ma wątpliwości co do mojej teorii, to dlaczego pani obawia się niebezpieczeństwa?

— Przypuścimy, że w nią wierzę, to z jakiej racji miałabym się poświęcać?

— Już pani raz powiedziałem — odparł z irytacją — dla dobra mojej pracy,

dla, jak już to pani raz określiłem, „poetyckiej sprawiedliwości”.

— Nic mi to nie powiedziało.

— Idzie o wykrycie mordercy ojca pani. A co do mojej instrukcji a propos taksówki, sądzę, że dziś nie narażałyby się pani na żadne niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się zdziwiona.

— Pan jest zabawny. Mam więc słuchać ślepo pańskich instrukcji, wbrew temu, co powiedział o panu pański kolega.

Zaczął przechadzać się po pokoju i dyktować jej rozkazy, niby swemu podkomendnemu.

— Zaraz po przyjeździe do domu zatelefonuje pani do mnie, jak przebiegła podróż. Musi pani udać, że stało się coś niedobrego. Jeżeli nie będzie pani miała nic do powiedzenia, to pani skłamię, że panią śledzą. Ja odpowiem pani w taki sposób, jak gdybym był w pani zakochany. Pani będzie mówiła w taki sposób, jakby pani nie miała żadnych wątpliwości co do moich uczuć.

Gail westchnęła z rezygnacją i sięgnęła po słuchawkę.

— Nie jestem dobrą aktorką i nie potrafiłabym udawać wobec pana przyjaznych uczuć. Czy mogę zatelefonować do narzeczonego?

Stanął przed nią groźny i władczy.

— Nie żądam, żeby pani udawała, że mnie kocha, żądam tylko przyjaźni i sympatii.

— Przykro mi — odparła, zdejmując słuchawkę — ale nie potrafię udawać.

Przycisnęła ręką widelki, odcinając ją w ten sposób od centrali. Już się przyzwyczaiła do nieoczekiwanych zmian w jego nastrojach, ale pomimo to jego błagalny ton wprowił ją w zdumienie.

— Niech mnie pani wysłucha, błagam panią! Tak mi szalenie zależy na tej sprawie, że mogłaby mi pani podarować jeszcze trochę swego czasu — kwadrans — dziesięć minut...

Nie rozumiała jego metod i charakteru, ale nie mogła zaprzeczyć, że miał dobre zamiary. Położyła słuchawkę i odwróciła głowę, jak osoba, która słucha z niechęcią.

— Nie będę żądał, żeby pani udawała do mnie przyjaźń — ciągnął Galt. — Chcę tylko, żeby mi pani dała szansę obudzenia w pani takich przyjaznych uczuć...

— Na to trzeba by dużo czasu — odparła sucho.

— Dziesięć minut!

— Doprawdy — rzekła, nie mogąc opanować zniecierpliwienia. — Co za



niedorzeczność!

— Dziesięć minut. Niech mi pani daruje te dziesięć minut, a przyrzekam, że nie będę potem pani zatrzymywał!

Zrozumiała, że ustępstwo będzie łatwiejsze niż dyskusja. On zauważył, że spojrzała na zegarek i poszedł otworzyć komórkę, w której wisiał kaftan bezpieczeństwa. Uczyniwszy to, zwrócił się do niej i rzekł z prostotą:

— Chcę, żeby pani spędziła te dziesięć minut w tej komórce.

Zamrugła powiekami. Czy on oszalał? Czy stracił umiejętność wzbudzania w niej ciekawości?

— Pan żąda ode mnie błazenady — rzekła tonem, jakim przemawia

się do dziecka. — Chce pan, żebym weszła do tej komórki — klucz pozostanie w ręku pana — i myśli pan, że po dziesięciu minutach wyjdę /. niej cudownie przeobrażona — przyjacielska i potulna...

— Spodziewam się tego!

Znów spojrzała na zegarek. Najrozsądniej byłoby dać upłynąć tym dziesięciu minutom spokojnie, bez sprzeczki. Zaniemówiła więc i znieruchomiała.

*Podszedł do niej tak blisko, że, chcąc nie chcąc, musiała spojrzeć mu w oczy.*

— Wiedziałem o klaustrofobii ojca pani i pani, zanim jeszcze panią poznałem — rzekł z jakąś prostą godnością. — Współdziałając ze mną, dowiedziała się pani czegoś z przeszłości ojca, co było do tej pory dla pani tajemnicą. Nieprawda?

— Tak — odparła. Nie mogła przecież zaprzeczyć.

— Więc nie zaryzykuje pani tych dziesięciu minut w komórce? Zamknę panią na klucz, to jest mój warunek, ale przyrzekam, że po wyjściu z tej komórki uczucie wdzięczności połączy nas więzami przyjaźni.

Istnieje zdrowe szaleństwo, zaraźliwe dla śmiałych umysłów, jak wspinanie się na górskie szczyty, przepływanie wodospadów, lub wyścigi samochodowe. Dziesięć minut tortury — uwierzyła mu jakoś, że jej dłużej nie przetrzyma — i będzie wolna. Nie da się naciągnąć na żaden inny podstęp. Opanuje sytuację i otrząśnie się z przemożnego uroku indywidualności tego człowieka. Gdyby zaś teraz od razu udała się do domu pozbyłaby się jego natręctwa, ale nie przestałby jej intrygować. Z drugiej strony nie było wykluczone, że zdumiewający mag dotrzyma przyrzeczenia i obudzi w niej jakąś dziwną wdzięczność. Był taki pewny siebie, że...

— Dobrze — rzekła powoli...

Przeszła z ociąganiem przez pokój, pełna walki sprzecznych uczuć. Przed drzwiami komórki przystanąła. Strach ją przytrzymał, duma popychała.

— Oprze się pani o ścianę, w możliwie swobodnej, rozluźnionej pozie — rzekł Galt. Tak, jak przed godziną na fotelu. Byle tylko nie

naprężyć mięśni...

Jaki pewny siebie i jej posłuszeństwa i zrozumienia. Stała na progu komórki.

— Proszę wejść i zamknąć drzwi — rozkazał.

Zdobyła się na męczeński wysiłek woli. Przystąpiła próg, ujęła klamkę i zamknęła drzwi.

Zgrzytnięcie klucza wstrząsnęło nią do głębi, ale jednocześnie spotęgowało w jakiś dziwny sposób zaufanie do Galta. Nie miała teraz najmniejszej wątpliwości, że wypuści ją po dziesięciu minutach.

— Dobry początek — zabrzmiał jego głos. — Widzi pani, jak pani nad sobą panuje... Pani jest inteligentna, pani wie, że komórka — to tylko komórka... Kiedy upłynie dziesięć minut, teraz już tylko dziewięć, teraz osiem...

Stała oparta o ścianę, uginając się w kolanach. Oddychała szybko i z trudnością, ale powiedziała sobie, że pewnie w komórce musi być duszno i gorąco.

— Siedem., sześć — liczył w przerwach — zwycięża pani... Pięć... Już połowa... Cztery...

Stężała cała, ale znów opanowała się. Miała po drugiej stronie drzwi sprzymierzeńca w postaci głosu Galta i zdradliwy wróg nie mógł jej już teraz zwyciężyć.

— Zaczyna pani rozumieć, co pani zyska... Trzy minuty... Teraz już tylko dwie... Jak łatwo, prawda? Jeszcze jedna minuta.

Była złana potem i zaciskała mocno szczęki i pięści, aby nie krzyżeć i nie walić w drzwi. Świadomość nowej siły pomagała jej w walce z sobą.

Klucz zgrzytnął w zamku i przez otwarte drzwi wpłynęła fala światła. Gail doznała uczucia zawrotu głowy, ale świeże powietrze nocy z otwartego okna orzeźwiło ją momentalnie. Galt podsunął jej fotel.

Usiadła i po chwili zdała sobie sprawę, że zaszła w niej jakaś zmiana, że spadł jej z duszy jakiś ciężar, do którego przywykła od dawna. Teraz dopiero rozumiała, jaki to był straszny ciężar. Poczula się dziwnie lekka i swobodna.

Co się stało?

Odwróciła powoli głowę w stronę Galta i spojrzała na niego pytająco. Uśmiechnął się i rzekł łagodnie:

— Pierwsza, mętna świadomość nowej wolności!

Wstała. Po prostu ponosiło ją, zupełnie jakby jej wyrosły skrzydła u ramion.

— Tak, coś się we mnie zmieniło... Co to jest? zapytała drżącym głosem.

— To, że klaustrofobia opuściła panią na zawsze.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Czy naprawdę?

Zaśmiał się głośno. Jeszcze nie słyszała jego śmiechu i zdumiała się tą nową, cudowną metamorfozą. Tak się śmieje do dziecka, uradowanego jakimś nowym odkryciem, jego dorosły przyjaciel.

— Może się pani sama przekonać. - Wskazał roześmianymi oczami na komórkę.

Gail pojęła nagle całe znaczenie swego przeobrażenia i mózg jej rozjaśnił się jak niebo od błyskawicy. Pojęła, że odtąd nie będzie się bała żadnych zakamarków, choćby najciaśniejszych.

— Przecież — przecież — pan mnie wyleczył...

— Nie. Kuracja zaczęła się od chwili, gdy pani zdała sobie sprawę z przyczyny swego strachu.

— Ale bez pomocy pana...

— Nie. Czas byłby panią wyleczył...

Co za zdumiewający człowiek! Chciał zyskać jej przyjaźń i, pomimo to, odrzucał okazję zyskania w jej oczach.

Spojrzała na niego, jak na jakąś nową osobę. Po raz pierwszy zauważyła na jego twarzy plamę krwi i pomyślała z przerażeniem, że ona go tak pokaleczyła i posiniaczyła...

Odetchnęła pełną piersią świeżym powietrzem, głęboko, radośnie i zwróciła się znów do niego.

Będzie pan nosił ślady moich pięści dłuższy czas — rzekła powoli. — Ale spodziewam się, że pana żal do mnie tak długo nie potrwa. Niech pan nie zapomina, że ja przecież pana wcale nie znałam...

— Ja chcę od pani czegoś dużo więcej — i dużo mniej, niż usprawiedliwiania się — rzekł.

— Czego? — lapytała, choć już widziała.

— Zaufania.

— Ma je pan — odparła z prostotą. — Byłabym głupia, gdybym jeszcze teraz panu nie uwierzyła... i niewdzięczna — dodała.

I znów Galt przeobraził się w innego człowieka.

— Dobrze — rzekł energicznie — proszę więc teraz zatelefonować po tę żółto-czerwoną taksówkę!

To nagłe skorzystanie z jej przyjaznych uczuć trochę ją zaskoczyło. Ale wzięła posłusznie słuchawkę i kazała się połączyć ze Związkiem Czerwonozółtych Taksówek.

Zaspany głos zapytał ją, czego sobie życzy.

— Proszę przysłać taksówkę o wpół do czwartej pod... — wymieniła adres, napisany przez Galtę na skrawku papieru.

— Dobrze. Przyślemy.

Położyła słuchawkę i spojrzała na Galta, który podniósł głowę i spojrzawszy w okno, rzekł:

— Przypuszczam, że ten „fachowiec” z zewnątrz założył podsłuch i że ma ze sobą pomocnika. Nie możemy przewidzieć z wszelką pewnością, co oni zrobią, ale prawdopodobnie pojedą za panią i wytropią gdzie pani mieszka i kim pani jest. Niech pani nie omieszka po przyjeździe do domu zakomunikować mi telefonicznie, co pani zauważyła w drodze. W razie potrzeby, niech pani coś zaimprovizuje.

Gail słuchała, nie rozumiejąc.

— Może okazałabym się pożyteczniejsza, gdybym wiedziała, jaki jest cel tej taktyki — rzekła.

— Nie, zależy mi, żeby pani nie wiedziała.

Jeszcze przedtem obraziłaby się ale teraz przyjęła to swobodnie. Galt mówił dalej:

— Jeżeli dowiem się, że w drodze groziło pani rzeczywiste, albo urojone niebezpieczeństwo, to powiem pani, że musi pani wynająć sobie jakiegoś ochroniarza. Niech pani mówi przyjaźnie, niech się pani o mnie kłopotczy, ale niech pani lekceważy moje obawy. Przyrzeknie mi pani przez telefon, że zastosuje się pani do mojej rady. Ale niech pani niczego nie zaczyna na własną rękę. Dopiero, gdy jutro, lub później zgłosi się ktoś ode mnie z propozycją opieki, niech ją pani przyjmie. Może to być ktokolwiek.

Zaśmiała się nerwowo.

— Udziela pan reżyserskich wskazówek bardzo pobieżnie. Wszak wszystko będzie zależało od tego, jak ja odegram swoją rolę. Może warto zrobić próbę, zwłaszcza, że nie orientuję się w całej akcji.

— Dobrze. Więc przyjechała pani do domu. Proszę do mnie zatelefonować.

Gail zaimprovizowała pośpiesznie jakieś podejrzone okoliczności, zauważone w drodze do domu. Przypuszczała, że Galt zapoznają, choć w przybliżeniu, ze szczegółami swego planu, lecz zawiodła się. Parokrotnie kiwnął jej tylko potakująco głową, poprawił w paru miejscach, nie objaśniając, dlaczego woli, żeby było tak, a nie inaczej.

Nagle na dole rozległ się słaby dźwięk dzwonka. Galt zerwał się i otworzył drzwi, zanim jeszcze Ito wszedł na górę.

— Przyjechała taksówka — zaraportował Japończyk.

— Co? — wykrzyknęła Gail, spoglądając na zegarek. Przecież to dopiero wpół do trzeciej, a ja zamówiłam taksówkę na wpół do czwartej.

— Ito — rzekł cicho Galt — zejdź na dół i powiedz kierowcy, że pośpieszył się o godzinę, ale nie besztaj go za to! Rozumiesz?

Gail nie zrozumiała. Za to w oczach Ito błysnęły iskierki, świadczące, że on rozumiał.



Gail zaczęła już czytać w wyrazie twarzy Galla i teraz ujrzała na niej skupienie i determinację. Japończyk wrócił po chwili i zameldował:

— Kierowca mówi, że musieli się pomylić w biurze. Pyta, czy ma czekać?

— Niech czeka.

Ito wyszedł, a Gail spojrzała na najwidoczniej rozradowaną twarz Galta.

— Za kilka minut pani pojedzie — rzekł trochę porywczo. — Niech pani poda swój adres i zwróci uwagę na fotografię na licencji kierowcy. Prawdopodobnie albo wcale nie będzie licencji, albo twarz kierowcy nie będzie podobna do tej ze zdjęcia.

- Ale w każdym wypadku mam pozwolić się zawieźć, dokąd?
- Zawiezie panią do domu.
- Czy to jest pańska teoria?
- Tak.

Gail, która lubiła żyć w pośpiesznym rytmie i niecierpliwiła się, gdy coś nie szło dostatecznie szybko, doznała wrażenia, że teraz wypadki toczą się w zbyt ostrym tempie, nawet dla niej. Jej zaufanie do Galta było jeszcze takie świeże, a tymczasem on już korzystał z niego do granic możliwości. Przypuszczał, że przysłano po nią fałszywą taksówkę i pomimo to kazał jej wierzyć, że wróci do domu bezpiecznie.

— Może w razie czego przydałaby mi się jakaś broń — rzekła trochę uszczypliwie. — Nie wzięłam nic ze sobą.

— Nie będzie pani potrzebna — odparł i czując, że może nadużywa jej zaufania dodał: — Nic takiego nie zrobią, żeby pani była zmuszona uciekać się do rewolweru. A w każdym razie nie dziś.

Zaśmiała się trochę drżąc z jego lekkiego nacisku na „nie dziś” i wzięwszy teczkę, skierowała się ku drzwiom.

Ale on miał jeszcze do dodania uwagę delikatnej natury.

— Co do pana Rhodesa — rzekł — to może pani powiedzieć wszystko, co panią spotkało. Jeżeli pani chce. Ale lepiej by było, żeby pani nie budziła w nim obaw co do swego osobistego bezpieczeństwa.

Powierzchniowo sądząc, był to z jego strony objaw delikatności uczuć. Lecz Gail odczuła, że oprócz tego wchodziły w grę i inne rzeczy, których jeszcze nie rozumiała. Jednocześnie uświadomiła sobie, że między nią i Galtiem wytworzyło się coś nieuchwytnego, coś wyłączającego Alana. Galt na przykład obudził w niej pęd do ryzyka. Alan nigdy by tego nie uczynił. Pod tym względem miała więcej wspólnego z Galtiem. Alan nie był skłonny do życiowego hazardu.

— Rozumiem — rzekła, wychodząc z pokoju.

Przyjęła jego manierę ignorowania form towarzyskich. Nie pożegnała się z nim i on nie odprowadził jej do drzwi.

Ito wyprowadził ją z domu i pomógł wsiąść do taksówki.

Kierowca wyglądał zupełnie zwyczajnie, pomimo to Gail podała mu swój adres mocno niepewnym głosem. Gdy auto ruszyło z miejsca, Gail poszukała wzrokiem licencji z fotografią, nazwiskiem i numerem, i nie znalazła.

Nigdy jeszcze nie widziała na Broadway'u takiej pustki. Spostrzegłszy, że jednak jedzie do domu, odzyskała dobry humor. Na prom trzeba było czekać dosyć długo, ale widok policjanta kierującego ruchem i oświetlonej poczekalni, wystarczył, żeby jej to nie zniecierpliviło. Chociaż gdy pomyślała o ciemnej drodze od St. George aż do domu, zdjęła ją pokusa zapytania kierowcy gdzie podział swoją licencję. Nie

mogła zwrócić się o poradę do Galta, ale sama zrozumiała, że zdradzenie się przed kierowcą z podejrzeniami co do jego tożsamości mogłoby popsuć cały ich plan.

Brama otworzyła się i auto wjechało na prom. W trakcie długiego przejazdu przez ciemną przystań, Gail zdała sobie sprawę z ogromu przeżyć, jakich doświadczyła przez niewiarygodnie krótki przeciąg czasu. Czy naprawdę pojechała do Galta tego dnia wieczorem, a nie przed laty? Czy możliwe, żeby zmieniła o nim zdanie w tak bardzo krótkim czasie? Co za człowiek! Czy możliwe, żeby ją tak cudownie przeobraził w ciągu kilku godzin?

Prom wpłynął do doku i auto zjechało na ląd. Tu kierowca stanął i rzekł do niej grzecznie:

— Przepraszam panią, ale chyba nawalił dyferencjał.

Spostrzegła już wcześniej, że wóz jedzie jakoś dziwnie, ale była tak pogrążona w myślach, że nie zwróciła na to zbytnej uwagi.

— Zjadę tam za poczekalnię i zobaczę, czy się da co zrobić. Myślę, że wystarczy mi parę minut, a lepiej tutaj to zrobić, niż utknąć potem na ciemnej drodze.

Skinęła głową.

Kierowca zjechał za poczekalnię, stanął i zaczął czegoś szukać w skrzynce z narzędziami. Po dłuższej chwili otworzył drzwiczki i rzekł do Gail:

— Nie mam dziś, cholera, szczęścia. Myślałem że mam ze sobą wszystkie narzędzia, ale nie. Pójdę pożyczyć od tamtych. Pewnie mają.

Wskazał na gromadę robotników, naprawiających tor tramwajowy.

— Za pięć minut będę z powrotem.

I odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Gail patrzyła na sylwetki robotników, odcinające się ostro na tle silnego światła i na czarną noc na dalszym planie. Kierowca zniknął w ciemnościach. Czekala na ukazanie się i jego sylwetki na tle jasności.

Upłynął kwadrans. Nie wrócił. Zrozumiała, że w ogóle nie wróci.

Wysiadła z taksówki i pobiegła do poczekalni zatelefonować. Zadzwoiła

do domu. Odpowiedział jej głos Alana.

— To ja, Gail. Czekam tu na ciebie. Gdzie jesteś?

— W poczekalni, koło promu. Proszę cię, przyślij...

— Sam przyjadę!

On mnie nigdy nie zawiedzie — pomyślała przelotnie.

Wyszła z budki i natknęła się ku swemu zadowoleniu na policjanta.

— Panie posterunkowy, kierowca mi uciekł — rzekła i opowiedziała w skrócie o niezrozumiałym incydencie. Poszli razem do taksówki. Policjant otworzył drzwiczki.

— Dziwne — rzekł. — Zobaczmy zaraz, kto to był. Gdzie licencja? E, to mi się nie podoba! Czy pani zauważyła, że nie ma licencji?

— Nie ma?

— Zatelefonuję do komendy i dowiem się, czy oni coś wiedzą o tej taksówce.

Poszedł do telefonu i wrócił jeszcze bardziej zaintrygowany niż poprzednio.

— Tę taksówkę zatrzymał o pierwszej czterdzieści pięć jakiś gość, który kazał się zawieźć do Fordhamu — rzekł. — W Drugiej Alei kazał kierowcy stanąć i posłał go po kanapki i gorącą kawę do nocnej restauracji. Kiedy kierowca wrócił, taksówki już nie było. Po co ten gość ukraść taksówkę? Żeby wozić pasażerów? Nic nie kapuję. A pani gdzie wsiadła?

Gail musiała skłamać pierwszy raz w życiu. Przyszło jej to tak łatwo, że przypisała tę łatwość wpływowi Galta.

— Byłam u znajomych — rzekła — i kazałam sobie telefonicznie przysłać taksówkę o trzeciej trzydzieści, ale potem zdecydowałam się wrócić do domu o godzinę wcześniej. Wysłałam na ulicę i złapałam tę taksówkę na rogu Trzeciej Alei i Trzydziestej Czwartej ulicy.

— Przypuszczam, że łobuz chciał tylko ukraść licencję — rzekł policjant, notując jej zeznania. — To się zdarza. Tego tylko nie rozumiem, dlaczego zabrał panią i zadał sobie trud przywiezienia jej tutaj. I dopiero wtedy zwiął. Może pani będzie łaskawa podać mi swoje nazwisko i adres. Dla formalności, proszę pani.

Gail podała adres i nazwisko.

— Może sprowadzić pani taksówkę?

— Nie. Dziękuję. Telefonowałam po wóz do domu.

Po niedługim czasie zobaczyła smugę światła reflektorów auta Alana, a za chwilę jego samego.

— Co się stało, Gail? — zapytał, wysiadając z nerwowym po

śpiechem.

Opowiedziała mu dyskretnie, co zaszło, bagatelizując zagadkowo — ryzykowną stroną całej tej historii. Czuła, że ten cień rezerwy był dziełem Galta i mag stanął niejako pomiędzy nią i Alanem.

Alan odwiózł ją do domu. Żegnając się, rzekł:

— Gail, ja tego wszystkiego nie rozumiem — spojrzał na nią wzrokiem, który ledwie wytrzymała. — Naturalnie, masz prawo nie powiedzieć mi całej prawdy...

Gail rada była, że w holu panował prawie półmrok, bo przynajmniej on nie zobaczył na jej twarzy zdradzieckich rumieńców.

— Alanie, ja sama niewiele rozumiem i nie dziwię się, że podejrzewasz mnie o nieszczerłość — rzekła wymijająco i dodała tonem

prawdziwej szczerości. — Ale jeżeli znajdzie coś ważnego, to nie ukryję tego przed tobą. Wierzysz mi, prawda?

— Wierzę i przepraszam cię — rzekł ze skrucą. — Dobranoc, najdroższa! Zobaczmy się jutro.

Ze swego okna odprowadziła wzrokiem światła jego samochodu i poszła do telefonu. Nie potrzebowała sprawdzać w notesie numeru telefonu Galta, bo zapamiętała go. W parę minut później usłyszała jego głos.

— Czy to pani, panno Gail? — na dźwięk swego imienia w jego ustach doznała dziwnego wstrząsu. — Gdzie pani jest?

— W domu — odparła. — Zdarzyła mi się dziwna przygoda. Mój kierowca opuścił mnie na Staten koło promu i zostałam sama z taksówką. Policjant stwierdził brak licencji. — Co pan o tym sądzi?

— Panno Gail — odparł gniewnie. — Źle pani zrobiła, że nie pozwoliła mi się pani odwiedzić. Ale pani jest zawsze uparta i nie liczy się pani z moimi nerwami. Błagałem, żeby pani się nie wtrącała do tej sprawy. Moi wrogowie wcale się panią nie interesowali i nastawali tylko na moje życie. Ale pani się uparła, żeby przyjechać. Dlaczego pani mnie dręczy w ten sposób?

Uprowadził ją, że będzie udawał zakochanego, ale nawet jej przez myśl nie przeszło, że uczyni to w formie nagany. Jego charakter był zaiste studnią niespodzianek.

Poczuła się w swej roli, jak dobra aktorka.

— Cenię pana troskliwość o mnie, ale uważam, że pan trochę przesadza...

— Szkoda czasu na grzeczne wątpliwości wybuchnął. — Wiem dużo więcej od pani. I błagam panią, niech się pani *postara* o kogoś, kto by się panią opiekował... Dla mojego spokoju, naj... Ja sam nie mogę. Jeżeli wyjdę z domu, to zastrzelą mnie, jak Wyskrobka. Ale niech się pani o kogoś postara, bo inaczej będę musiał przyjechać i podjąć się tego osobiście.

— Niech pan nie będzie śmieszny — zniecierpliwiła się Gail. — Nie chcę, żeby się pan dla mnie narażał i nie chcę się ośmieszać wynajmowaniem ochroniarzy. Jak bym ja wyglądała pod eskortą jakiegoś goryla?



— Nie mówię o gorylu. Mówię o prywatnym detektywie. Można by znaleźć jakiegoś bardzo dobrego. Spadłby mi wielki ciężar z serca...

— Jestem panu wdzięczna! — Czują teraz, że mówi tak, jak on sobie tego życzy. — Jeżeli dowiem się, że istnieje jakiś dobry, godny zaufania detektyw, to się nad tym zastanowię — ale tylko ze względu na pana. Teraz czuję się zupełnie bezpieczna, jestem w domu i chce mi się szalenie spać. Tylko niech się pan o mnie nie martwi!

— Dobranoc! — rzekł twardym głosem, przerywając połączenie.

Gail poszła wolno do swej sypialni. Dom wydawał się jej jakiś inny niż zwykle, zbyt duży... Pierwszy raz zdała sobie sprawę z ogromu pokoi i klatki schodowej. Naturalnie dom był taki sam jak przedtem, tylko ona się zmieniła. Bo w przeciwnym razie, dlaczego dziwiłaby się temu, do czego przywykła od wielu lat?

Naturalnie stało się tak dlatego, że przestała odczuwać strach, który sprawiał, że nawet największe sale wydawały się jej niewielkie. Teraz już nie potrzebowała wielkich przestrzeni, żeby czuć się dobrze...

Sprawca tej metamorfozy śnił się jej niemal całą noc. Ale miała niespokojne sny. W groteskowej maskaradzie Galt przybierał z błyskawiczną szybkością coraz to inny charakter, to był niepokojący, to przyjazny, to wrogi, to bliski, to straszny.

Obudziła się koło południa z myślą o nim. Zagadka pozostała zagadką i na jawie.

Co ją jeszcze czekało, jakie nowe przejścia?

Zeszła na śniadanie i znalazła koło nakrycia gazetę. Krótka wzmianka donosiła o skradzionej czerwono-żółtej taksówce, którą znaleziono koło promu na Staten. Najwidoczniej zamieszczono ją tylko ze względu na pasażerkę, „pannę Gail Granger, córkę zmarłego pułkownika Grangera”.

Na szczęście dla spokoju Gail, wzmianka nie pozostawiała niczego niedopowiedzianego i nie mogła zaintrygować ani reporterów, ani mieszkańców miasta.

W południe Gail rozmawiała w biurze z Alanem o interesach. Gdy skończyli, on wyjął z kieszeni kurtki bilet wizytowy i rzekł:

— Gail, przypuszczam, że czytałaś w gazetach wzmiankę o swojej wczorajszej przygodzie. Oto dalszy ciąg...

Wręczył jej bilet, na którym widniało nazwisko J. M. Hollisa z adresem.

— Był u mnie przed chwilą i pokazał mi wycinki z gazet z twoim nazwiskiem. Przedstawił mi się jako detektyw Agencji Deana. Widocznie wyobrażono tam sobie, że potrzebujesz dyskretnej opieki. Byłbym go bez ceremonii odprawił, gdyby nie to, że pokazał mi kilka listów

poświadczających jego osiągnięcia zawodowe. Nie przypuszczałem, że elity towarzyskie i finansowe, tak często wynajmują detektywów. Co więcej, ów Hollis nie próbował mi się wcale reklamować, tylko powiedział: „Proszę pana, my uważamy, że panna Granger powinna skorzystać z naszych usług”. To mi dało do myślenia. W dodatku wszystkie poświadczenia głoszą mniej więcej jedno i to samo: „Jeżeli Agencja Deana radzi, to lepiej jej posłuchać”. Co ty o tym sądzisz, Gail?

Gail nie wierzyła własnym uszom. Wszak Galt powiedział: „Jeżeli

zgłosi się ode mnie do pani ktoś z ofertą otoczenia pani opieką..." Ale żeby za pośrednictwem Alana!

— Alanie — zapytała po pauzie — czy jesteś pewny, że te poświadczenia były prawdziwe?

— Mój sekretarz sprawdzał telefonicznie wszystkie. Zajęło mu to pół godziny. Prawdziwe.

— To w takim razie w tym coś jest — rzekła Gail — chociaż osobiście nie uśmiecha mi się perspektywa, żebym miała być strzeżona jak koronowana głowa. Oczywiście, nie pozwolę, ażeby ktokolwiek za mną chodził krok w krok. Nie wiem, o co idzie, ale mogę się skomunikować z tą agencją.

Alan szarpał ucho, jak zwykle gdy był zirytowany.

— Do diabła z tym Galtem! — rzekł. — Działa na człowieka, jak nieskończona powieść sensacyjna. Sądzę, że ta oferta Deana ma coś wspólnego z twoją wczorajszą wizytą u Galta.

— Tak, Alanie — odpowiedziała z ulgą, rada, że może być szczerą. Po odejściu narzeczonego nadała telefonogram pod adresem: „Alf red Bass, Klub Saragossa." Brzmiał on jak następuje:

„Ofertę otrzymałam, czekam na instrukcje".

Została w biurze w oczekiwaniu na odpowiedź od Galta.

Doczekała się jej w postaci dyskretnego, przyzwoicie ubranego faceta, którego zameldowano jej w półtorej godziny później, jako gospodarza Klubu Saragossa.

— Pan Bass pyta się, czy zechce pani przyjąć w swoim biurze szefa wiadomej agencji? Jeżeli tak, to prosiłby o wyznaczenie godziny.

Gail zastanowiła się nad tymi słowami i doszła do przekonania, że wysłaniec musiał powtórzyć dosłownie polecenie Galta i że, nie wiedział nic więcej. Słowem, że odegrał tylko rolę telefonu.

A zatem Galt kazał jej wezwać szefa Agencji Deana. Czy to znaczyło, że i on się u niej stawi?

— Proszę powiedzieć panu Bassowi, że mogę przyjąć wiadomego szefa

tutaj, o piątej.

— Dziękuję pani! Do widzenia!

Mieszkańcy domów, sąsiadujących ze szpitalami, są przyzwyczajeni do scen smutnych przyjazdów i odjazdów. Trzypiętrowy budynek, przed którym zastrzelono Wyskrobka, uchodził w całej okolicy za prywatny szpital dr. Stefana Braddisha.

Toteż nikt się nie dziwił, gdy tego popołudnia zatrzymała się przed nim karetka pogotowia, a z domu wyszedł z sanitariuszem Ito, dźwigając jakąś postać, owiniętą w prześcieradło.

Nosze wstawiono do karetki, Ito wrócił do domu, sanitariusz zajął miejsce obok kierowcy i auto ruszyło wolno przez miasto.

Ale wewnątrz zamkniętej karetki „nieboszczyk” zniecierpliwił się i odrzucił prześcieradło.

Karetka wjechała do warsztatu, widocznie coś się popsuło. Ale mechanik spał się dobrze, bo w kwadrans później karetka wyjechała na ulicę, ale już bez pasażera.

W biurze Gail siedział gruby facet o wyglądzie człowieka czynu. Sekretarz zaanonsował go, jako pana — Deana, szefa Agencji Deana. Gail załatwiła się z nim krótko.

— Wezwałam pana, panie Dean — rzekła, w celu dowiedzenia się od pana, dlaczego są mi potrzebne usługi pańskiej agencji.

Dean potrząsnął głową i odparł tonem grzecznego żalu:

— Przykro mi, ale muszę od pani zażądać, żeby nam pani uwierzyła na słowo. Może to brzmi zarozumiale i niegrzecznie, ale incydent z taksówką daje nam do myślenia, że grozi pani większe niebezpieczeństwo, niż się to wydaje. Powiem tylko tyle: „Jeśli się przekonamy, że nasze obawy były płonne, to powiemy to pani i nie zażądamy zapłaty za naszą pracę, choćby miała się przeciągnąć nie wiem jak długo.

— W porządku — rzekła Gail.

— W takim razie nie będę zabierał pani więcej czasu — rzekł Dean. — Od czasu do czasu przyślemy pani jakieś ostrzeżenie, informację, ale poza tym nie będziemy się narzucać. Do widzenia pani!

— Do widzenia, panie Dean — odparła Gail.

Po wyjściu detektywa uchylone nieco drzwi stalowej skarbicy pułkownika Grangera otworzyły się na oścież i wyszedł z nich Galt. Był zadowolony, bo poznał w Deanie grubego faceta, który wsiadł w Al-bany do pociągu pośpiesznego razem z C. B. Allenem i później rozmawiał z nim tak jakby się dopiero poznali.

— No? — zapytała Gail. — Czy widział go pan kiedyś?

Galt ruszył ku drzwiom.

— Nie — odpowiedział, kładąc rękę na klamce, ale niech go pani słucha.

I wyszedł, jak zwykle bez pożegnania.

## ROZDZIAŁ VI

### **Nowa przynęta**

Pół godziny później szedł ulicą w towarzystwie inspektora policji i komisarza swego okręgu, rozprawiając z nimi donośnym głosem. Już

zapadł zmierzch, ale pomimo to dwa mundury policyjne rzucały się w oczy i przechodnie oglądali się na nich zaintrygowani, kim był cywil i dlaczego szedł z policjantami.

Nie znali się wcześniej. Spotkał ich na ulicy. Szli w tym samym kierunku co on, a potrzebował eskorty. Wracał do szpitala dr. Stefana Braddisha i nie chciał urządzać po raz drugi takiej komedii, jak z wyjazdem karetką, a zależało mu na bezpieczeństwie. Poza tym chciał z jakiegoś powodu, żeby widziano go wchodzącego do szpitala.

Nagle rzekł do towarzyszących mu policjantów:

— Panowie, zwracacie za mało uwagi na okna, które świadczą przecież o charakterze wnętrza. Proszę na przykład spojrzeć na tę wystawę z papierosami. Jaka skąpa, prawda? Prawdziwy trafikarz zapchałby ją maksymalnie pudełkami, żeby zwabić klientów. Ten nie dba najwidoczniej czy co sprzedaje czy nie.

Przedstawiciele władzy spojrzeli na człowieka, który wydawał im się trochę wariatem. Ale tak ich zaintrygował, że przystanęli z nim przed wskazaną trafiką.

— Po tej wystawie — ciągnął dalej Galt nie widać, żeby kupiec myślał o handlu. Proszę spojrzeć na tę grubą firankę. Gdyby te papierosy były naprawdę przeznaczone na sprzedaż...

Policjanci wymienili znaczące spojrzenie. Dawno już podejrzewali, że trafika była w rzeczywistości „speak-easy”. (Jałt ruszył dalej. Szli obok niego, słuchając jego nieprzerwanej gadaniny. Mógł być oryginałem, ale miał coś do powiedzenia. Uwagi, jakie wygłaszał o mijanych domach i sklepach, były rewelacyjne. Traktował budowlę jak żywe ludzkie fizjonomie, mające swój wyraz i charakter, możliwy do odczytania.

Przystanęli wszyscy trzej przed domem dr. Stefana Braddisha.

— Spójrzycie panowie na ten dom po drugiej stronie ulicy — mówił Galt. — Na pewno mieszczą się w nim „umeblowane pokoje”...

— Tak jest — potwierdził komisarz.

— Ale wynajmują je byle komu — ciągnął Galt. — Widać to po



odrapanej fasadzie i po licznych firankach w oknach. Widzą panowie te dwa ciemne okna na najwyższym piętrze? Jedyne nieoświetlone w całym domu. Obydwa należą do jednego pokoju. W jednym są takie same firanki jak w innych oknach, w drugim inne, bo podwójne. Nie chodzi tu o ozdobę, bo wtedy lokator potraktowałby oba okna jednakowo, ani też o zabezpieczenie się przed oczami ciekawskich z przeciwka. Przypuśćmy teraz, że chciałbym obserwować ulicę nie będąc z niej widzianym. Do takiego celu wystarczyłoby mi jedno okno, ale nie będąc dostatecznie przezornym, zaopatrzylibym w podwójne firanki tylko jedno okno.

Powiedziawszy to, odwrócił się od policjantów tak samo nieuprzej-

mie jak ich zaczepił, to znaczy bez słowa pożegnania i wszedł po stopniach domu dr. Braddisha.

— Chwilkę, — zawołał inspektor. — Jestem inspektor Branly, a to jest komisarz Toohey. Może byłby pan łaskaw podać nam swoje nazwisko.

— Galt — rzucił przez ramię, nie z uprzejmości, lecz w jakimś celu.

Drzwi otworzyły się i inspektor zobaczył przelotnie twarz Japończyka, który wpuścił Galt.

— Co ta za jeden? Wiesz? — zapytał towarzysza.

— Przyjaciel dr. Braddisha — odpowiedział komisarz. — Więcej nie wiem. Tylko tyle, że nieraz wprowadza się tu na całe tygodnie. Ten japoński służący jest gadatliwy jak ryba...

— A Braddish, co to za jeden?

— Podobno chirurg. Wygląda jak bury niedźwiedź na dwóch nogach. Ma prywatną, podobno bardzo prywatną praktykę. Od czasu do czasu przyjeżdża tu karetka pogotowia i przywozi lub odwozi pacjenta. Tylko tyle wiem. Jeżeli każesz, to postaram się dowiedzieć więcej. Ale co nam ten Galt naopowiadał!

— Sprytny facet. Przydałby się taki w policji. Ale a propos tego, co ci mówiłem, kiedy nas zaczepił...

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami Ito porwał w locie kapelusz swego pana i powiesił go ceremonialnie na wieszaku, gdyż Galt rzucił nim. — Potem otworzył cicho drzwi do łagodnie oświetlonej jadalni mieszczącej się od frontu.

Okna były zasłonięte ciężkimi firankami i portierami. Nieduży, mahoniowy stół, nakryty na jedną osobę, odbijał w swej gładkiej powierzchni płomień dwóch świec. Na środku stały w ozdobnym japońskim wazoniku dwa białe i dwa żółte narcyzy.

Delikatna japońska porcelana uderzała skromną ornamentacją. Taki sam wytworny charakter miało oświetlenie i umeblowanie pokoju, w którym piękno i wygoda zlewały się harmonijnie w jedno. Na tym tle poruszała się lekko ciemna sylwetka wiernego Ito.

Ale Galt był ślepy na piękno i na harmonię.

— Co słyhać? — zapytał z roztargnieniem.

Ita wyprężył się słuźbiście.

— Przewód telefonicznego podsłuchu prowadzi do skrzyni z węglem w piwnicy Nr 224 — zaraportował monotonnym głosem. — Jeden wyszedł i teraz drugi zajął jego miejsce.

— Jak oni wyglądają?

— Jak to pan mówi: „drobne rybki”.

— No, naturalnie. Czy ktoś telefonował?

— Nie, proszę pana.

— A co porabia obserwator z naprzeciwwka?

— Przez cały czas, jak pana nie było, jego twarz majaczyła za firankami. Kiedy pan nadszedł z policją — znikła.

Galt nie okazał specjalnego zainteresowania. Ito stał nieruchomy jak posąg. Galt zaczął krążyć po pokoju, pogrążony w myślach. Twarz Ito, podobna do maski z kości słoniowej i oświetlona niewyraźnie słabym światłem, wydałaby się każdemu absurdalnie nieczuła. Ale Galt wiedział i czuł, że to pozory. Stopniowo ogarnęła go taka irytacja, że wybuchnął:

— Do stu diabłów, Ito, przestań cierpieć. Wiesz, że jestem niewrażliwą świnia i że twoje subtelne uczucia marnują się przy mnie. No, już dobrze!

Odsunął krzesło od stołu i zasiadł do jedzenia. Ito ożywił się i przyniósł z drugiego pokoju wazę lekko parującej, przezroczystej zupy, po której pływał cieniutki plasterk marchwi, gałązka jakiejś zieleniny i połówka ugotowanego żółtka, razem istna kompozycja malarsko-dekoracyjna.

Galt włożył łyżkę w zupę i nagle odsunął ją z irytacją. Teraz dopiero spojrział uważnie na stół, jak człowiek zmuszony do wdzięcznego, lecz pustego ceremoniału.

— Co to jest, Ito? — zapytał niespodziewanym tonem skargi. — Co oznacza dzisiejszy symbol kwiatowy?

— Przyjacielowi — gotującemu — się — może do - dalekiej — podróży — odparł Japończyk.

Galt spojrział na niego badawczym wzrokiem. Czyżby on się niepokoił? I dlaczego?

— To nie taki sam symbol jak wtedy, gdy wyjeżdżałem do Cincinnati — rzekł prawie pytająco.

**Ito** dał gestem do zrozumienia, że nie pragnie poruszać tego tematu i odpowiedział milczeniem. Galt pochwycił jego wzrok.

— To znaczy podróż nieprzewidziana, której sam nie planowałem? — zapytał z uśmiechem. — Martwią cię ci ludzie?

I świdrując Ito wzrokiem, zmusił go do odpowiedzi.

— Oni są bardzo inteligentni.

Galt pochylił się nad zupą.

— Prawda, ale ty przecież wierzysz w przyszłe życie. Po co żałować kogoś, wyruszającego w taką podróż.

Był w tej chwili łagodny, niemal przyjacielski. Ito zabrał prawie nietknięte danie i przyniósł drugie, rybne.

— Ito wolałby, żeby pan zabawił dłużej na ziemi — odpowiedział.

Galt nie zareagował na ten sentymentalny ton. Nie dlatego, że mówił to Ito, ale dlatego, że nie lubił, gdy mu życiono dłuższego życia. Jadł

prawie bez apetytu, jak człowiek, który myśli o czym innym. I to poruszał się koło stołu jak cień, posłuszny na każde jego skinienie.

Nagle z ulicy dobiegł przeraźliwy odgłos klaksonu samochodowego jeden, potem drugi i rozległ się metaliczny szcęk i brzęk tłuczonego szkła. Galt podniósł tylko oczy. Ito podszedł do najbliższego okna, odsunął małym palcem brzeg ciężkiej firanki i zajrzał w lusterko umieszczone w ten sposób we framudze, że można było w nim obserwować ulicę.

Zderzenie dwóch samochodów zaraportował szeptem. — Jeden mocno uszkodzony... mogą być ranni... Dwaj pasażerowie o szerokich barach wysiedli z tego mniej uszkodzonego i biegną zobaczyć, co się stało w drugim... Wyciągają rannego... Czoło zakrwawione... Patrzą na tabliczkę z nazwiskiem dr. Braddisha, idą tutaj...

Rozległo się gwałtowne dzwonienie od frontu.

Ito spojrzął na Galta. Galt przystąpił do okna i zajrzał ostrożnie w lusterko.

Też drobne płotki — mruknał. — Alę za wiele ich naraz.

Wrócił na swoje miejsce i zaczął jeść des<sup>^</sup>r.

Dzwonek hałasował natarczywie i nieprzerwanie. Ito podał miseczkę z wodą, w której pływał kwiat, podobny do gardenii, i powrócił do okna.

- Zbiegają się gapie — szepnął. — Idzie policjant... Ranny jakoś przyszedł do siebie... Schodzi po stopniach, przyjacielsko przez tamtych podtrzymywany i... wsiada do samochodu.... Obydwa samochody odjeżdżają - zdawało mi się, że uszkodzenia były poważniejsze... Policjant zatrzymuje je i pyta... Ranny objaśnia go, że nic mu nie jest... Policjant pozwala im odjechać...

— Nasi wrogowie lekceważą nas, Ito — tokł prawie z uśmiechem Galt, jakby chcąc wynagrodzić wiernemu służącemu, że zlekceważył jego sztukę stołową. Mogli wymyślić jakiś sprytniejszy sposób dostania się do naszej fortecy.

— Panie, Ito woli, żeby oni nas lekceważyli.

Zadzwonił telefon. Ito spojrzął na Galta. Galt nie okazał zainteresowania. Ito podał kawę.

Telefon dzwonił bez przerwy. Upłynęła chwila dłuższa, niż typowa dla

wytrwałego interesanta, który liczy na Opieszałość drugiej strony i nie od razu się zraża. Telefon dzwonił natarczywie, jakby chcąc powiedzieć:

— No, dajcie spokój! Wiem, że jesteście w domu. Radzę wam odpowiedzieć!

W końcu nawet Galt okazał zainteresowanie. Wstał i podszedł do telefonu, ale go nie dotknął.

— Ito, ty odpowiedz, ale-trzymaj słuchawkę tak, żeby i ja słyszał. Ito podniósł słuchawkę. Galt przysunął twarz do jego głowy.

— Słucham — rzekł Ito.

W aparacie zabrzmiał głos kobiecy.

— Proszę poprosić pana Galta — rzekł głos po japońsku.

Ito spojrział pytająco na swojego pana. Kobieta mówiła po japońsku stosunkowo dobrze, ale akcentem europejskim. W tonie jej brzmiała uderzająca pewność siebie, podszyta echem dalekiego, tłumionego niepokoju.

Galt zrozumiał jej japońszczyznę doskonale.

Ito wyczytał w jego oczach odpowiedź na swoje pytanie i rzucił po japońsku.

— Kto mówi?

— Powiem twemu panu... — odpowiedziano w (ym samym języku. — Poproś go.

— Żałuję z całej duszy — odpowiedział ze wschód nią uprzejmością Ito — ale to, że nie wiem, z kim mam przyjemność mówić, uniemożliwia spełnienie tego żądania.

— Nie trać czasu i powiedz mu, żeby on nie tracił swojego rzekła kobieta tonem europejskiego zniecierpliwienia. Wiem, że stoi obok ciebie.

Galt wziął słuchawkę.

— O co idzie? — zapytał po angielsku.

— Czy mnie rozumiesz? — zapytała po japońsku.

— Rozumiem — odpowiedział po angielsku.

— W takim razie mów moim językiem. Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchał. Muszę się z tobą zobaczyć dziś w nocy o drugiej trzydzieści.

— Kim jesteś?

— Jestem tą, która chce uratować ci życie. Więcej nic powiem.

— Dlaczego chcesz ratować mi życie?

— Powiem ci to w cztery oczy.

— Albo, teraz, albo wcale.

— Twój upór naraża na niebezpieczeństwo i mnie, i ciebie...



Niech i tak będzie — odparł obojętnie. Rozgniewała się, ale skapitulowała.

— Wszystko mi jedno, czy umrzesz, czy będziesz żył rzekła po japońsku.  
— Idzie mi tylko o to, żeby twoja śmierć nie zaszkodziła komuś, na kim mi zależy, a mogę go uratować, ostrzegając cię. Stawię się u ciebie punktualnie o drugiej trzydzieści. Czy mogłabym wejść od tyłu?

— Wejdiesz przez drzwi frontowe.

— Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył...

— To już twoja rzecz...

— Jesteś głupcem, że tak mi utrudniasz zadanie!

Galt przerwał połączenie.

Po chwili rozległo się znów natarczywe dzwonienie, ale tym razem skapitulowała kobieta.

— Ito — rzekł Galt — ona tu przyjdzie o wpół do trzeciej.

I wydał mu instrukcje. Ito wysłuchał ich z kamienną twarzą i odważył się zapytać:

— Przepraszam, ale to nie jest „plotka”?

Galt skinął głową.

— Sama przez się nic nie znaczy, ale myślę, że dzięki niej uda mi się złapać grubszą rybę. Pytanie tylko, czy na moją przynętę złapią się oni, czy ja sam?

Ito podnosił rękę, żeby poprawić kwiaty w wazoniku, lecz słysząc to zatrzymał ją w powietrzu i opuścił z powrotem.

— Pan wątpi?

— Zgadzam się z tobą, że oni są bardzo inteligentni... Obudź mnie kwadrans po drugiej.

Udał się do swej sypialni na najwyższe piętro i rzucił się na łóżko w ubraniu. Sen przyszedł momentalnie.

Ito sprzątnął ze stołu, zrobił porządek w pokoju, wziął z szafki w holu latarkę elektryczną i obszedł dom, gasząc wszystkie światła. Ale stąpał w ciemnościach tak samo pewnie jak w dzień. Miał kocie oczy i kocie nogi. Wszedł na górę i sprawdził, czy drzwi prowadzące na strych są zamknięte na dwa zamki i czy sygnalizacja alarmowa jest sprawna. Przyświecał sobie przy tych oględzinach specjalną latarką, wąską jak ołówek. Uspokojony, że wszystko jest tak, jak powinno być, zeszedł do suterenu, gdzie również sprawdził zamknięcia i alarmy.

Teraz poszedł do małej salki na parterze, graniczącej z holem i usiadł na niewygodnym krześle z prostym oparciem. Światła nie zapalił. Jako człowiek wschodu umiał czekać cierpliwie w zupełnie nieruchomej pozycji. Z ulicy sporadycznie dochodziły do jego uszu odgłosy słabego ruchu. Upływały

godziny. Zegar na wieży ratusza wydzwonił północ.

Ito czekał. Ulica poszła spać wcześniej. Ito pozwolił sobie złożyć głowę na oparciu krzesła, ale całe jego ciało pozostało w gotowości, na baczność. Od czasu do czasu spoglądał na fosforyzującą tarczę ręcznego zegarka.

Dziesięć po drugiej wstał z krzesła, poszedł na górę do swego pana i dotknął lekko jego ramienia.

Galt obudził się i otrzeźwiał momentalnie.

Zeszli razem do małej salki, koło holu, i Ito odsunął brzeg firanki w oknie, aby wyjrzeć na ulicę. Światło pobliskiej latarni kładło się jasną smugą akurat na drzwi frontowe.

Ita wyciągnął rękę do tyłu i dotknął Galt. W głębi ulicy zatrzymała się taksówka. Galt stanął przy oknie.

Z auta wysiadła kobieta i zapłaciła kierowcy, który odjechał za róg i tam się zatrzymał. Kobieta skierowała się do drzwi frontowych i spojrzała na tabliczkę z nazwiskiem dr. Braddisha.

Miała na sobie niezwykle modny i elegancki płaszcz i mały, zgrabny kapelusik. Jedwabny szal, owinięty dookoła szyi zasłaniał jej część twarzy, zacienionej poza tym podniesionym kołnierzem. Poruszała się z gracją pięknej kobiety, przyzwyczajonej do męskich holdów.

W rękę trzymała dużą torebkę ozdobioną wspaniałym, wschodnim haftem.

Naciskając dzwonek, obejrzała się bacznie w prawo i w lewo. Ale ulica była pusta, tylko daleko za rogiem stała jej taksówka.

Musiała zadzwonić kilka razy. We wszystkich oknach było ciemno, jakby w domu nie czuwała żywa dusza.

Ta ciemność i milczenie odebrały jej pewność siebie. Jakby szukając pomocy, cofnęła się o krok od drzwi, i nie podnosząc głowy, spojrzała na szczytowe okna domu naprzeciwko.

W „pokojach do wynajęcia” panowały ciemności. I tam wszyscy spali. Ale jedno ze szczytowych okien uchyliło się i na tle ciemnej szpary poruszyła się jak od powiewu wiatru biała firanka.

Kobieta zwróciła się znów w stronę drzwi i wparła palec w przycisk.

Drzwi otworzyły się nagle.

— Proszę wejść! — rzekł ktoś ze wschodnim akcentem, ale bez wschodniej elegancji.

W holu było ciemno. Kobieta rozgniewana na aroganckiego służącego, chciała zajrzeć ponad jego głową w głąb, ale w tej samej chwili silna ręka złapała ją za rękaw i wciągnęła do środka.

Drzwi zatrasnęły się z hałasem, po czym zgrzytnął potężny rygiel.

W głębi otworzyły się inne drzwi, ukazując oświetlone wnętrze poczekalni lekarskiej.

— Proszę wejść!

Kobieta weszła do poczekalni. Japończyk deptał jej po piętach. Bała się, że ją popchnie.

— Proszę oddać rzeczy — rozkazał, wyciągając rękę.

— Nie — zaprotestowała.

Pochwycił ozdobną torebkę, wyszarpnął jej z ręki i położył na stoliku koło wewnętrznych drzwi. Nie mogła się z nim bić.

— Proszę oddać płaszcz i szal!

Zacisnęła poły okrycia.

— Proszę mnie nie dotykać...

— Jeżeli pani nie jest uzbrojona, to dlaczego boi się pani zostawić tutaj okrycie? — mruknął.

Odwinęła powoli szal, rozpięła płaszcz.

— Powiedz swemu panu, że nie powinien się obawiać żadnego zamachu z mojej strony.

Położyła szal i płaszcz przy torebce na stoliku. Japończyk, ujęty jej potulnością, uklonił się sztywno i cofnął się tyłem do drzwi, prowadzących do holu.

— Niech pani idzie za mną do mego pana.

Kobieta obejrzała się na pozostawione rzeczy i poszła za swym przewodnikiem. Ito oświetlał schody latarką elektryczną. Teraz zachowywał się znów jak przystało na przyzwoitego służącego. Na trzecim piętrze wprowadził ją do dziwnego pokoju, w którym rzeźby murzyńskie bratały się z medycznymi preparatami.

— Pan zaraz przyjdzie — rzekł Japończyk.

Kobieta usiadła w fotelu koło stołu. Japończyk stanął przy drzwiach, greczny, spokojny, pozornie gotowy do usług. Ale łatwo się było domyślić, dlaczego nie zostawił jej samej.

Tymczasem na dole, Galt zabrał rzeczy nieznajomej z poczekalni i przeniósłszy je do laboratorium, stanowiącego jednocześnie salę operacyjną, złożył je na stole, nad którym zapalił silne, białe światło. Zupełnie jakby miał badać pacjenta.

Najpierw otworzył torebkę. Zawartość jej była banalna. Szminka do ust w złotej oprawie, złota puderniczka, koronkowa chusteczka do nosa, trochę banknotów, kilka próbek kolorowych jedwabi i flakonik perfum „Czarna Orchidea”.

Miał już odłożyć to wszystko, jako niegodne uwagi, gdy poczuł, że chusteczka nie jest tak miękka i delikatna jak powinna być, lecz dziwnie szorstka.

Zgniółł ją w ręce i obejrzał palce, które pokryły się mialkim proszkiem. Porównał go z pudrem, ale to nie było to samo. Strzepnął chusteczkę i w

powietrzu uniosła się chmurka delikatnego pyłku.

Zbadał próbki jedwabi. I one były tak samo nasycone jakimś płynem, który wyparował i zostawił po sobie subtelny, pylisty osad.

To samo było z jedwabnym szalem, który kilkakrotnie pocierał palcami nad szklanym krążkiem. Otrzymawszy w ten sposób sporą ilość proszku, zbadał go przez szkło powiększające i powąchał. Następnie nasypał po odrobinie proszku na kilka talerzyków i poddał działaniu różnych odczynników chemicznych.

Początkowo pracował na chybił trafił, ale jedna reakcja chemiczna powiedziała mu wiele i potem już łatwo szło. Nie rozumiał tylko jednej rzeczy...

Nagle wziął do ręki flakonik z „Czarną Orchideą”, odkorkował i powąchał. Perfumy nie miały żadnego zapachu. Chuda twarz Galta zadrgała nerwowo. Był na tropie.

Obejrzał szklany koreczek od flakonu i zauważył, że miał w środku niewielki otwór zatkany korkiem naturalnym. Widniały na nim maleńkie bąbelki musującego płynu, przezerające go prawie w oczach.

Galt znalazł klucz do poznania istotnej zawartości torebki. Teraz strząsnął jeszcze z szala odrobinę proszku do mocnego, porcelanowego naczynia i spuścił na dno z wielką ostrożnością jedną kropelkę „perfum”. Po czym szybko cofnął się.

W miseczce zasyczało i podniósł się z niej gęsty, zielonkawy dym o nieprzyjemnej woni. Ale nim zdążył się rozwiać, nad miseczką zajaśniał biały żar, tak silny, że w pokoju zrobiło się przeraźliwie jasno. Galt zasłonił oczy i w tej chwili miseczka pękła, na stół pociekła struga ognia.

Galt skoczył do okna i nie odsuwając rolet i firanek otworzył je, żeby wypuścić z pokoju nieznośną, cierpką woń. Następnie porwał z drugiego stołu płytę marmuru i zadusił nią gwałtowną reakcją chemiczną odrobiny proszku i kropli domniemanych perfum.

Stopniowo do pokoju napłynęło świeże powietrze i Galt spojrzał na rzeczy nieznanym wzrokiem człowieka, badającego pozycje nieprzyjacielskie. Po dłuższej chwili spojrzał na sufit w kierunku swego gabinetu i powziął jakieś postanowienie.

W rezultacie zakorkował flakon i położył go bokiem na rozłożonej na stole próbce jedwabiu, po czym poszedł na górę do swego gabinetu, gdzie Ito czuwał nad nieznaną. Ta siedziała kolo stołu z twarzą odwróconą od światła. Galt obszedł stół i podniósł abażur. Oślepią smugą blasku odwróciła twarz w drugą stronę, ale Galt zaatakował ją światłem i od tej strony. Wstała i odstąpiła od slotu. Galt podszedł do ściany i zapalił lampy na suficie, których światło oddało ją bez reszty na pastwę jego nieubłaganych oczu.

Doznała wrażenia, że odziera ją wzrokiem ze skóry i mięśni.

Miała bujne, błyszczące, czarne włosy, tak mocno zaplecione koło głowy,



że Galt poznał od razu iż nie było to jej codzienne uczesanie. Zmierzyła go wyzywająco ogromnymi, zielonkawymi oczami, ale efekt był taki sam, jakby spojrziała na rzeźbę. Miała piękną, zmysłową, nieubłaganą twarz, szerokie inteligentne czoło i pełne, energiczne usta, świadczące o władczych instynktach. Ogólnie biorąc, wyglądała na kobietę, umiejacą dawać sobie radę w najtrudniejszych sytuacjach życiowych. Ale tym razem sytuacja okazała się ponad jej siły.

Najmocniej dotknęło ją to, że Galt patrzył na nią nie jak na piękną kobietę, lecz jak na przedmiot, z obserwacji którego mógł się czegoś

dowiedzieć. Na przykład, jak na flakon perfum, których gatunek świadczy o upodobaniach nabywcy. W rzeczywistości Galt starał się odgadnąć, dla jakiego rodzaju mężczyzn mogła być ta kobieta pociągająca.

To, co chciała mu powiedzieć, obchodziło go widocznie bardzo niewiele.

Usiłując się bronić, zaczęła:

— Zgłosiłam się do pana, żeby...

Przerwał jej niecierpliwym gestem.

— Jeszcze pani nie jest przygotowana, żeby mi powiedzieć prawdę — rzekł. — A na kłamstwa nie mam czasu. Ale do rana...

— Rano będzie za późno — krzyknęła dzikim głosem — jeżeli pan nie opuści tego domu przed piątą, to pan zginie. Powiedziałam, że o pana nie dbam i chodzi mi tylko o to, żeby uratować kogoś przed splamieniem rąk w pana krwi. Ale jeżeli pan sam chce zginąć, to już na to nic nie poradzę. To jest wszystko, co miałam do powiedzenia. Proszę, niech pan każe służącemu, żeby mi oddał rzeczy.

Skierowała się ku drzwiom. Ito ani drgnął. Galt otworzył komórkę z pasami i kajdanami zastanawiając się, co wybrać. W końcu zdjął z półki coś w rodzaju ogromnych kajdan.

Spiorunowała go wzrokiem, w którym furia mieszała się z trwogą. Ale on przysunął fotel do stołu i wskazując go, rzekł:

— Proszę, niech pani siada!

Cofnęła się ku drzwiom. Nie wierzyła własnym oczom. Co on chciał z nią zrobić? Tymczasem Ito stanął za nią i ująwszy ją za łokcie, popchnął ku fotelowi. Parsknęła jak rozdrażniony kot i rzuciła się na niego z paznokciami. Ale Ito był silny i nie dał się podrapać. Posadził ją przemocą w fotelu, a Galt ukląkł szybko i zakuł zgrabne nogi w kajdany.

— Sporo czasu upłynie, zanim się pani zdecyduje powiedzieć mi prawdę — rzekł. — Poczekam do ósmej rano...

Powiedziałam, że wtedy będzie za późno! krzyknęła.

— Jeżeli wtedy jeszcze będzie się pani upierała przy swoich kłamstwach, to poproszę inspektora Branley'a i komisarza Toohey'a, żeby oni

z panią pomówili. Obserwator z naprzeciwka musiał pani zameldować, że widział mnie wczoraj w ich towarzystwie.

Obrzuciła go rozpaczliwie bezradnym spojrzeniem.

— Niech mnie pan wysłucha — rzekła błagalnie.

— Pewne rzeczy już wiem — odpowiedział. — Jeżeli pani je potwierdzi, to panią wysłucham. Jeżeli nie — pójdę spać.

— Powtarzam że grozi panu wielkie niebezpieczeństwo — rzekła natarczywie. — Jeżeli pan nie opuści tego domu i miasta w ciągu godziny...

Galt był już koło drzwi.

— Może pani czytać te fachowe pisma, które leżą na stole. Nie zainteresują pani, ale nie mam pod ręką nic ciekawszego.

Otworzył drzwi, puścił przed sobą Ito i już miał zniknąć, kiedy jego branka opanowała się z wysiłkiem i rzekła z uśmiechem:

— Może mi pan odda przynajmniej torebkę. Trudno się obejść bez nóg, ale jeszcze trudniej bez chusteczki i bez puderniczki...

Galt wyszedł bez słowa. Krzyknęła rozpaczliwie. Zawrócił.

— Na Boga, niech mnie pan tutaj nie zostawia. Niech pan mi wierzy, że panu... że obojgu nam grozi niebezpieczeństwo...

— Jeżeli mi pani powie to, czego chciałbym się dowiedzieć...

— Czego chce się pan dowiedzieć?

— Kto panią tu przysłał?

Rozejrzała się po pokoju i oczy jej zatrzymały się na telefonie. Czy nie dałoby się go użyć? Nie, sytuacja była zbyt nagła.

— Dobrze, powiem skoro mnie pan zmusza od pała. Musi mi pan uwierzyć, jeżeli pan chce, żebyśmy dożyli do rana... Nie wiem, co pan takiego zrobił, ale przez pana zginął człowiek zastrzelono go przed tym domem — i jego przyjaciele chcą pomścić jego śmierć, chcą pana zamordować — jeden z nich... ja kocham jednego z nich... O, błagam, niech pan opuści ten dom i uwolni mnie! On jutro pewnie pana zabije! Czy pan nie rozumie...

Nagle urwała. Poczula subtelną woń, przedostając;) się z zewnątrz do pokoju i w porównaniu z tym wrażeniem wszystko inne wydało jej się drugorzędne i prawie bez znaczenia.

Spojrzała na Galt'a i wyczytała z jego twarzy, że stracił na razie nadzieję dowiedzenia się od niej czegoś konkretnego. Zaraz też wyszedł i po chwili usłyszała przekręcanie klucza w zamku.

— Proszę wrócić! Powiem — wrzasnęła.

Tym razem nie wrócił. Tymczasem woń stała się tak silna, że kobietę ogarnęła panika.

Zerwała się z fotela. Skute kajdanami nogi mogły się poruszać, ale tylko z szybkością ślimaka. Zmierzyła okiem odległość od okien. Nie, dotarcie do nich zajęłoby zbyt dużo czasu, a zresztą była na trzecim piętrze. Nie mogła przecież wyskoczyć na ulicę.

Ale na szczęście telefon był blisko. Pochyliła się i porwała słuchawkę.

— Clegg, Clegg! Czy słyszysz mnie? zawołała stłumionym, chrapliwym głosem, dygocąc całym ciałem.

Przez chwilę w aparacie panowało milczenie, po czym bezosobowy głos w centrali zapytał:

— Numer proszę?

— Och, mój Boże, Clegg!... Centrala, proszę zaczekać...

Proszę numer!

Clegg! Clegg! — jęknęła nieprzytomnie.

Przepraszam — zapytała centrala. — O jaki numer pani chodzi? Do pokoju wpłynęła nowa fala gryzącej woni, a w ślad za nią odór spalenizny.

Kobietę ogarnął szal trwogi.

— Proszę, centrala — numer Stanwick 4440!

Przycisnęła kurczowo słuchawkę do ucha, patrząc jednocześnie na drzwi. Zdawało jej się, że czekała wieczność, ale w końcu obojętny głos męski powiedział:

— Stanwick 4440!

— Dan! - szepnęła, panując nad wyrrywającym się z gardła krzykiem. — Dan, ratuj mnie! Jestem uwięziona w pokoju Galta i mam kajdany na nogach! Clegg nie słyszy mnie i moja torebka już się zaczęła palić! Och, co ja pocznę?

— Co!? — obojętny głos stał się ostry jak stal. — Co, zapieprzyłaś robotę?

Wpadła w furję.

— Dan! Kitts krzyknęła przeraźliwie. — Myśl prędko! Daję ci trzy minuty czasu. Jeżeli nic mi nie poradzisz, to wezwę straż ogniową i policję!

Ostry głos stał się nagle pojednawczy.

— Wyratujemy cię.

Umilkł, ale ona w dalszym ciągu przyciskała słuchawkę do ucha, tak, jakby od tego gestu zależało jej życie. Oczy miała dzikie, w mózgu zamęt. Chodziło o śmierć lub życie.

Czy mogła zaufać Danowi Kittsowi? A może poświęci ją dla swego bezpieczeństwa? Wszak rozgniewał się, że spartoliła robotę.

— Numer, proszę! — usłyszała.

Naturalnie był to głos telefonistki. Może jeszcze uda się wezwać pomoc. Przez szparę między progiem, a drzwiami wpłynęła do pokoju błada smużka dymu.

— Centrala, centrala, ratunku! krzyknęła kobieta. — Ogień! Ratunku, bo zginę!...

Ale głos jej zabrzmiał tak głośno, iż zrozumiała, że ją odcięto.

## ROZDZIAŁ

### VII

#### **Ostre środki**

Zgrzyt klucza w drzwiach podrzucił ją na siedzeniu. Odwróciła się i zobaczyła Galta, wchodzącego do pokoju w aureoli żółtawego dymu.

Nie zamykając drzwi i nie wyjmując klucza z zamka, podszedł do stołu. Dym rozchodził się po wszystkich kątach i stawał się coraz gęstszy.

Galt trzymał w ręku drugi klucz, krótki i gruby, którym wskazał na jej kajdany.

— Jeżeli pani chce żebym panią rozkuł, to nie mamy dużo czasu do stracenia. Proszę szybko decydować! — Czyżby podsłuchał rozmowę z Danem Kittsem? — Jeżeli pani teraz skłamię, to drogo pani za to zapłaci.

— Już panu powiedziałam — zaczęła, uparcie broniąc się ostatkiem sił przed kapitulacją.

Zobaczyła przez delikatną zasłonę dymu jego drwiący uśmiech i wezbrała w niej ostra gorycz. A więc śmiał się z niej, że się tak dała złapać w pułapkę. Ale — czyżby ogień nie był w rękach tego szatana tylko narzędziem?

Galt schował zbawczy klucz do kieszeni i cofnął się ku drzwiom. Już przeszedł za próg i miał je zatrzasnąć, kiedy kobieta krzyknęła:

— Wróć!

Nie wchodząc do pokoju, zapytał:

— Kto to jest Dan Kitts?

Dym gryzł ją już w gardle.

— Cadwallader, Jenkins, Jenkins i Kitts! wyrzuciła z Irudnością. — Doradcy prawni... Och! Na Boga on mnie nie wyratuje!

— Kim pani jest dla niego?

— Żyjemy ze sobą... Niech mnie pan stąd wypuści!...

— Czego on ode mnie chce?

— Chce pana śmierci.

— Dlaczego?

— Nie wiem! Ale, och! Gdyby go pan znalazł, to uwierzyłby mi pan. On nie zdradzi żadnej swojej tajemnicy nawet prze/ sen. On umie rozkazywać swoim myślom!

— Czy to wszystko ma coś wspólnego ze sprawą pułkownika Grangera?

— Nie wiem. Nigdy nie słyszałam tego nazwiska w jego ustach.

— Komu on podlega?



— Och, nie wiem, nie wiem!

— Po co panią tu przysłał?

— Żebym pana wywabiła z domu... W razie, gdyby się to nie udało, miałam zostawić swój szal i torebkę, które zostały nasycone wybuchowymi chemikaliami, koło jakiegoś łatwopalnego materiału i uciec... Ogień zmusiłby pana do opuszczenia domu...

— A gdzie czekają na mnie myśliwi?

I on, i ona dusili się już dymem.

— Jeden po drugiej stronie ulicy... w domu naprzeciwko... ze strzelbą... dwaj w podwórzu... dwaj na dachu...

— Kto to jest Clegg?

— Ten, który podsłuchuje pańskie rozmowy telefoniczne...

Galt wybiegł na chwilę i wrócił do pokoju, złośliwie uśmiechnięty.

— Clegg ma w tej chwili kłopot z gardłem rzekł. Ito jest zdumiewająco silny i precyzyjny. Ale niech się pani nie martwi o Clegga. Nie udusił go, tylko unieszkodliwił, w czasie gdy rozmawiała pani przez telefon... Niedługo przyjdzie do siebie.

I zamiast ją uwolnić, podszedł do telefonu i kazał się połączyć z numerem, znanym wszystkim nowojorskim kryminalistom. Kiedy komenda główna policji odpowiedziała, rzekł:

— Proszę mnie skomunikować z komisarzem Toohey'em lub inspektorem Branly'em. Jeżeli śpią, obudzić. Proszę powiedzieć, że Galt, człowiek, z którym rozmawiali wieczorem, ma do nich interes, nie cierpiący zwłoki.

Podał swój numer i adres domu i położył słuchawkę.

Nagle w ścianie obok drzwi do holu rozległ się stłumiony dźwięk dzwonka elektrycznego. Galt podszedł na palcach do ściany i otworzył drzwiczki, maskujące wgłębienie pełne elektrycznych wyłączników, kolorowych lampek i przewodów. Nad drgającym dzwonkiem migotało czerwone światelko.

Galt wyjrzał do holu, jakby w oczekiwaniu na coś. Kobieta usłyszała metaliczny dźwięk, najwyraźniej od strony dachu. Ktoś manipulował koło zamków, w drzwiach prowadzących na strych.

Efekty świetlne i dźwiękowe pojawiały się po każdym uderzeniu metalowego narzędzia w drzwi. Po chwili odezwał się inny dzwonek i zapaliło się niebieskie światło. Galt wyszedł do holu, spojrział w dół zadymionej klatki schodowej i wrócił.

— Przyjaciele pani zaczynają się niecierpliwic — mruknął. Oczy błyszczały mu triumfem, jak człowiekowi, którego przeciwnik zaczyna robć fałszywe posunięcia.

Zbliżył się znów do wgłębienia w ścianie i pochwytiwszy dwie wtyczki — (było ich więcej) — stanowiące zakończenie grubo izolowanych przewodów, wsunął jedną z nich w gniazdko pod żarówką, dającą znać o szturmie do drzwi na strychu.

Teraz przekreślił kontakt.

Posypały się iskry, światło w pokoju przygasło, a z góry doleciał krzyk rażonego prądem elektrycznym człowieka. Jednocześnie rozległ się brzęk upuszczonego narzędzia.

Galt powtórzył ten sam manewr z drugą wtyczką, wsuwając ją do

gniazdka pod niebieską żarówką sygnalizującą szturm do drzwi na dole, które zaraz zgasło, równocześnie z ucichnięciem dzwonka.

— Pułapka na bandziorów przy pomocy prądu o wysokim napięciu. Pomysł Ito — rzekł swobodnie Galt, podchodząc wolnym krokiem do swej branki. — Geniusz japoński, objawiający się w praktycznym stosowaniu wynalazków.

Na stole zadzwonił telefon. Galt pochwycił słuchawkę.

— Mówi Galt... O, to pan, komisarzu... Doskonale! W oknie pensjonatu, na który zwróciłem panu wczoraj uwagę naprzeciwko lecznicy dr. Braddisha — czeka na moje wyjście / . domu człowiek, uzbrojony w broń palną. Do mojego telefonu doprowadzono podsłuch ze składu węgla o nr 226. Administrator domu nie wie o tym. Mój służący, Japończyk, jest tam w tej chwili i pilnuje operatora. Byłby rad, gdyby go pan kazał zluzować swoim ludziom. Moje anty włamani owe urządzenie dało mi znać, że ktoś dobija się do mnie przez dach i od dołu przez piwnicę. Nadto w poczekalni dr. Braddisha podrzucono materiały palne... Dobrze!

Położył ostrożnie słuchawkę i usiadł na krawędzi stołu, tak obojętny na gęstniejący dym i zapach spalenizny, jakby był szatanem, nie tylko w wyobraźni oszalałej ze strachu kobiety, lecz naprawdę. Przynęła się do niego z trudem i widząc, że nawet na nią nie patrzy, sięgnęła po słuchawkę, ale wyrwał ją jej z ręki.

— Litości! — wyjąkała. — Pan... pan wie... ja nie chcę umrzeć. Niech pan wezwie straż ogniową.

— Nie potrzeba — odparł, ale nie, żeby ją uspokoić. Flakonik z tlenkiem sodu i kawałki jedwabiu leżą na marmurowej płycie z dala od wszelkich materiałów palnych. Zaraz się ten dym przerzedzi.

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

— Więc pan zamscenizował ten — ogień? zapytała powoli. — Żeby mnie nastraszyć?

Nawet sobie nie zadał trudu, żeby jej odpowiedzieć. Patrzył tylko na jej

twarz, mieniając się grą gwałtownych uczuć. Naturalnie sprawa przedstawiała jej się teraz w zupełnie innym świetle. Oszołomiona i przerażona upadła na fotel i wzniosła ku niemu oczy. Nie chciała jeszcze uwierzyć, aby coś podobnego mogło spotkać właśnie ją.

— Czy pan mnie odda policji?

Abstrakcyjna obojętność Galta działała na nią jak dodatkowa tortura. Należała do kobiet, które wolą być nienawidzone przez mężczyzn, niż ignorowane i przekładają niebezpieczeństwo nad poníženie.

Chwyła go za ręce i pochyliła się ku jego kolanom. Złamana w swej dumie, zaczęła go błagać głosem i oczami.

— Pan tego nie zrobi! Pan mnie puści! Pan mnie nie odda policji! Pan mnie tak strasznie nie upokorzy! Co ja panu mogę teraz zrobić? Pan jest silniejszy ode mnie. Niech pan się okaże szlachetny, niech się pan nade mną zlituje! Niech mnie pan puści! O, nie proszę o przebaczenie. Proszę tylko, żeby mnie pan więcej nie karał. Czy pan nie rozumie, co znaczy dla dumnej kobiety takie o-kro-pne ponizenie? Przez całe życie miałam mężczyzn u nóg. Teraz ja padam panu do nóg. Czy nie jestem kobietą, że pan patrzy na mnie takim wzrokiem? Czy nagle zestarzałam się i zbrzydłam?

Ścisnęła go za ręce i nogi pozornie błagalnie, a w rzeczywistości, żeby go podniecić. Nie tyle chodziło jej o uratowanie się przed policją, ile o odzyskanie swej kobiecej próżności.

Galt uwolnił ręce z jej dłoni i wyjąwszy z szuflady powiększające lusterko, którym się posługiwała Gail, wręczył je swej brance z lodowatym uśmiechem. Zbita z tropu jego zachowaniem, wzięła lusterko i przejrzała się w nim odruchowo.

Zobaczyła potargane włosy i pomiętą bluzkę, ale szczegóły te nie miały charakteru dramatycznego. Sama twarz była ściągnięta, a władcze zazwyczaj oczy latały niespokojnie, błagając już nie o hold, ale o proste zwrócenie uwagi. Wszystko to razem wzięte wystarczyło za odpowiedź na jej zaloty. Zupełnie jakby powiedział:

— Popatrz na siebie i zobacz, czym mnie chcesz oczarować!

Podniosła na niego oczy. Usta drgały jej brzydkim grymasem. Może nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, cisnęła lusterkiem w jego chłodną, obojętną twarz.

Pochwyił je zręcznie w powietrzu. Ona porwała ze stołu kościany nóż do przecinania papieru. Wyjął go z jej ręki z niewzruszonym spokojem. Zerwała się z fotela, usiłując sięgnąć mu paznokciami do oczu. Ścisnął ją za ręce z taką siłą, że o mało nie pogruchotał jej kości.

Furia kobiety opadła i rozplynęła się w nagłym poczuciu bezsilności. Galt, widząc, że na razie nie ma się co obawiać dalszych ataków, puścił jej ręce.

Ona uciekła się do ostatniej broni, jaka jej pozostała, do pogardy. Mierząc go jadowitym wzrokiem, rzekła, skandując wyrazy:

— Mogłam zgadnąć, że w drewnie nie płynie krew. Myśli pan, że pan jest silny, dlatego, że nie działam na pana. Nie, nie działam na pana dlatego, że z pana jest zdechłak. Umarli nie czują. Pan się porusza i mówi, ale pan już nie czuje. Dan Kitts nie ma serca, ale ma za to krew w żyłach, podczas gdy pan...

Dokończyła zdanie wyrazem oczu.

Galt, który do tego czasu siedział na skraju stołu, znów sięgnął po

telefon i kazał się połączyć z jakimś numerem. Kobieta obserwowała go pogardliwie.

Aparat odpowiedział dopiero po kilku minutach. Kobieta usłyszała daleki głos innej kobiety.

— Czy to Gail? — zapytał łagodnie Galt i dodał ze skruchą:

— Przykro mi, że cię budzę, ale nie chciałem, żebyś się dowiedziała dopiero z gazet, co się u mnie działo tej nocy... Nie, teraz nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo. Za chwilę zjawi się komisarz Toohey z mego okręgu. Ktoś chciał podpalić mój dom. Jednocześnie pojawili się włamywacze — musiałem wezwać policję. Pisma zrobią prawdopodobnie z igły widły — dlatego chciałem cię uprzedzić. Serdecznie przepraszam, że cię obudziłem, ale wołałem ci oszczędzić niepotrzebnej trwogi.

Jego słowa i ton miały taki wpływ na kobietę siedzącą koło stołu, że rozbroiły ją z ostatniego środka obrony — z pogardy. Przekonała się, że Galt był jednak mężczyzną, wrażliwym na urok kobiety. Ba! nie tylko wrażliwym, ale czułym, troskliwym i zakochanym.

— Nie — mówił dalej. Opanowałem sytuację. Proszę cię, moja droga, nie przejmuj się, bo nie ma czym. Bądź dobra, przebac mi i połóż się z powrotem... Proszę... Dobranoc, kochana!

Miał teraz taki wyraz twarzy, jakby zapomniał, gdzie się znajduje i dopiero dzwonek od frontu wyrwał go z zamyślenia. Na ten dźwięk wyjął pośpiesznie z kieszeni kluczyk i rozkuł z kajdan nogi swojej branki.

Nie poruszyła się, ale jej twarz i ciało drgały kocią wściekłością. Galt odwrócił się od niej, nie patrząc. Będąc już w holu, zawołał:

— Radzę pani nie opuszczać tego pokoju!

I, nie czekając na odpowiedź, zbiegł po schodach.

Kobieta wybiegła do holu i spojrzała w górę klatki schodowej, lecz przypomniała sobie krzyk człowieka porażonego prądem. Mogła go co prawda wyłączyć, ale coś sparaliżowało jej wolę, coś silniejszego niż kajdany.

Dym rozpląnął się w żółtawą mgłę i widać było całe schody. Na dole



skrzypnęły drzwi frontowe i dały się słyszeć grube głosy i ciężkie kroki. Przyszła policja. Galt mówił coś szybko, zwięźle.

Wszyscy weszli do poczekalni na parterze i głosy przycichły. Po kilku chwilach rozległy się znów wyraźnie i schody zatrzęszczały pod ciężarem kilku par nóg. Kobieta cofnęła się do pokoju z uczuciem zwierzęcia, które wpadło w potrzask. Bo jednocześnie usłyszała kroki na dachu

— odważne, hałaśliwe króli władzy.

Galt, biegnąc po schodach w górę, krzyknął do ludzi, znajdujących się na dachu:

— Nie dotykajcie drzwi, dopóki nie wyłączę prądu.

Po czym wpadł do pokoju i wyłączył prąd.

— Teraz możecie! — krzyknął.

Drzwi strychu otworzyły się i po schodach zeszło kilku cywilów. Jednocześnie do pokoju weszło czterech policjantów z komisarzem na czele. Kobieta czekała.

Jeden z cywilów zaraportował komisarzowi:

— Wyciągnęli kogoś przez klapę w dachu. Są ślady. Zwiali dranie.

— I tamci z piwnicy także — rzekł jeden z policjantów. — A pański Japończyk jest trochę pokiereszowany i oszołomiony, ale nic mu nie będzie. I jego więzień także zwiął.

— A tamten z okna naprzeciwko? — zapytał Galt komisarza.

— Znaleźliśmy tylko strzelbę z tłumikiem Maxima. Mógł pana bezgłośnie sprzątnąć.

— Domyślałem się tego -- rzekł sucho Galt i zmieniając wyraz twarzy, dodał: — Panie komisarzu, to jest panna Smith.

Tyle tylko powiedział, ale jego lakonizm był aż nadto wymowny. Łatwo się było zorientować, że jego stosunek do „panny Smith” nie jest najserdeczniejszy. Komisarz Toohey zmierzył młodą kobietę badawczym spojrzeniem i skinął głową na znak, że to nie jego sprawa.

— Ale o co właściwie idzie, panie Galt? — zapytał. — Czego ta banda od pana chce? Dlaczego napadła na pański dom?

— Nie wiem.

Komisarz Toohey okazał intensywne zdziwienie.

— Ależ musi pan coś podejrzewać. Czegoś się domyślać?

— Niczego się nie domyślam.

— Panie Galt — rzekł komisarz już mniej przyjaznym tonem. — Wczoraj, rozmawiając ze mną i z panem Branly'em, dał nam pan do zrozumienia, że pan coś podejrzewa.

Galt zaczął porządkować papiery na stole w sposób wskazujący na zniecierpliwienie. Policja zrobiła swoje; policja mogła odejść. Komisarz nasrożył się na dobre.

Jeżeli pan chce, żebyśmy pana bronili... — zaczął.

— W razie czego dam wam znać — wtrącił Galt.

Komisarz zaczerwienił się i zwróciwszy się do swoich ludzi, rzekł:

— Chodźcie, chłopcy!

Wyszedł pierwszy z pokoju i po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi frontowych. Zaraz potem ktoś wszedł ciężko po schodach i w progu ukazał się Ito, blady, z zakrwawioną chustką przyciśniętą do głowy. Galt posadził go w fotelu i wyjąwszy z oszklonej szafki bandażę, gazę i jakieś środki antyseptyczne, opatrzył ranę z fachową zręcznością. Po czym rzekł:

— Teraz mów!

Ito zmusił się do uśmiechu.

— To było tak. Ten w komórce z węglem siedział ze słuchawką przy uchu. Chwyciłem go za gardło i poprosiłem, żeby przestał. Ale ktoś do mnie podszedł niepostrzeżenie z tyłu i nim się spostrzegłem, leżałem na węglu jak długi. Dopiero policjanci mnie ocucili. Dziękuję łaskawemu panu za opatrzenie ran.

Z tymi słowy Ito wstał i opuścił pokój.

Kobieta, która do tej chwili stała w ciemnym kącie, wystąpiła na środek pokoju.

— Co pan chce ze mną zrobić?

— Może pani iść.

Popatrzyła na jego twarz, szukając w niej choćby jakiegoś przebłysku serca.

— Pan wie dobrze, co mnie teraz czeka      rzekła z goryczą.

— Myślałam, że pan mnie odda w ręce policji. Nie wiedziałam, że pan potrafi być jeszcze okrutniejszy. Teraz to chyba pana zadowoli tylko moja śmierć!

— Powiadam, że może pani iść!

Upadła ciężko na krzesło, splatając mocno ręce na kolanach.

— To samo musiał pan powiedzieć Wyskrobkowi rzekła martwym głosem. — Musiał pan wiedzieć, że posłał go pan na śmierć. Oni wiedzą, że ja jestem tutaj. Wiedzą, że mnie policja nic zabrała i będą wiedzieć, co sądzić o pana litości. I okażą mi taką samą litość, nawet... nawet ten, do którego należę!... Jaka ja byłam głupia! - uderzyła się zaciśniętą pięścią po kolanie. — O, że też nie rozumiałam, że pan nie przez dobroć serca tak postąpił. Och, mój Boże, jestem teraz w po trzasku.

Przestała nad sobą panować i ukryła twarz w dłoniach.

Galt patrzył na nią z zainteresowaniem, ale bez cienia współczucia.

— Mógłbym dać do zrozumienia pani współnikom, że pani mi nic

nie powiedziała — rzekł. — Ale w zamian zażądałbym pewnych usług. Jakby mi pani dowiodła, że mógłbym pani zaufać?

Podniosła ku niemu znękane, zapadnięte oczy.

— Ma pan w rękach moje życie, czego pan może żądać więcej?

— Nie mogę liczyć tylko na pani strach, nienawiść mogłaby się okazać silniejsza.

— Czy pan zna kobiety? — zapytała wolno, ale nie tonem pytania.

— Czy pan wie, w jakim stopniu liche ubranie zabija w kobiecie pewność siebie? Ja nie jestem przyzwyczajona do nędznych szmat i wolałabym raczej umrzeć, niż żyć w biedzie. Ale łatwiej byłoby, mi już znieść łachmany, niż upokorzenie... I — i nie mogę znieść tej krzywdy, którą mi

pan wyrządził... Przyjechałam, żeby pana wywabić z tego domu. Wtedy był pan dla mnie niczym. Uczyniłam to dlatego, że Dan potrzebował mojej pomocy. Dan walczy z panem, musiałam mu pomagać. Nasi ludzie, wszyscy przyzwyczajeni do sukcesów, próbowali pana zgubić i żadnemu się to nie udało. Wtedy Dan zaapelował do mnie. Nie wiedziałam, o co chodzi i nie wiem, ale zgodziłam się udać do pana. Wiedziałam, że za taką kobietą jak ja, głupieją wszyscy mężczyźni... I oto po zetknięciu się z panem poczułam się pierwszy raz w życiu bezsilna, durna, śmieszna... Nie mogę żyć bez wiary w siebie, a pan mi ją odebrał. Pan tylko może mi ją zwrócić. Muszę znów być sobą, temu pragnieniu może pan zaufać!

Galt okazał wreszcie zainteresowanie i skinął głową.

— Nie wiem tylko, jaką drogą zechce pani odzyskać swoją dumę — przez zabicie mnie, czy przez uwiedzenie?

Spojrzała mu odważnie w oczy.

— Jeszcze nie wybrałam — rzekła szczerze.

Galt pochwycił szybko słuchawkę telefonu i usłyszawszy centralę, rzekł:

— Stanwick 4440.

— Dziękuję — odpowiedziano w aparacie. Galt czekał. Kobieta zerwała się z krzesła.

— Stanwick 4440! — zabrzmiało przez telefon.

— Czy to pan Kitts? — zapytał Galt.

— Nie. Kto mówi? — odrzucił po pauzie głos w telefonie.

— Mówi Galt. Pan wie, że mam u siebie pańską kochankę. Pan wie również, że była tu policja i przepędziła pańską bandę. Nie kazałem aresztować pani za usiłowanie podpalenia, bo chciałem od niej coś wydobyć. Ale milczy jak zakłeta. Wobec tego dam znać policji, chyba, że pan się nią zajmie.

— Kochany panie — rzekł słodko głos — połączono pana z niewłaściwym numerem. Ale mówi pan takie interesujące rzeczy, że pozwoliłem sobie chwilę posłuchać...

— Skłoniłem ją podstępnie—przerwał Galt — żeby zatelefonowała i żeby móc ją podsłuchać. Kazała połączyć się z tym numerem i pan odpowiedział.

Znam pański głos, bo już go kiedyś słyszałem. Jeżeli pan nie stawi się u mnie w ciągu pół godziny, to będzie pan musiał zgłosić się po panią na policję.

Nastąpiła pauza, po czym głos odpowiedział:

— Jeżeli panu tak bardzo zależy na mojej wizycie, to może i pani ze mną pomówi. Powie mi, że pan się myli.

Galt wręczył słuchawkę kobiecie, w której zaszła jakaś subtelna zmiana. Twarz ożywiła się, a oczy zagrały blaskiem.

Zaczęła mówić szybko, jakby obawiała się, że Galt nie pozwoli jej skończyć. Ale nie po angielsku. Galt nie znał tego języka, ani żadnego podobnego. Mógł to być język szyfrowy.

Wyrwał jej słuchawkę prawie w połowie wyrazu i zapytał:

— No więc, zdecydował się pan, czy nie?

— Jak pan sądzi? — zaśmiał się grzecznie tamten. — Tylko pomyśleć: budzi mnie w nocy telefon i jakaś nieznajoma para proponuje mi przygodę. Dawno nie zdarzyło mi się coś tak intrygującego. Naturalnie przyjadę i pogadamy. Spodziewam się tylko, że nie doznam zawodu.

— Oczekuję pana za pół godziny.

— Niemożliwe. Za godzinę. Muszę się przecież ubrać przyzwoicie. Taka okazja! Tuszę sobie...

Galt powiesił słuchawkę i zadzwonił na Ito.

— Za godzinę przyjdzie pewien pan — rzekł, gdy Japończyk wszedł. — Jak tylko przyjdzie, przyprowadź go tutaj.

Ito uklonił się z uszanowaniem i wyszedł.

Teraz Galt zaczął przechadzać się po pokoju, wcale nie patrząc na stojącą przy stole kobietę. Przybrała wyzywającą pozę. Ale on jakby zapomniał o jej istnieniu. Usiadła więc i wzięła do ręki numer fachowego pisma, udając, że czyta artykuł traktujący o psychologii analitycznej. Lecz oczy jej patrzyły spod spuszczonej powiek tylko na Galta.

W jego chudej postaci było coś fascynującego, coś z dzikiego zwierza na tropie ofiary. Nie mogła przewidzieć, jakie będzie jego następne posunięcie. Liczyła, że się do niej odezwie i fakt, że tego nie uczynił, nie podziałał na nią uspakajająco. Stale ją zaskakiwał.

Czując silnie podniecenie, spróbowała uspokoić nerwy czytaniem, ale jej się to nie udało, nie zdołała oderwać oczu od Galta. Ten zatrzymywał się niekiedy w swoim marszu, jakby uderzony jakąś myślą i znów chodził. Było to jedyne urozmaicenie monotonii wpływających minut. Kobiecie wydawało się, że jej nieokreślone czekanie nie skończy się nigdy.

Nagle Galt przystanął i zwrócił się twarzą w stronę drzwi. Kobieta nie



usłyszała żadnego szmeru, ale zaraz po zmianie w zachowaniu Galta rozległo się ciche pukanie.

Galt otworzył drzwi i Ito wpuścił do pokoju gościa.

Był to „C. B. Allen”, ten sam, z którym Galt miał zajście w pociągu. Ale przybyły udał, że go nie poznaje i że przychodzi, jako zupełnie obcy człowiek, trochę rozśmieszony przygodą i ciekawy, po co go wezwano.

Kobieta, której rzucił jedno grzeczne spojrzenie, wstała i zapytała go wzrokiem, jak się ma zachować. Oczy błyszczały jej z niepokoju. On

jednak zwrócił się do Galt, uważając, że dobre wychowanie nakazywało, aby jej został wpierw przedstawiony.

Galt, nie prosząc gościa, żeby usiadł, zaczął bez żadnego wstępu: - Panie Kitts, wiem coś, i fakt ten jest panu nie na rękę, a chciałbym się dowiedzieć więcej. Nie zależy mi na tym, żeby wmieszała się w to policja, ale jeżeli sobie nie poradzę w inny sposób, to jednak będę musiał /wrócić się do policji, a to będzie miało przykre następstwa dla waszej organizacji, dla waszego szefa i dla was. Wiecie o tym, bo inaczej nie dybalibyście tak wytrwale na moje życie. Zrobię panu pewną propozycję: pan mi powie, dlaczego wasz szef zamordował pułkownika Gran-gera, a ja obiecuję panu, że zatrzymam tę wiadomość dla siebie. Idzie mi tylko o zaspokojenie ciekawości, o nic więcej, ale zrobię w tym celu wszystko, co będzie w mojej mocy.

Kitts przysunął sobie krzesło tak swobodnym ruchem, jakby był u siebie w domu i usiadł, jak człowiek, który lubi wygodę. Ten rys Galt obserwował w nim przy pierwszym spotkaniu w pociągu. Na jego rumianej twarzy, rozjaśnionej parą lodowatych oczu, nie malowało się nawet najslabsze zakłopotanie.

— Panie Galt rzekł z naciskiem — spodziewam się, że oprócz tej pięknej pani, której pan nie raczył mi przedstawić, nikt nie będzie świadkiem naszej rozmowy. Mówię naturalnie o jakimś ukrytym świadku. Bo ostrzegam pana, że to, co powiem, nie będzie dla pana miłe.

Galt nie odpowiedział. — Dobrze więc. Powiem. Wyjął z kieszeni skórzany portfel, a z niego kilka złożonych arkuszy papieru i ciągnął dalej:

— Kazałem pewnej agencji wywiadowczej zebrać informacje o przeszłej i obecnej działalności pana i pańskiego przyjaciela dr. Braddisha. Zaznaczam, że ta agencja słynie z nadzwyczajnej sprawności i nigdy nie dostarcza fałszywych informacji.

Otóż dowiedziałem się, że panowie zajmujecie się badaniami psychopatologicznymi i że posługujecie się absolutnie niekonwencjonalnymi, nigdzie indziej niestosowanymi metodami. Że nie macie nawet laboratorium i że pracujecie we dwóch, nie kontaktując się wcale z kolegami po fachu. Raporty,

jakie otrzymałem, potwierdzają w całej pełni fakt, do którego pan się przyznał, że dominującym czynnikiem w życiu pana jest ciekawość. Ciekawość tak potężna, że aby ją zadowolić, nie cofa się pan przed niczym, nawet przed zadaniem cierpień. Namiętnością pana są eksperymenty, tylko, że pan ich nie ogranicza do martwych przedmiotów. Powiem krótko, że pan interesuje się wiwisekcją psychologiczną. Pański przyjaciel, dr. Braddish, zajmuje się natomiast chirurgią gruczołów. Ale i on ma pasję do doświadczeń i do wiwisekcji, którą uprawia literalnie na żywych ciałach. Otóż prawo pozwala w pewnych

okolicznościach na wiwisekcję na zwierzętach, ale nigdy na ludziach. Trudno, prawo bywa niekiedy zacofane, lecz zawsze jest prawem, a ja mam dowody, że pański przyjaciel łamie je nagminnie.

Pańskie badania i jego wiążą się nieraz tak dalece, że często pracujecie razem. Obaj spowodowaliście fatalne następstwa — gdybym był sentymentalny powiedziałbym tragiczne — u wielu ludzi, na których przeprowadzaliście doświadczenia. Krótko mówiąc, wasza działalność — może bardzo pożyteczna dla nauki — mija się z prawem w bardzo poważnym stopniu. Resztę może sobie pan sam dośpiewać.

Galt słuchał ze zniecierpliwieniem człowieka, który wierzy, że jest nieomylny.

— Grozi mi pan — rzekł ostro — może pan skorzystać z mego telefonu. Proszę!

Kitts przerzucił delikatnie niewielki plik papierów.

— Mogę zatelefonować, ale nie w związku z tą, jak pan się wyraził, groźbą — rzekł słodkim głosem. — Z tych oto raportów wynika, że jakkolwiek nie może być żadnych wątpliwości co do eksperymentów, uprawianych przez pana i dr. Braddisha, to postępujecie obaj tak ostrożnie, że w praktyce nikt niczego by wam nie dowiódł. Niczego konkretnego.

Wstał i patrząc na swoje papiery, podszedł do (Jałta.

— Na nieszczęście dla pana, są pewne zabiegi surowo zakazane przez prawo i ciężko karane. Lekarz, któremu dowiedziono takiego przestępstwa lub laik, który do tego przyłożył rękę, mogą się spodziewać od pięciu do dziesięciu lat więzienia... W tych papierach znajdzie pan szczegółowe sprawozdanie z podobnych przestępstw, popełnionych przez pana i dr. Braddisha.

Galt zmarszczył brwi.

— Pan wie, że pan kłamie — rzekł z całym spokojem.

— To, co ja wiem, nie ma znaczenia, ale zobaczymy, co powie na to sędzia i przysięgli... Mam w rękę trzy raporty, z których każdy zawiera oświadczenie

złożone przez kobietę, oskarżające panów o zakazaną operację, w każdym wypadku inną. Te oświadczenia są napisane bardzo sprytnie, mogą za to ręczyć — i obfitują w szczegóły. Do każdego dołączony jest raport agencji wywiadowczej, potwierdzający jego treść. Oskarżenia przeciwko wam są poparte paragrafami. Całe mnóstwo świadków stawi się na zawołanie. Stawiają się również poszkodowane kobiety.

Wyciągnął do Galta papiery wdzięcznym gestem subtelnej drwiny, ale ten nawet na nie nie spojrział.

— Wynajmując zawodowych morderców — rzekł spokojnie — sprawiliście, że i ja będę może zmuszony powołać świadków.

Prowokujecie mnie do wyścigu o względy policji. Myślicie, że to co wiem, mniej zaszkodzi waszemu bossowi, niż mnie i dr Braddishowi wasze zmyślane historie. Co, panie Kitts? Kitts schował papiery do portfela.

— Wiem, że pan się nie boi więzienia — rzekł. — Co się zaś tyczy dr. Braddisha, nic mnie on nie obchodzi. Ale wiem, że jeżeli pan się zainteresuje jakąś sprawą, to odebranie panu swobody ruchów jest dla pana torturą. Przypuszczam, że nasze zeznania w sądzie pozbawiłyby pana wolności na dłuższy przeciąg czasu.

Zapiął kurtkę. Powiedział to, co miał do powiedzenia.

Galt popatrzył na niego pierwszy raz z gniewem. Kobieta odczuła w nim zmianę. Przestał być panem sytuacji. Z oczu jego posypały się iskry. Kitts odpowiedział na jego piorunujące spojrzenie grzecznym uśmiechem.

Panie Kitts, proszę zaraz opuścić ten dom. Pani zostanie. Oczywiście, wolno panu wezwać policję.

Otworzył szeroko drzwi. Kitts trochę zdenerwowany, porwał kapelusz i laskę i wyszedł, nie patrząc na kobietę. Ostatnie spojrzenie, jakie rzucił Galtowi, było niepokojąco badawcze.

I to wyprowadził gościa na ulicę i zamknąwszy za nim drzwi, wrócił na górę. Kobieta czekała. Galt ani na nią nie spojrział, ani się do niej nie odezwał. Do I to rzekł:

— Spakuj mi rzeczy, wyjeżdżam. Ito odszedł z kamienną twarzą. Teraz Galt zwrócił się do kobiety.

— Po moim wyjściu Ito panią wypuści.

Wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Na dole wyłączył przewód telefoniczny, prowadzący do pokoju, w którym ją zostawił. Ito czekał już w hallu z walizką i płaszczem swego pana.

— Ito ma nadzieję, że pan prędko wróci — zaczął.

— Nie wiem — odparł Galt. — Twoje kwiaty były prorocze.

I wetknąwszy mu w rękę garść banknotów, wyszedł pośpiesznie z domu.

## ROZDZIAŁ VIII

### **Kwestia zaufania**

Gail Granger siedziała na skraju łóżka ze słuchawką w ręku. Pomimo, że Galt rozłączył się już przed kilku minutami, nie mogła się jeszcze otrząsnąć z wrażenia, wywołanego nagłym przebudzeniem się,

i złowieszczą nowiną, która wdarła się w jej sny jak groźna mara. Świadomość, że czułość w jego głosie nie była szczerą, lecz udaną, nie zneutralizowała wzburzenia. Nie odkładała słuchawki, jakby chcąc się upewnić, że jej się to wszystko nie przyśniło.

Włamywacze... zasadzka przed domem... próba podłożenia ognia... Galt, wzywający policję, której nie uznawał... / przy tym wszystkim prośba, żeby się o niego nie lękała.

Chciała już do niego zatelefonować, gdy przypomniała sobie, że jego aparat był na podsłuchu. Nie miała innego wyjścia, niż czekać na dalszy rozwój wypadków.

Jej wyobraźnia pracowała, intensywnie analizując wszelkie możliwości. Jeżeli Galt nie kłamał, to wszystko, co mówił o niewiarygodnym zamachu na ojca, było prawdą, włącznie z istnieniem jakiejś wrogiej mu za życia, strasznej, przebiegłej i niemiłosiernej organizacji, która teraz prześladowała jego potencjalnego mściciela.

Gail nie zmrużyła oka do rana, toteż gdy o świcie zadzwonił telefon, odpowiedziała od razu.

Mówił Galt.

— Panno Gail... — Tym razem głos jego brzmiał zupełnie inaczej, zupełnie obojętnie. — Nie mogę powiedzieć, gdzie jestem, nawet pani, ale w razie potrzeby będę się z panią porozumiewał telefonicznie. Pani może się zawsze ze mną skomunikować za pośrednictwem Bassa.

Odczuła, że Galt chce powiesić słuchawkę i rzekła prędko nie wiedząc jeszcze, o co chce zapytać:

— Ale niech mi pan powie...

I urwała.

— Nie mam nic więcej do dodania — rzekł oprócz tego, że jeżeli Agencja Deana zapyta panią o mnie — chociaż wątpię — to wolno pani powiedzieć wszystko — byle nie to, że się w pani niekocham.

— Dlaczego — dlaczego - zapytała oszołomiona tym nagłym usunięciem się gruntu spod nóg. — Czy naprawdę mam im powiedzieć wszystko?



— Z wyjątkiem tego, że pani nie kocham! Zupełnie zbita z tropu, zaczęła na chybił trafił:

— Ale ja nie rozumiem...

Usłyszała szcęk słuchawki rzuconej na widelki i poczuła rumieńce na twarzy. Można darować brutalność człowiekowi, który nie potrafi zdobyć się na nic lepszego, ale Galt potrafił być w razie potrzeby subtelny i kulturalny. Och, dosyć już miała tego reżysera i jego wariackiego scenariusza. Jeżeli zaszłoby coś naprawdę poważnego, to mogła się zwrócić z tym do policji.

Nie mogąc uleżeć w łóżku, wstała, ubrała się i zeszła na taras, żeby

tam poczekać na roznosiciela gazet. Ale było jeszcze bardzo wcześnie i upłynęło sporo czasu, nim zobaczyła z daleka znanego sobie forda. Ja wezmę gazety — zawołała, gdy zatrzymał się przed drzwiami. Proszę bardzo — odparł rumiany, młody gazeciarz, podając jej pisma. — Niech pani przeczyta o dzielnej dziewczynie, która tym oto samolotem wybrała się na podbój Atlantyku. Cholera!

Ale Gail była zainteresowana czym innym. Niestety, żadna gazeta nie wspomniała o napadzie na dom Galt. Naturalnie, gdy się to stało, gazety były już w druku.

Jednakże zawód, jakiego doznała, dał jej odczuć, że Galt zapadł w jej wyobraźnię głębiej, niż się spodziewała. Zła na siebie, postanowiła, że nie zajrzy do pism popołudniowych.

Wkrótce po przybyciu do biura, sekretarz zaanonsował jej Deana, który przybył w „sprawie nie cierpiącej zwłoki”. Gail ogarnęło zdenerwowanie. Galt wpychał się w jej życie, wbrew wszelkim zasadom. Wszak zaangażowała Deana na jego żądanie i teraz musiała przyjąć natręta, chcąc nie chcąc.

Wszedł z pękiem gazet pod pachą.

— Dotychczas pani nie nachodziłem — rzekł — ale dziś muszę. Pamiętaj pani, że ofiarowaliśmy pani swoje usługi w związku z incyden-tem z porzuconą taksówką, który miał miejsce dwa dni temu. Wiedzieliśmy, że ten incydent był poważniejszy, niż się to mogło wydawać. Nasza agencja ma swoje własne metody zdobywania klientów. Nie czekamy, żeby się do nas pierwsi zwracali i nie przyjmujemy wszystkich tych, którzy się do nas zwracają. Przeglądamy wszystkie gazety i wiemy dużo o wybitnych osobistościach. Także o sprawach, o których się nie pisze. Śmierć ojca pani — w związku z posiadanymi przez nas informacjami — dała nam do myślenia. W związku z inną sprawą byliśmy już na tropie człowieka imieniem Galt. Pani go zna.

Gail nie zdołała opanować gwałtownego rumieńca.

— Pan nie wie, czy go znam — rzekła stosunkowo pewnym głosem.

Dean założył swobodnie nogę na nogę.

— Jak już powiedziałem byliśmy już na jego tropie. Mieliśmy na podsłuchu jego telefon i wiemy, o czym pani z nim rozmawiała. Obserwowaliśmy jego dom i wiemy, że wyszła pani od niego w noc incydentu z taksówką o drugiej trzydzieści.

Gail oparła się o poręcz krzesła i popatrzyła na gościa.

— Jeżeli go nawet znam, to co z tego? — zapytała.

— A czy pani wie — rzekł szybko Dean — że na wiele dni przed śmiercią pani ojca Galt studiował w bibliotece publicznej i w redakcjach wszystkie wiadomości, odnoszące się do jego osoby?

— Iz tego pan wywnioskował, że potrzeba mi opieki?

— Tak. Jak już powiedziałem, byliśmy na tropie Galta w związku z inną sprawą. Ale spostrzegłszy, że on się interesuje ojcem pani i panią, zaczęliśmy badać pobudki jego postępowania.

— Jakież to były pobudki?

— Dokładnie nie wiemy. Galt jest unikatem w świecie przestępczym...

— Przestępczym?

— Tak się na to zapatrujemy. Ale nie chodzi mu o pieniądze. O ile zdołaliśmy się zorientować, jedyną namiętnością jego życia jest psychologia. W tym celu posługuje się on ludźmi, jak inni świnkami morskimi. Jego ciekawość jest nienasycona. Zdaje się, że nie ma rzeczy, której nie zrobiłby, żeby ją zaspokoić. Dla udanego eksperymentu nie cofnąłby się przed zbrodnią. Pracuje do spółki z dr. Stefanem Braddishem — również eksperymentatorem, chirurgiem, który tak/e przeprowadza doświadczenia na ludziach. Niektóre z tych doświadczeń zwróciły na nich uwagę policji.

— Co!!

Dean rozwinął przyniesione gazety i pokazał *jej* pozakreślane sprawozdania z wypadków, jakie zaszły w nocy w lecznicy dr Stefana Braddisha. Jedno z nich nosiło tytuł: „Tajemnicza klinika”. Wszystkie zgadzały się co do ważniejszych szczegółów, podanych zresztą przez policję. Gail знаła już wszystkie z ust Galta, z wyjątkiem jednego, ale ten jeden zrobił na niej silne wrażenie.

„Wszelkie usiłowania znalezienia doktorów Ir. Galta i St. Braddisha spełzły na niczym. Japończyk Ito Katsui, służący, utrzymuje że nie wie, co się z nimi stało i gdzie są. Poszukiwania policyjne w toku.

— Dlaczego policja ich poszukuje? — zapytała Gail. Dean rozparł się swobodnie na krześle.

— Pewnie wiedzą o ich sprawkach, o których my nie mamy pojęcia.

— Jakich?

— Daruje pani, ale dopóki nie znajdziemy Galta, nie udzielimy pani żadnych informacji dla pani dobra.

— Co was obchodzi moje dobro?

— Po skończeniu sprawy zdajemy się całkowicie - w kwestii honorarium-  
na klienta.

— Rozumiem. A teraz czego ode mnie chcecie?

Dean wstał i wziął kapelusz.

Tylko tego, że gdy Galt do pani zatelefonuje, niech pani go przetrzyma  
i każe sekretarzowi zatelefonować do mnie.

— O? A czemuż to nie na policję?

— Jak pani woli — rzekł prawie obojętnie. — Rozumie się, że to ja  
wolałbym go nakryć. Miałbym przeciwko niemu dowody, których

policeja nie ma i chciałbym, żeby zasługa schwywania tej zwierzyny spadła na moją agencję. Chyba pani rozumie?

Gail dała mu w grzeczny sposób do zrozumienia, że rozmowę uważa /a skończoną.

- Nie zapomnę pańskiej sugestii — rzekła.

Powiedziała to automatycznie, ale przez następne dni i częściowo noce nie mogła o nikim innym myśleć, jak tylko o Galcie. Oskarżenia I Jeana zgadzały się mniej więcej z tym, co o nim wiedziała. Czyżby więc Dean pracował szczerze dla jej dobra? Świadcstwa, które tak zaimponowały Alanowi, wskazywały, że Dean i jego agencja zasługiwali na zaufanie. W takim razie Dean miał rację, ostrzegając ją przed Galtem.

Biła się z myślami i nie mogła dojść do żadnej konkluzji.

Tymczasem Dean, vel Crock czekał na telefon. Upłynęły trzy dni. Gail nie dała znaku życia. Ale za to odezwał się Kitts.

— Proszę się zaraz stawić! — rozkazał i odwiesił słuchawkę.

Crock zrozumiał, co zaszło. Forma wezwania nie pozostawiała pod tym względem żadnych wątpliwości. Był sam w swoim prywatnym gabinecie w agencji Deana i nie potrzebował ukrywać swoich uczuć. Toteż oczy jego stały się surowe i nieubłagane. Była to jego reakcja na możliwość kryzysu.

Nie wyszedł od razu. Siedział dłuższy czas przy biurku, gryząc niezapalone cygaro i głowiąc się, jak wybrnąć z sytuacji. W końcu rzucił cygaro, wstał i udał się tam, dokąd go wzywano.

W biurze porad prawnych Cadwalladera, Jenkinsów i Kittsa było już po godzinach urzędowych. Crock poszedł prosto do gabinetu tego ostatniego. Adwokat krążył po pokoju z twarzą jak pomidor, z oczami jak dwa lodowce.

Kazałem panu przyjść natychmiast — rzekł z pasją.

— Owszem, kazał pan — odparł Crock ignorując gniew rozkazodawcy. W tej chwili miał w perspektywie coś o wiele groźniejszego. — Pewnie pan dostał wiadomość od niego!

— Właśnie! Dzięki „sprawności” z jaką zabraliście się do Galta, szef musiał wziąć całą sprawę w swoje ręce. Wiesz pan, co to znaczy?

Crock zaciął szczękę.

— To znaczy, że winny będzie miał piekło, a winnym jestem ja?

— No, chyba. On wyznacza każdemu swoją rolę, a pan miałeś upolować Galta. Jak dotąd nic z tego nie wyszło, skutkiem czego i ja nie mogłem wypełnić swego zadania.

— Złej tanecznicy zawadza rąbek u spódnicy.

— Ironia pana nie uratuje. Jedyne ratunkiem dla pana to wykonać polecenie, jakie otrzymałem na chwilę przed zatelefonowaniem do pana.

Crock odpowiedział milczeniem.

— Chce, żeby mu sprowadzić tę dziewczynę - rzekł powoli Kitts.

— Nie powiedział, w jakim celu, ale domyślam się, że pragnie w ten sposób odnaleźć Galta.

Crock sięgnął do kieszeni po cygaro. Twarz jego wyrażała w tej chwili zdenerwowanie, widoczne nawet dla mniej spostrzegawczych oczu.

— To nie są żarty — rzekł głośno do samego siebie. — Ona mi nie bardzo ufa. Będę musiał użyć siły. Psiakrew! Porwać córkę pułkownika Grangera! w nagłym przypływie gniewu zapomniał o własnej sytuacji. — Czy on rozumie, co to znaczy?

Kitts okazał, że i on nie jest zadowolony z polecenia władzy.

— On zwykle zdaje sobie dobrze sprawę z, następstw każdego posunięcia — rzekł także jakby do siebie samego. Ale tym razem, mam to wrażenie co pan, że może on nie przewidział co z tego wyniknie.

Urwał i zastanowił się nad tym co powiedział.

— Panie Crock, my się musimy dobrze nad tym zastanowić - rzekł już pojednawczym tonem. — Obaj jesteśmy w bardziej niż przykrej sytuacji. Jeżeli wykonamy jego rozkaz, mówię „my”, chociaż się to odnosi do pana, to prawdopodobnie drogo za to zapłacimy. Jeżeli go nie wykonamy, to na pewno drogo za to zapłacimy. Nasuwa się więc pytanie, czy bezpieczniej dla nas będzie pójść z nim, czy przeciwko niemu.

Nie ukrywając wzburzenia, Crock usiadł na krześle, żeby zebrać myśli, ale zaraz zerwał się, jakby podrzucony sprężyn; i zaczął grzebać w papierach na biurku Kittsa. Stopniowo opanował się, stanął nieruchomo ze spuszczoneymi rękami i zmarszczonym czołem, wreszcie rzekł:

— Sądzę, że on wie, czego chce. W każdym razie wolę go posłuchać...!

Na drugi dzień rano Gail otrzymała list, którego sekretarka nie otworzyła. Sądząc z pieczęci na znaczku nadany był w Nowym Jorku, a zaadresowany na



maszynie, z dopiskiem — do rąk własnych. Treść także napisana na maszynie, i co znamienne list nie był podpisany.

„Chcę, żeby mi pani ufała. Prasa, policja i prawdopodobnie Agencja Deana burzą pani wiarę we mnie. Nie mogę się nad tym rozwodzić listownie. Będzie pani chciała zadać mi wiele pytań, a ja nie chcę podawać pani swego adresu. Wobec tego musimy się zobaczyć.

Niech pani przyjedzie jutro wieczorem sama, zamkniętym samochodem na skrzyżowanie Huguenot Road i leśnej drogi, prowadzącej do Stapletonu. Punktualnie o dziewiątej. Szyby zasłonięte. Nikomu ani słowa."

Z listu była taka pewność siebie, że Gail aż się uśmiechnęła. Wbrew sobie samej doznała prawie podziwu dla tego człowieka, który uważał, że każde jego żądanie należy spełnić. I nawet nie zadawał sobie trudu, żeby poprosić. Rozkazywał. Gail podała list z jakąś dziwną satysfakcją i wrzuciła strzępy do ognia na kominku.

*Znalazłszy się w biurze, uświadomiła sobie, że myśli tylko o Galcie. Jego żądanie nie dawało jej spokoju.*

Chciał usprawiedliwić się przed nią ze stawianych mu zarzutów. Jakich? Nieokreślonych, ale ciężkich! Powinna go wysłuchać przez samo poczucie sprawiedliwości. Że zażądał tego w formie mało wytwornej, nie zmieniło postaci rzeczy. I warunki spotkania nie zależały od niego. Gdyby mógł, spotkałby się z nią gdzie indziej. Pomimo wszystkich swoich wad nie był sentymentalny i nie prowokował świadomie efektów melodramatycznych. Jeżeli cała sprawa przybrała ostatnio charakter szalonej tragifarsy, to nie z jego winy.

Nagle postanowiła się upewnić, że ten list pochodzi naprawdę od Galta. To postanowienie mogło wynikać z wątpliwości zrodzonych z bardzo skomplikowanej i niewyraźnej sytuacji, albo też z podświadomego pragnienia usłyszenia głosu Galta. Jakkolwiek było, zatelefonowała zaraz do Klubu Saragossa.

- Chciałabym pomówić z panem Bassem!
- Kto mówi? zapytał grzeczny głos.
- Gail Granger.

- Tu Bass, proszę pani. Czym mogę pani służyć?
- Chciałabym się dowiedzieć, czy wczoraj wysłano do mnie list.

— Zapytam kogoś, kto powinien wiedzieć. Czy mogę? Gail pomyślała z uznaniem o takcie i inteligencji Bassa.

— Proszę!

— Dziękuję pani. Dostanie pani wiadomość, albo ode mnie, albo od niego.

Teraz należało rozstrzygnąć, czy powiedzieć o tym wszystkim Alanowi. Postanowiła, że lepiej będzie nie mówić. Sytuacja rozwijała się absurdalnie, działała na nerwy i zaprzętała myśli bez reszty. Nie było wobec tego sensu wciągać w ten wir Alana. Naturalnie, gdyby zaszło coś naprawdę poważnego... Gail nie chciała przyznać nawet przed sobą, że obecna sytuacja zasługiwała już w pełni na miano niebezpiecznej.

Dzień chylił się już ku wieczorowi, a ani Bass, ani Galt nie dali znaku życia. Gail była z tego rada. Mogła sobie powiedzieć, że nie ma się czym przejmować i że może mieć czyste sumienie.

Kładła się już do łóżka z zamiarem przeczytania przed zaśnięciem kilku stron książki, gdy zadzwonił telefon.

— Kto mówi?

— Galt — padła lakoniczna odpowiedź. — Niech mi pani przeczyta otrzymany list. Wysłałem do pani dwa.

— W takim razie nie będę panu zabierać czasu i zignoruję obydwu. Dobra...

— Proszę pani! — kameleon znów zmienił skórę i wypowiedział te dwa słowa tonem tak przejmująco błagalnym, że Gail odtajała. Ostatecznie musiała być sprawiedliwa.

Proszę, niech mi pani przeczyta ten list, który pani otrzymała. Jestem w dosyć trudnej sytuacji, muszę wiedzieć, który pani otrzymała.

— W tym, który otrzymałam, wyznaczył mi pan spotkanie jutro wieczorem.

— Niech mi go pani przeczyta — rzekł prosząco.

Nie pozbyła się całkowicie krytycyzmu. Uznała, że Galt grał komedię. Pamiętała, że ilekroć o coś ją prosił, to nigdy dla siebie, tylko ze względu na jakąś sprawę, którą był zainteresowany.

— Kiedy podarłam go.

— Niech pani odszuka te kawałki.

— Spaliłam je. W każdym razie wie pan, który to był list...

— Obydwu były mniej wężej jednakowe i różniły się tylko drobnym, lecz ważnym szczegółem. Musi mi pani powtórzyć, co pani z niego pamięta...

— Czy pan się nie obawia, że mój telefon, lub pana jest podsłuchiwany, lub że ktoś stoi za panem lub za mną i nadstawia uszu? — zapytała sarkastycznie. — Otóż mam pojechać sama, zamkniętym samochodem — jutro wieczorem na skrzyżowanie Huguenot Road i wiejskiej drogi, prowadzącej do Stapletonu. Dalej, mam nie pisać o tym ani słowa — nikomu. Dalej, mam zasłonić szyby w aucie. Nie ma tylko żadnej wskazówki, czy mam się przebrać, a jeśli tak to za kogo.

Nie odpowiedział. Mogło to oznaczać, że poczuł się urażony jej sarkazmem.

— Dodam tylko to, że się tam nie stawię — dokończyła.

— Musi pani!

Powiedział to z taką szczególną intonacją, że poczuła się dotknięta.

— Przykro mi, ale muszę panu odmówić — rzekła oziębło.

— W takim razie przyjmie pani na siebie odpowiedzialność za następstwa!

Do niego należało ostatnie słowo. Uprzedził ją. Nim zdążyła coś powiedzieć, rozłączył się.

Co tam! Położyła się do łóżka i ze sztucznym zainteresowaniem zagłębiła się w lekturze. Dzieło, zapoczątkowane przez pułkownika Grangera, nie materializowało się tak szybko jak za jego życia i Gail

przypisywała częściowo winę za zwłokę Galtowi i jego obsesyjnym podejrzaniom. Gdyby poświęcała więcej czasu sprawom socjalnym...

Ale o czymkolwiek zaczynała myśleć, zawsze wracała myślami do niego. A więc, co do wielkości pomieszczeń w mieszkaniach robotniczych... Ojciec uznawał tylko olbrzymie powierzchnie... To była icdnak rozrzutność! Miała sobie za złe, że wcześniej tego nie spostrzegła? Dlaczego?

Wiedziała, dlaczego. Do ubiegłego tygodnia żaden pokój nie był dla niej za wielki. Teraz, gdy pozbyła się swego strachu, własna sypialnia wydawała jej się absurdalnie olbrzymia... Odłożyła książkę, zgasła światło i spróbowała usnąć. Co takiego było w tym człowieku, że nie można go było przegnać z myśli? Czy ją oczarował, czy może raczej zahipnotyzował?

A może całe omamienie pochodziło stąd, że była jego dłużniczką. Dobrze więc. Spłaci mu ten dług. Pojedzie na rozstajne drogi, zgodzi się odegrać jeszcze jedną scenę dramatu... Jeżeli potem nie otrząśnie się z tego wszystkiego, to zwierzy się Alanowi i poprosi, żeby ją ratował, choćby miała mu zapłacić za ten ratunek małżeństwem.

Galt był winien, że stosunki między nią i Alanem ochłodziły się nieco. Kiedy nadzwyczajne wypadki, jakie rozegrały się pamiętnej nocy w lecznicy dr. Braddisha, trafiły na łamy gazet, Alan dał jej do zrozumienia, że czeka na wyjaśnienia. Miał naturalnie do tego prawo. Gail do tej pory nie powiedziała mu wszystkiego o Galcie. Do dnia, gdy tajemniczy osobnik stał się przedmiotem brukowej sensacji, niewiele sobie z tego robił, zwłaszcza że Gail obiecała mu, iż gdyby zaszło coś ważnego, to go powiadomi. Teraz tajemnica Galta stała się tajemnicą publiczną, więc Alan spodziewał się obiecanych przez nią informacji.

Z rana zatelefonowała do niego odwołując zaproszenie na obiad.

— Przepraszam cię, ale wołałabym żebyś był u mnie jutro wieczorem, a nie dziś. Będziemy mieli masę spraw do omówienia, a dziś zbiorę jeszcze trochę niezbędnych materiałów.

— Zgadzam się — rzekł radośnie Alan, gdyż wywnioskował z tonu Gail, że zapanuje między nimi dawne, serdeczne porozumienie. Wobec tej

perspektywy zwłoka jednego dnia nie miała znaczenia.

Gail zjadła obiad sama i zamówiła samochód. Wszystko musiało być tak, jak chciał Galt, ale to już ostatni raz.

— Masz wolny wieczór — powiedziała szoferowi.

Wieczór był fatalny. Siekł drobny deszczyk i światła przystani przebijały się z trudnością przez żółtą mgłę, przesłaniającą ziemię i niebo. Dość ograniczoną przejrzystość zapewniały przedniej szybie stale pracujące na maksymalnych obrotach wycieraczki.

Wybudowany niedawno most na Staten zmniejszył poprzednie znaczenie Huguenot Road, osłabiając natężenie ruchu, toteż Gail mogła jechać swobodnie z dużą szybkością. Ale ten pęd nie współgrał z jej nastrojem.

Wszystko zaplanowała w ten sposób, żeby znaleźć się w umówionym miejscu dokładnie o dziewiątej i nie udało jej się to. Znała tę okolicę z dawnych lat, kiedy jako podłotek poszukiwała w lasach za Stap-letonem śladów starych domów i grobów hugenockich, lecz boczna wiejska droga tak zarosła krzakami, że jej nie poznała. Pojechała za daleko i musiała wrócić.

Patrząc przez zamazaną szybę — deszczyk przeszedł w deszcz — poznała uzgodnione skrzyżowanie dróg i stanęła. Zegar w samochodzie wskazywał, że spóźniła się o siedem minut.

Droga była pusta. Czy Galt się spóźni, czy też nie czekał? Napisał: punktualnie o dziewiątej, i może nie miał zwyczaju czekać. Ta druga ewentualność uprościłaby sytuację. Miałaby czyste sumienie. Omówiłaby całą sytuację z Alanem swobodnie, wyczerpująco i ostatecznie.

Miała już ruszyć, gdy nagle drzwiczki od strony lasu otworzyły się i oczy Gail rozróżniły dwie męskie postacie, obie w płaszczach nieprzemakalnych z podniesionymi kołnierzami i w opuszczonych kapeluszach. Niższy wręczył jej list.

— Do panny Granger — rzekł nieznajomy głos.

Gail włączyła światło i rozdarła szybko niezaadresowaną kopertę. List napisany na maszynie brzmiał jak następuje:

„Proszę panią jeszcze o jedną łaskę. Dla przyczyn, które pani zrozumie, nie mogłem dzisiaj opuścić domu. Czy nie zgodziłaby się pani zaufać przewodnictwu moich wysłańców? Muszę się dziś z panią zobaczyć — absolutnie." Zgniotła *powoli* list w rękę, zastanawiając się, czy posłuchać tego wezwania, czy nie.

— Czy to daleko stąd? — zapytała niższego.

— Kwadrans spokojnej jazdy — odpowiedział.

Brzmienie głosu wskazywało na kulturalnego człowieka i na nieugiętą, twardą indywidualność, w rodzaju Galta.



— Czy panowie są jego przyjaciółmi? — zapytała podstępnie.

— Galt nie zawiera przyjaźni — odpowiedział jakby trochę sarkastycznie nieznajomy. — Pomaga mu się, żeby uniknąć następstw odmowy.

On naprawdę taki jest — pomyślała.

— Jeżeli mi panowie wskażą drogę...

— Przepraszam panią, ale Galt rozkazał, żebym ja kierował, a pani żeby przesiadła się na główne siedzenie. Nierycersko z jego strony, że

okazuje pani taki brak zaufania, ale zależy mu na tym, żeby jak najmniej osób znało drogę do jego kryjówki.

Gail opanowała z trudem wybuch gniewu. Dobrze, jeszcze tym razem ustąpi i poświęci tej komedii godzinę. Ale to już ostatni raz. I'otem, choćby pioruny były... Czowała, że teraz cierpliwość jej wyczerpała się na dobre i że już jej więcej nie nabiorą.

Przesiadła się na główne siedzenie, przy grzecznej pomocy małego nieznanego, który zajął miejsce przy kierowicy. Jego rosły i tęgi towarzysz wszedł z drugiej strony i usiadł przy niej tak blisko, że aż ją to zirykowało. Jego twarzy nie mogła dojrzeć.

Tymczasem mały zapuścił silnik i ruszył ze zręcznością doświadczonego kierowcy.

Gail spróbowała odsunąć się od grubasa i nie zdołała, gdyż zostawił jej zbyt mało miejsca. Skuliła się więc jak mogła i ponieważ siedział nieruchomo i spokojnie, poniechała chęci poproszenia go, żeby się przesunął.

Nie mogła zobaczyć, którędy jadą, bo kierowca zasłaniał jej głową tę część szyby, którą oczyszczały wycieraczki.

Tachometr wskazywał, że wóz pędził z coraz to większą szybkością, teraz już osiemdziesięciu mil na godzinę.

Tego nie można było nazwać umiarkowaną jazdą, co więcej jechali już dłużej niż kwadrans.

— Czy jeszcze daleko? — zapytała.

Żaden nie odpowiedział.

Włączyła w samochodzie lampkę.

Dalej nie pojedą — rzekła stanowczo. - Proszę... Gruby zgasił światło.

— Niech pani tego nie robi!

Ten głos zabrzmiał brutalnie, chropowato... Była to odpowiedź w imieniu ich obu. Gail doznała wrażenia, że dopuszczono się wobec niej przemocy.

— Co to ma znaczyć? — wybuchnęła. — Proszę zatrzymać samochód i wysiąść!

Zerwała się z siedzenia i chwyciła za klamkę, ale dwie potężne łapy objęły ją wpół, posadziły z rozmachem i wcisnęły w kąt.

Przypomniała sobie z goryczą, jak to nie przyjęła od Alana rewolweru pod pretekstem, że na Galta to nie wystarczy. Wiele by za to dała, żeby mieć teraz broń w ręku.

Szybkość jazdy, milczenie obu nieznajomych i zachowanie się tego grubego przekonały ją, że słowami nic nie wskóra. Nic jej już teraz nie obchodziło prócz wyjaśnienia dlaczego Galt użył przemocy, pomimo, że stawiała się na jego wezwanie z własnej woli. Chciała odzyskać

swój samochód i rozumiała, że mogła to uczynić tylko siłą, albo podstępem.

Grubas zadowolił się przyparciem jej do drzwiczek i nie skrępował jej rąk. I on, i kierowca musieli zauważyć, że nie miała przy sobie żadnej broni.

Gail gardziła histerycznym zachowaniem, nie chciała też wdawać się w szamotaninę. Spróbowała się zorientować w jakim kierunku jadą ale stwierdziła jedynie, że kierowca omija miasta. Widziała bowiem bardzo niewiele świateł.

Maszyna pędziła coraz szybciej i jazda trwała już przeszło godzinę, lecz groza sytuacji sprawiła, że Gail myślała jasno i spokojnie nad środkami ratunku. Wiedziała, że panika mogła jej tylko zaszkodzić.

Wypatrywała na drodze świateł innych samochodów, lecz na próżno, bo mały bandyta chcąc uniknąć ewentualnych spotkań, zjeżdżał bez przerwy na puste wiejskie drogi, charakteryzujące się kiepską nawierzchnią.

Chyba ostatnia szansa ratunku zależała od spotkania innego samochodu. Gail obmyśliła sobie starannie ewentualny plan działania. Wyciągnie szybko prawą rękę, wyrwie z uchwytu kryształowy wazonik i nim grubas zareaguje, wybije nim szybę...

Nareszcie ujrzała w dali zbliżające się szybko światła reflektorów ogromnego samochodu. Gail poczekała chwilę i gdy samochody znalazły się jeden obok drugiego, porwała wazonik i wyrznęła nim w szybę. Jednocześnie z brzękiem tłuczonego szkła rozległ się jej przeraźliwy krzyk:

— Ratunku!

Lecz natychmiast jedna potężna, brutalna łapa chwyciła ją za gardło, a druga zakryła usta. Ich dotknięcie odbiło się w mózgu Gail wirem szaleństwa.

Ale prawą rękę miała wolną i trzymała w niej jeszcze utraconą podstawę wazonika. Porwana morderczą furją, uderzyła swego prześladowcę ostrym kryształem w twarz.

Puścił ją z głuchym jękiem. Wyrażając pobożne życzenie, że został oślepiony, rzuciła się całym wysiłkiem histerycznej desperacji ku drzwiczkom.

Chwycił ją za prawą rękę i skręcił tak mocno, że wrzasnęła z bólu i opadła

bezsilnie na siedzenie. Drugą ręką zasłonił jej usta, zaciskając brutalne palce na wargach. Nie mogła się poruszyć i zabrakło jej tchu. Jeżeli nie usłyszano jej krzyku, to wszystko było stracone.

Samochód pędził po nierównej drodze z przerażającą szybkością. Gail lubiła sportową jazdę, lecz na takiej nawierzchni było to czyste szaleństwo. W końcu wóz zwolnił, zjechał w dolinę, wspiął się pod górę i stanął.

## ROZDZIAŁ IX

### **Sala portretów**

Grubas puścił Gail i otworzył z jej strony dzwiczki. Wyjrzała w ciemność, chcąc zobaczyć, gdzie się znajduje i zakryła twarz dłońmi. Fala oślepiającego światła uderzyła ją prosto w oczy i pomimo, że się zasłoniła, przeniknęła przez dłonie i powieki.

Brutalny towarzysz pomógł jej wsiąść i poprowadził za sobą. Poszła za nim potulnie, zachowując wszystkie siły na rozprawę z Galtem, czy kimś innym, kto był winien tej całej okropności. Poczula pod nogami wybetonowany podjazd, potem schody, a potem, za drzwiami, podłogę, wyłożoną grubym chodnikiem. Weszła po schodach, zeszła po schodach i znów weszła, nie odejmując rąk od twarzy i nie otwierając oczu. Bała się, że intensywne światło, wypaliłoby jej źrenice. Nawet jej towarzysz, sądząc po niepewnych ruchach, musiał iść po omacku.

W powietrzu unosiła się subtelna, egzotyczna, trochę gnilna woń, przypominająca jakiś tropikalny kwiat wilgotnej dżungli.

Otworzyły się kolejne drzwi, wpuściły ją i zamknęły się ze zgrzytem klucza w zamku. Gail poczekała, aż przeszło migotanie pod powiekami i otworzyła oczy. Była sama w półokrągłej, łagodnie oświetlonej sali.

Jedyna lampa, umieszczona na samym środku wklęsłej ściany nad ramą olejnego obrazu, rzucała snop światła na przedstawioną na nim postać naturalnej wielkości.

Gail krzyknęła. Był to portret jej ojca.

Pułkownik stał przy biurku, patrząc na plany architektoniczne swego drapacza chmur, budynku mieszkalnego dla robotników i wspaniałej, niebosiężnej budowli, którą dopiero projektował i nie zdążył stworzyć. Naciskał palcem przycisk dzwonka, a z całej jego postaci biła charakterystyczna żywotność. Był trochę tęższy w rzeczywistości, ale ogólnie biorąc, psychologicznie prawdziwy.

Gail wiedziała, że ojciec był zbyt niecierpliwy, żeby pozować do portretu, nawet fotoreporterzy większości pism mieli zawsze z nim kłopoty, ale przypomniała sobie pewne zdjęcie z ilustrowanego tygodnika, według którego musiano wykonać ten portret.

Powinna była myśleć o ucieczce, a patrzyła jak zahipnotyzowana. Doznała wrażenia, że malarz-portrecista musiał być wrogiem jej ojca. Nie żeby przesadna tusza namalowanej postaci i jej nadmierna żywotność miały w sobie coś karykaturalnie złośliwego. Przeciwnie. Te indywidualne rysy podkreślone były sympatycznie.

Gail poczuła dreszcz, zupełnie jakby z otwartego okna powiało na nią lodowatym chłodem. Zrozumiała. Malarz delectował się pełnią

życia swego modela, tak jak hodowcę radują dobrze utuczone sztuki inwentarza.

Malarz nie podpisał się. Cała półkolista ściana była obwieszona obrazami... Czy i one nie miały podpisów? Mocne światło pozwalało to sprawdzić. Po obu stronach Grangera wisiały dwa inne portrety, tego samego pędzla. Gail poznała przedstawione na nich osoby.

Jedną z nich był popularny aktor filmowy, który u szczytu sławy dostał pomieszczenia zmysłów i zabił się, wyskoczywszy z okna sanatorium. Nikt nie wiedział, co było przyczyną tego niepojętego czynu.

Na drugim puszył się znany arystokrata, prezes ekskluzywnego klubu jachtowego. Ten stracił fortunę na Wall Street i w dwa tygodnie później zniknął z pokładu swego jachtu na środku oceanu.

Wszystkie trzy portrety wyobrażały ostateczną klęskę życiową, jako ukoronowanie chwilowego powodzenia i artysta wyraził swoją myśl z pełnym entuzjazmem. Czy to był tylko zbieg okoliczności? Gail chciała dokładniej obejrzeć pozostałe portrety, ale na prawo i na lewo światło było niedostateczne i nie mogła rozróżnić, ani twarzy, ani innych szczegółów.

Lecz artysta tak ją zaintrygował, że postanowiła dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Najlepszym sposobem było przestudiowanie portretu ojca. Stanęła na wprost lampy.

— Jak żywy, nieprawdaz? — odezwał się za jej plecami wibrujący w uszach głos.

Wydała stłumiony okrzyk i odwróciła się szybko. Pod prostą ścianą pokoju, zaciągniętą ciężkimi draperiami, stał człowiek tak szkieletowato chudy, iż pozornie olbrzymiego wzrostu. We fraku, z gardenią w butonierce. W mroku, Gail nie zobaczyła jego twarzy, którą zresztą odwrócił ku ścianie.

Pośrodku tej ściany wznosiło się podium, a na nim stało ogromne biurko w kształcie nerki w stylu Ludwika XV-go i wspaniałe krzesło z tego samego okresu, podobne do tronu. Po obydwu stronach tego ostatniego stały rżące współczesne ogniotrwale sejfy. Na biurku Gail rozróżniła dwa aparaty telefoniczne, skrzyneczkę, w której krył się chyba trzeci, radiostację i inne



urządzenia, przy pomocy których ten dziwny człowiek kontaktował się ze światem zewnętrznym.

Szkielet wszedł na podium cicho i lekko, jak widmo i zapalił lampę na biurku. W jej blasku Gail dostrzegła cofającą się rękę, złożoną ze skóry, chrząstek i kości, podobną do eksponatu anatomicznego. Skóra podkreślała jeszcze dosadniej brak mięśni i wygląd przypominający podeschnięte włóki.

— Kim pan jest? — krzyknęła.

Człowiek usiadł powoli na krześle i twarz jego znalazła się w świetle

lampy. Gail powstrzymała okrzyk trwogi. Zobaczyła kopulaste, kościste czoło, oczy wypukłe jak u żaby, szare jak morze i błyszczące jak U epileptyka, straszliwie zapadnięte policzki o wystających kościach, mocno obciągniętych skórą, silnie wysunięte usta i szerokie szczęki. Każda kość była widoczna jak w wypreparowanej czaszce. Poza tym ze strasznej twarzy bił głód i nigdy niezaspokojona żarłoczność.

Gail zauważyła jeszcze, że kości policzkowe były uróżowane i przeszło ją drżenie.

— Kim pan jest? — krzyknęła podniesionym głosem.

Na szerokich, wąskowargich ustach narodził się uśmiech. Zaczął się w kątach i odsłonił powoli duże, piękne zęby. Tym razem głos widma zabrzmiał jeszcze bardziej metalicznie niż początkowo.

— Jones. Jestem Jones.

Czego pan ode mnie chce?

Uśmiech zgasł.

— Galta.

— Nie rozumiem pana.

On panią kocha — rzekła okropność. Niech go pani tu sprowadzi, to panią puszczę.

Gail doznała znów wrażenia, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Nie wiedziała, kim był ten makabryczny osobnik i nie rozumiała, dlaczego zażądał od niej Galta. Ale i o Galcie niewiele wiedziała. Przypuszczała, że to on kazał ją porwać. Wszak przyznał się do wysłania listu z prośbą o spotkanie. List był pisany jego stylem. Jeżeli teraz ten szkielet żądał Galta w zamian za wolność... to co to mogło znaczyć?

— Nie wiem, gdzie on jest — wyjąkała — i wszystko mi jedno. Chcę tylko odzyskać swobodę. Jak stąd wyjść?

— Pani wie, jak się z nim skomunikować.

W głosie maskary zabrzmiał pomruk gniewu. Gail, tracąc panowanie nad sobą, krzyknęła:

— Z jakiej racji ja mam panu pomagać?

Przeraźliwie chude ręce wysunęły się do światła, długie palce zagięły się jak szpony. Właściciel ich walczył z potężniejącym gniewem. Na chwilę zwyciężył i jego drgające wargi rozszerzyły się w uśmiechu.

— Z pani jest niegrzeczne dziecko — wymamrotał. — Powinno się panią zamknąć w ciemnej komórce bez jedzenia... *Musi mi pani sprowadzić tutaj swego kochanka!* — krzyknął.

Gail straciła głowę.

— Co, ty ohydny...

W suchym gardle potwora coś zawarczało i zahuczało. Kiedyś na polowaniu Gail słyszała wrzask jakiegoś wielkiego, górskiego kota, doprowadzonego do wściekłości. Teraz doznała tego samego wrażenia,

co wtedy — w tym większym stopniu, że niesamowity osobnik starał się nad sobą panować.

— Nie, nie, niech mnie pani nie irytuje. Ja chcę Galta. Niech go pani sprowadzi.

— Nie sprowadzę! — krzyknęła z rozpaczą Gail. — Nie sprowadzę, dopóki się nie dowiem, czego pan chce ode mnie i od niego.

Kościste palce skurczyły się kilkakrotnie i wyprostowały, po czym jeden z nich nacisnął przycisk dzwonka.

Gail zamarła. Czowała, że wlepione w nią oczy nie patrzą na nią jak na kobietę, ani w ogóle jak na żywą istotę. Że raczej widzą w niej przeszkodę, czy środek do osiągnięcia czegoś, czego pożądamy z jednostronnością, właściwą szaleńcom. Po chwili chudy palec nacisnął przycisk jeszcze raz i jeszcze raz.

W drzwiach, przez które wepchnięto Gail, zgrzytnął klucz i do pokoju wszedł pośpiesznie człowiek, opatrujący sobie twarz. Gail domyśliła się w nim swego opiekuna z samochodu. Najwidoczniej Jones wymagał pośpiechu niezależnie od okoliczności, jak choćby w wypadku nieopatrzonych ran.

Jones zwrócił się do grubasa w języku niezrozumiałym dla Gail. Ten zachnął się niecierpliwie i słuchając, odwrócił twarz. Ale Gail spostrzegła, że po chwili jakby odetchnął z ulgą. Domyśliła się, że musiał dostać jakiś rozkaz.

Gruby bandzior pochwyił ją za ramiona. To dotknięcie sprawiło ją momentalnie w taką furję, że wyrwała się i wskoczyła na podium, chcąc porwać z biurka jakąś broń.

Koścista dłoń zgmiotła jej napiętek z niesamowitą siłą i prawie sparaliżowała. Ale Gail zdobyła się jeszcze na wysiłek wolną ręką. Pochwyliła z biurka ciężki przycisk i byłaby nim cisnęła w trupa twarz, gdyby nie te oczy, które zaczęły zachodzić krwią. Oprzytomniała. Zrozumiała, że miała do czynienia z szaleńcem.

Tymczasem grubas wyrwał jej z ręki kryształową kulę i wykręcił ramię. Po czym, już nieopierającą się, wyprowadził z pokoju przez drzwi, którymi wszedł Jones i Gail zdążyła jeszcze spostrzec, że Jones oblizał wargi z wyrazem zadowolenia, iż nie zrobił czegoś, czego później by żałował.

W korytarzu znów oślepiło ją przeraźliwe światło i zmusiło do zamknięcia oczu. Nie widząc, którądy idzie, zorientowała się tylko, że tym razem prowadzą ją na dół.

Poczuła piwniczną wilgoć, ale nie otworzyła oczu, w obawie przed światłem, szturmującym powieki.

Nagle pchnięto ją na jakąś ścianę i jednocześnie zatrzaśnięto drzwi. Poczuła, że znajduje się w ciemnościach. Otworzyła oczy i wyciągnęła ręce, które oparły się o mur.

Była zamknięta w komórce wielkości niewielkiej skrzyni.

W pierwszej chwili chciała się rzucić na drzwi i wybuchnąć rwącym się z gardła krzykiem. Ale nie zrobiła tego. Zdumiała się, że panika /gasła w niej poprostu automatycznie, lecz zaraz potem doznała uczucia dziwnego triumfu.

A jeszcze przed niewielu dniami dostałaby ataku hysterii. Zmusiła się do przeanalizowania położenia.

Początkowo nie mogła zebrać myśli, była zbyt upokorzona sposobem potraktowania, zbyt uradowana zwycięstwem nad klaustrofobią i zbyt oszołomiona tempem zdarzeń

Spróbowała ocenić sytuację. Wrogowie mogli podsłuchać jej rozmowę telefoniczną z Galtem. Spóźniła się na spotkanie z nim o kilka minut. On mógł być punktualny. Może czekał w ukryciu. Mógł zobaczyć dwóch ludzi, czekających na nią — lub na niego.

Musiał zobaczyć, że ją zaczepili, i musiało się w nim obudzić podejrzenie. A jednak pozwolił im ją porwać i nie próbował nawet bronić... Czy przez tchórzostwo? Nie, to było nieprawdopodobne. Oddychała z coraz to większą trudnością, gdyż w komórce zaczęło się robić duszno. Minuty ciągnęły się jak godziny. Brak powietrza przyprawiał ją prawie o zawrót głowy. Była bliska paniki, lecz postanowiła walczyć do końca.

Z wielkim trudem wykręciła się tak, żeby znaleźć się twarzą przy drzwiach. Ten wysiłek odebrał jej resztę tchu, a przed oczami zaczęły tańczyć plamy ognia. Nie miała już czym oddychać.

Poczuła nagle, że przez szparę między drzwiami a framugą płynął leciutki, wilgotny, świeży powiew. Przyłożyła do niej usta, sycąc się chciwie cennym elementem życia. Ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się do pozycji na pół siedzącej, z ustami przyciśniętymi do szpary.

Stopniowo zapadła w stan słabej, mętnej półświadomości, w której czas, przestrzeń i strach zlały się w jedno.

Skurcz mięśni, który zaczął powracać z regularnością morskiej fali, przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Poprawiła się z wysiłkiem, nie odsuwając ust od szpary...

I znów ogarnęło ją odrętwienie...

Zgrzyt metalu wyrwał ją z na wpół sennego majaczenia. Wydało jej się, że ściany ustąpiły i upadła na twarz. Przez otwarte drzwi wpłynęła do piwniczki fala oślepiającego blasku i Gail poczuła się pochwyconą za łokcie przez potężne, męskie ręce.

Nogi miała tak zdrętwiałe, że upadła kilka razy na podłogę. Dopiero na górze poszła pewniejszym krokiem.

Znów ją wepchnięto w jakieś drzwi i znów usłyszała za sobą zgrzytnięcie klucza. Znów znalazła się w półkolistej sali portretowej.

Ale teraz oświetlała ją jasno alabastrowa lampa, szkielet zaś miał na sobie długie, czarne, japońskie kimono i zajęty był ustawianiem sztalug.

Gail stanęła koło drzwi, odgarniając odruchowo włosy z twarzy i prostując boleśnie zdrewniałe nogi. Co ją teraz czekało?

Jones odwrócił trupią głowę i rzekł śpiewnym głosem, uśmiechając się chytrze:

— Przyjemna nowina. Kochanek pani dowiedział się, że pani tu jest i ofiarował mi siebie za pośrednictwem mojego agenta. Spodziewam się go lada moment.

I zaczął rozciągać na sztalugach płótno.

Co — co pan będzie robił? — zapytała bezmyślnie Gail. Będę malował jego portret — roześmiał się, nie podnosząc oczu znad palety.

— To pan... to pan?

Ale on zapomniał już o jej obecności.

Ponieważ w pokoju nie było żadnego krzesła oprócz antyku na podium, Gail usiadła na podłodze. Była tak znużona, że mimo woli westchnęła ciężko.

Oparła się o ścianę z uczuciem ulgi, która zdominowała wszelkie inne odczucia. Obolałe ciało i rozstrojone nerwy domagały się wytchnienia. Zapomniała niemal o Jonesie i, aby na niego nie patrzeć i lepiej wypocząć, zamknęła oczy.

Więc Galt przybywał, żeby ją zastąpić! Więc dowiedział się o jej zniknięciu. To znaczy, o ile Jones nie skłamała... Galt musiał obserwować z ukrycia, jak ją porwano. Jeżeli tak, to czemu jej nie ratował natychmiast. I dlaczego za nią przyjechał? Powinien wiedzieć, że go już nie puszcza. Wszak polowali na niego od dawna... Czy przybywał, żeby ją uratować? Galt, sentymentalny... nie do uwierzenia? A może przybywał w jakimś innym celu?

Gail zrobiło się wstyd tej ostatniej myśli. Jak mogła podejrzewać w tak niski sposób człowieka, który przybywał z własnej woli i wiedział, co go czeka.

Nagle drgnęła. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Galt w kajdanach na rękach, z nogą owiazaną w kostce liną, której koniec trzymał w ręce ochroniarz z pokiereszowaną twarzą weterana ringu. Z drugiej strony szedł



inny ochroniarz.

Gail wstała. W widoku Galta, uwiązanego za nogę jak prosię na jarmarku, było coś tak upokarzającego, że o mało nie krzyknęła z oburzenia. Zauważyła, że był niezwykle mizerny, że włosy miał w nieładzie i że jego zimne, niebieskie oczy patrzyły dziwnie surowo. Chciała coś powiedzieć, ostrzec go, czy coś w tym rodzaju i nie zdołała. Zrozumiała, że byłoby to bezcelowe.

Galt zignorował ją zupełnie, jakby jej wcale nie było w pokoju i zwrócił się od razu do człowieka przy sztalugach.

Jones także widział tylko Galta. Makabryczna twarz drgała, szare oczy błyszczały. Wyraz głodu, zauważony przez Gail, spotęgował się do granic żądz. Szare oczy rzuciły się na obezwładnionego Galta jak kruki na żer.

Jones odłożył pędzel i podszedł bliżej. Patrzyli na siebie jak dwaj pojedynkowicze, którzy wiedzą wzajemnie, że są groźni i którzy spotkali się wreszcie, żeby rozstrzygnąć krwawy spór. Tylko, że w Galcie przeważała naukowa ciekawość, a w Jonesie szła mord.

Nie zdejmując wzroku z Galta, Jones rzekł:

— Zabrać ją stąd!

Dwaj ochroniarze podeszli do Gail, ale ona podbiegła do Galta i chwyciła go za ramię.

— Nie zostawię cię tutaj samego... — krzyknęła.

Galt nie patrząc na nią rzekł:

Idź. Miałem przez ciebie dosyć kłopotów. Spóźniłaś się. Gdybyś przyjechała na czas... Możesz dla mnie zrobić tylko tyle, że nie powiesz nikomu o zajściach dzisiejszej nocy. Może to się na nic nie zda, ale może skłoni tego człowieka, żeby mnie puścił. Przywarła rozpaczliwie do jego ramienia.

— Nie zgodzę się, żeby pan się poświęcał...

Dwaj goryle oderwali ją od niego i pociągnęli ku drzwiom. Od progu zapytali swego pana o rozkazy względem Galta.

Długi, chudy palec wskazał na sznur na nodze więźnia. Jeden / ochroniarzy przytrzymał Gail, a drugi podszedł do Galta i okrcił mu obie nogi sznurem, tak że pozbawił go zupełnie swobody ruchów.

Gail nie zobaczyła więcej.

W hallu oślepiło ją światło i znów nie zorientowała się którędy ją przeprowadzono. Przy wyjściu z domu zabandażowano jej oczy i w chwilę potem wsadzono do auta. Miała wrażenie, że męczy ją ciężki sen, z którego nie może się obudzić. Znów wciśnięto ją w róg siedzenia i znów potężna maszyna pomknęła ze wzrastającą szybkością, najpierw w dół, a potem pod górę...

W miarę oddalania się od miejsca niesamowitych wrażeń ogarniały ją coraz cięższe wyrzuty sumienia z powodu Galta. Chciała w siebie wmówić, że jeżeli Galt płacił za jej spóźnienie się, to nie było w tym jej winy. Ostatecznie dlaczego wciągnął ją w tę tragifarsę? Nie chciała tego, opierała się i zresztą nie spóźniła się celowo...

Ale coś krzychało w niej wniebogłosy:

— On cię wyleczył z klaustrofobii. On chciał zdemaskować morder-

cę twego ojca. I teraz oddał mu się w ręce, żeby cię uratować... I ty go chcesz potępić, czy też pozostawić na pastwę losu.

Poczuła się okropnie nieszczęśliwa i bezradna. Nie mogła zwrócić się do policji, bo Galt sam jej tego zabronił. Nie wiedziała dlaczego, ale on musiał lepiej od niej orientować się w tym piekielnym labiryncie. Z drugiej strony nie była jeszcze pewna, czy ją uwolnią.

Auto stało. Nie wiedziała, jak długo trwała jazda. Przypuszczała, że przeszło godzinę.

Poczuła, że sąsiad wstał i wysiadł. Zerwała z oczu przepaskę.

Przez azur drzew i liści przezierała jasność świtu. W samochodzie - jej samochodzie — nie było nikogo. Wyrzała na drogę. Nikogo.

Zorientowała się, że znajduje się w miejscu, z którego ją porwano, na skrzyżowaniu szosy z leśną dróżką.

Przesiadła się na miejsce kierowcy i spróbowała zapuścić silnik. Bezskutecznie. Wysiadła i podniosła maskę. Znała się dobrze na samochodach, ale mimo to nie potrafiłaby chyba sama naprawić go.

Od strony St. George nadjechał stary ford. Poznała w kierowcy młodego rozwoziciela gazet i zawołała, aby stanął.

- Czy mógłby mnie pan odwieźć do domu? zapytała. — Mój wóz nawalił.

Chłopak zaczerwienił się, widocznie na myśl o tym, co mogło ją sprowadzić o tej wczesnej godzinie na takie pustkowie.

— Naturalnie. Niech pani będzie łaskawa wsiąść.

Pokazał jej miejsce obok siebie i niebawem Gail ujrzała w świetle poranku swój dom.

Jur powitał ją z twarzą, nie wyrażającą żadnego zdziwienia z powodu pory jej powrotu, towarzystwa, w jakim przyjechała i stanu fryzury. Zupełnie jakby to była zwykła rzecz.

— Pojedziesz po mój samochód. Ten chłopiec cię zawiezie — rzekła Gail, idąc na górę.

Znalazszy się w swoim pokoju, podniosła słuchawkę, żeby zatelefonować

do Alana i nie uczyniła tego. Położyła się na łóżku i niewidzący-mi oczami zapatrzyła się w przestrzeń.

Po wyprowadzeniu Gail, Jones zwrócił się w stronę sztalug. Galt, chociaż unieruchomiony, zapomniał o swoim położeniu, pochłonięty studiowaniem portretów na półkolistej ścianie.

Patrzył chciwym, głodnym wzrokiem. Miał ułatwione zadanie, bo w pokoju było bardzo jasno, nie tak jak przy pierwszej bytności Gail. Zgłębiał charakter malarza, badając wykonane przez niego portrety, których tu było więcej niż dwadzieścia. Przedstawiały one mężczyzn

i kobiety, wszystkich z lekka otyłych, wszystkich w pełni powodzenia życiowego, wszystkich namalowanych entuzjastycznym pędzlem.

Tymczasem Jones zajął się przygotowywaniem farb na palecie. Skończywszy tę czynność, wziął w rękę pędzel i popatrzył na Galta przymkniętymi oczami, tak jak patrzą malarze. Na widok zupełnej obojętności Galta, oczy te przymknęły się jeszcze bardziej.

Podszedł do biurka i nacisnął przycisk. Z sufitu spłynęła na Galta fala dziwnego światła. Ale on, jakby tego nieświadomy, studiował w dalszym ciągu portrety, które mówiły mu więcej o malarzu, niż sama jego powierzchowność.

Jones zignorował z wysiłkiem to zlekceważenie swojej osoby i szybko naszkicował na płótnie sylwetkę Galta, uderzającą w swym podobieństwie i niepodobieństwie do modelu. Postawa była ta sama, ale pełność konturów niezgodna z rzeczywistością.

Obojętność Galta zaczęła mu w końcu tak dalece działać na nerwy, że malował z trudnością. Kilka razy chciał krzyknąć — i zapanował nad sobą. Był absolutnym panem sytuacji i nie chciał aby gniew popsuł mu przeżywanie słodkich godzin. Galt musiał prędzej czy później skapitulować i przyznać się, że tylko udawał obojętność.

Nagle model odwrócił się szybko i rzekł:

— Przypomina pan faceta, który ma miliony w banku i mimo to prowadzi nędzny, detaliczny handelek.

Ton tych słów i wyraz twarzy mówiącego podziałały na Jonesa jak czynna obelga. Plamy różu na jego kościach policzkowych rozlały się na całą, trupioblada twarz, ręka, trzymająca pędzel, zadrżała, a usta otworzyły się bez dźwięku i zamknęły. Ale po chwili wypłynął na nie uśmiech.

Odłożył pędzel, poprawił czarną, groźnie majestatyczną szatę i wszedł na podium, zupełnie jakby miał zasiąść na prawdziwym tronie. Stojąc tak za biurkiem, spojrzał na szereg patrzących na siebie portretów. Porozwieszał je w ten sposób, żeby móc im rozkazywać wzrokiem, delectować się ich pokornym milczeniem, czytać hołd w ich postawach. Jakby król wezwał przed swe oblicze wielmożów i damy.

Na Galtę nie spojrział, tylko wycodził przez zęby:

Dziękuję za te „miliony”. A co do „nędznego handelku”, to pochlebiam sobie...

— Naturalnie, że pan sobie pochlebia! — wtrącił Galt. — M usi pan sobie pochlebiać, bo inaczej nie mógłby pan żyć. Przychodzi to panu coraz trudniej. Pańskie ego choruje na złośliwą cukrzycę. Musi pan konsumować innych, bo inaczej zdechłby pan z głodu. Pan jest szkieletem spragnionym mięsa na swoich kościach. Nie może pan znieść własnego widoku i sądzę, że w domu nie ma ani jednego lustra. Ubiera

się pan jak bohater filmowy, żeby maskować swoją fizyczną nędzę. Używa pan różu, bo okiem duszy widzi pan wszędzie lustra. Pańska martwa twarz i trupie ciało prześladują pana jak upiory!

Rozległ się dziki, koci wrzask, który uprzednio Gail tylko przeczuwała, i z obszernych czarnych rękawów wyskoczyły chude ręce z zagiętymi palcami, jakby w zamiarze wrycia się paznokciami w pogardliwą twarz Galla.

— Dosyć! — zawarczał. — Dosyć, bo nie przeżyjesz jednej minuty!

Na tę groźbę twarz Galta przybrała smętny wyraz rezygnacji, jak u człowieka, który spodziewał się czegoś interesującego, a usłyszał coś banalnego. Ale rezygnacja przeszła w obrzydzenie i gniewną pogardę, którą mózg Galta objął siebie, Jonesa i wszystko, czego mógł się spodziewać od życia.

— Ty głupcze! — rzekł z naciskiem. — Popatrz na mnie. Czy sądzisz, że ja kocham życie?

Jones nie tylko patrzył. Wzerał się prosto oczami w ciało Galta, którego szczerą obojętność na jego równie szczerą groźbę śmierci doprowadziła go do tym większej wściekłości. Uprzytomnił sobie, że zdał się cały na pastwę przemożnej emocji i, zacisnąwszy palce na krawędzi biurka, wziął się z trudem w karby. Ale długa, chuda szyja przeżyła się i falowała, jak wąż. Uśmiechnął się sztucznie, a po chwili szczerze i triumfalnie.

— Możesz nie kochać życia, ale z tego nie wynika, żeby ci było wszystko jedno, jakie ono jest. A może być bardzo, bardzo ciężkie! Galt uśmiechnął się tak samo zjadliwie, jak jego prześladowca. - Tortura jest ostatnią ucieczką zwyciężonego, a jeżeli i to ci się nie uda, to co ci przywróci ten triumfalny uśmiech?

Jones odpowiedział uśmiechem i zeszedłszy z podium, zabrał się z powrotem do malowania. Spoglądając często na model, nie przestawał się uśmiechać. Wydawał się już teraz spokojny i opanowany.

Ale po chwili uśmiech pierzchnął, spojrzenia stały się rzadsze, a spokój — sztuczny. Galt zauważył widoczne drżenie pędzla i palety. Nagle Jones rzekł:

— Zaprzestań tego szyderczego grymasu, bo ci go każę zmyć kwasem.



Galt uśmiechnął się szeroko.

— Czy kwas wymaże go także z twojej pamięci? Nie masz w domu luster. Czy pomimo to przestałeś widzieć siebie we śnie i na jawie?

Jones stoczył ze sobą bolesną walkę i znów się opanował.

— Będziesz mi pozował godzinę. Wiesz o tym i dlatego korzystasz z okazji — dodał z uśmiechem. — Nie odmówię tej lekkiej pociechy gościowi, który ma odjechać. Jeżeli ci to sprawia przyjemność...

Nagła zmiana w Galcie powstrzymała jego elokwencję.

— Tracimy czas — sarknął model. — Przystąpmy do interesu, Znasz się na ludziach i wiesz, co o mnie sądzić. Jaki popęd jest we mnie najsilniejszy?

Jones patrzył na niego, przechylając głowę i mrużąc oczy, jak to robią malarze.

— Sądzę, że ciekawość — rzekł, jakby chcąc wniknąć w duchową treść modelu.

— Dobrze. Nie zapomnij o tym — ciągnął szybko Galt. I nie pozwól, żeby twój egotystyczny głód zaćmiewał ci jasność myśli. Powiem ci o lepszym sposobie na mnie, niż tortury. Jeżeli jesteś głupi, to pomyślisz, że chcę się ratować. Jeżeli jesteś mądry — posłuchasz.

Malarz odstąpił od sztalug i popatrzył krytycznie na szkic na płótnie, udając, że nie słucha.

— Kazałeś swoim ludziom, żeby mnie sprzątnęli — ciągnął Galt, wcale nie zmylony tą pozorną nieuwagą. — Próbowali i nie udało im się. Ale bałem się, że ze strachu przed tobą nie dopuszczą mnie przed twoje oblicze żywego, bo dążyłem do tego od początku. Nie odważyłem się oddać w ich ręce, dopóki nie przekonałem się, że zachciało ci się mnie żywego. Panna Granger przeczytała mi przez telefon sfalszowany przez ciebie list — niby to ode mnie z żądaniem, żeby się stawiała na Huguenot Road. Wiedziałem, że to było od ciebie, ale udałem, że ja napisałem ten list, bo chciałem, żebyś zrobił to, co zrobiłeś. Porwałeś ją, żeby mnie zwabić w potrzask. Zatelefonowałem do Kittsa, że chcę się / tobą zobaczyć. Naturalnie ani on, ani Dean nie odważyli się potem zabić mnie w drodze do twojej posiadłości.

Jesteś dobrym sklepikarzem z milionami w banku. Masz talent organizacyjny i wiesz, jak go spożytkować. Masz intuicję i umiesz odgadywać w ludziach ich słabości, strachy i zboczenia. Znasz się w wysokim stopniu na psychologii chorobliwych przymusów i umiesz je obracać na swoją korzyść, oraz zabijając nimi instynkt samozachowawczy w ludziach, których wybrałeś jako strawę dla swojej jaźni.

Masz zacięcie do spraw finansowych. Z tego ukrytego miejsca oddziałujesz na słabostki swoich ofiar — finansowe i inne. Twój adwokat, detektyw, i zabójcy tworzą wspólną organizację. I w jakim celu używasz tych wszystkich talentów? Żeby szantażować i doprowadzać do samobójstwa — kogo? Sarnę płotki! Aktora filmowego

ulubieńca głupców, znanego pasożyta z tzw. wyższych sfer rozreklamowanego Babbita, bojącego się ciasnych kątów...

Galt wpadł w podniecenie, które spowodowało sarkazm Jonesa.

— Przypuśćmy, że twoja analiza jest słuszna — przerwał sucho Jones. — Ale nie wiesz, że ja jestem skromnym człowiekiem i że takie „płotki” jak pułkownik Granger są dla mnie grubymi rybami.

— Okłamujesz nawet siebie! Patrząc na tę galerię portretów, żałujesz, że to nie są międzynarodowe sławy — panujący, premierzy, twórcy historii! Ale twoja odwaga nie jest tak wielka, jak twoja chciwość!

Jones odwrócił się znów do sztalug. Koścista ręka, trzymająca pędzel drżała lekko. Ale głos nie.

— Nie mam serca pozbawiać cię tej godziny spleenu... — zaczął. Galt przerwał mu niecierpliwym sarknięciem.

— Aktorze, przestań udawać i słuchaj!.

Malarz uśmiechnął się przez ramię.

Słucham!

— Ofiarowuję ci nową galerię portretów! Nie mam twojego talentu organizacyjnego. Nie znam się na manipulacjach finansowych. Nie mam do dyspozycji prawników, detektywów, sztabu informacyjnego, szantażystów, biura wynajmu przestępców — specjalistów... Ale wszystko to jest mi potrzebne dla moich celów...

Proponuję ci współdziałanie ze mną i z Braddishem. Ja i on zdobyliśmy materiały odnoszące się do największych światowych potentatów. Wiemy, jakie są ich słabe strony i wiemy, jak można nimi sterować. Mamy ogromny materiał kliniczny, dotyczący ludzi, których pragnął byś „malować”. Gdybym posiadał twoje zdolności organizacyjne i możliwości finansowe, mógłbym robić z rekinami to, co ty robisz z płótkami. Dodaj do swego daru wiedzę moją i Braddisha i nasze możliwości techniczne. Zobaczysz, że przy naszej pomocy będzie ci łatwiej zadowolić swój krwiożerczy apetyt.

Urwał. Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Jones odwrócił się z uśmiechem.

— A ty —jaki miałbyś interes w tym wszystkim? — zapytał z lekką ironią.

— Wiesz.

— To znaczy — zaspokojenie swojej nienasyconej ciekawości? Galt uznał, że nie ma co odpowiadać na to pytanie i rzekł tylko:

— Daj mi papier i pióro!

Jones obruszył się, ale zaraz uśmiechnął się chytrze, jak król, wobec którego jego błazen udał majestat, nie przeczuwając, że dostojny pan perfidnie go oszuka. Podeszedł do biurka, wziął z niego blok papieru, złote pióro i wręczył z rewerencją Galtowi. Nawet przytrzymał blok. Galt napisał skutą kajdanami ręką:

„Ito. Wręcz oddawcy niniejszego kopertę Numer 41 A.

Galt"

— Zainteresuje cię to — rzekł.

Jones przeczytał kartkę, odniósł na biurko materiały piśmienne i zwrócił się do Galta z pobłażliwym, humorystycznym uśmiechem.

— Ciekawy z ciebie model — rzekł. — Ale... Spojrzał na lampę, której blask mieszał się już z brzaskiem świtania. — Ale światło jest już nieodpowiednie, nie mogę dłużej malować. Pójdę teraz przespać się, a ty tu poczekaasz. Myślę, że cię jeszcze zastanę.

Sklonił się drwiąco, odchylił ciężką portierę na ścianie i zniknął.

Galt nie poruszył się. Po pierwsze dlatego, że był pogrążony w myślach, a po drugie, że miał skrępowane ręce i nogi. Ale po chwili ziewnął, położył się na wznak na podłodze, oparł głowę na skutych kajdanami rękach i usnął.

## ROZDZIAŁ

### X

#### **Pod nożem**

Przez duże okna, mieszczące się w górnej części sali portretowej i wychodzące na północ, wdzierало się dzienne światło. Galt leżał na boku, z policzkiem wspartym na ramieniu, ze skutymi rękami, których splecione palce wyrażały gest podobny do błagania o litość. Ta poza robiła takie wrażenie, jakby sen ujawnił głęboką bezsilność tego człowieka wobec życia, bezsilność, do której nie przyznawał się na jawie.

Ciennoczerwona portiera za podium rozstała się i do sali wszedł szybkim krokiem Jones. Za dnia wyglądał jeszcze upiorniej, niż przy sztucznym świetle, tym bardziej, że jego ubranie było w nieładzie, a twarz nieupudrowana. Miał na sobie piżamę, na którą narzucił czarne kimono i był boso. Ten szczegół i potargane włosy — czarne jak atrament i bardzo rzadkie — wskazywały na to, że został nagle wyrwany ze snu i nie zdążył, czy nie chciał, poświęcić nieco uwagi swojej powierzchowności.

W rękę trzymał dużą kopertę oraz dwie powiększone fotografie i spoglądał szklanym wzrokiem to na jedną, to na drugą. Jedna z nich przedstawiała

nagiego mężczyznę, który widocznie nie chciał się pozwolić sfotografować, bo z jednej strony trzymał go Galt, a z drugiej Ito. Twarz wyrażała przerażenie. Głowa była okręcona bandażami.

Ale Jonesa nie interesowała sytuacja przedstawiona na zdjęciu, lecz ciało delikwenta, takie samo jak jego, bo przy olbrzymim wzroście chude jak szkielet. Głowa, ręce, tułów, nogi i palce składały się prawie tylko z samych kości i ścięgien, pokrytych skórą. Głowa, jak głowa Jonesa, uderzała wielkim podobieństwem do czaszki, poprzez szerokość

czoła i szczęk i ustami, wystającymi jak pysk zwierzęcia. Jednym słowem Jones i osobnik na fotografii przedstawiali analogiczny typ fizyczny, dotknięty tą samą chorobą.

Druga fotografia przedstawiająca tego samego mężczyznę, ale w innych okolicznościach, fascynowała Jonesa jeszcze bardziej niż pierwsza. Tutaj szkielet, zmieniony w kulturystę o wspaniale rozwiniętych mięśniach, przechadzał się po plaży w skąpych kąpielówkach. Tło stanowiły roziskrzone w słońcu fale i tropikalne palmy. Kulturysta opalony był na brąz, a na jego pełnej, zdrowej, pogodnej twarzy igrał uśmiech, jak zwykle u ludzi, u których świetne samopoczucie uzewnętrznia się przy każdej sposobności dobrym humorem. Na kąpielówkach widniał biały napis: „ratownik”.

Jones przypatrywał się obu fotografiom roznamiętnionymi oczami, w których malowała się jakaś żalosna chciwość. Zupełnie jakby pytał: „Czy to możliwe?” Miotany wiarą i niewiarą porównywał twarze na obu fotografiach. Tak, to był z pewnością ten sam człowiek. Zez świadczył niezbicie o tożsamości.

Zdenerwowany do najwyższego stopnia przeszedł przez pokój i stanął nad śpiącą na podłodze postacią. Ale stąpające po grubym dywanie bose stopy nie obudziły Galt, pomimo, że sypiał niezwykle czujnie. Poruszył się tylko, lecz nie otworzył oczu.

Jones zmienił zamiar i zamiast go obudzić, usiadł przy nim na podłodze i zaczął przyglądać się jego twarzy. Gall we śnie był tak bardzo sobą jak nigdy na jawie i w rysach jego, nie pozostających pod kontrolą woli, malowała się jakaś przejmująca tęsknota za czymś niewiadomym i nieznanym, tęsknota, którą usiłował przytłumić badaniami naukowymi, i nie mógł.

Jones patrzył podejrzliwie. Ujawnienie się tej słabości w człowieku, który na co dzień był nieubłagany jak skała, sprawiło, że podejrzliwość Jonesa przeszła w niezrozumiałą, wrogą niechęć. A więc taka była nieznaną cechą charakteru Galt! Jones, nie mogąc dłużej patrzeć na niego, wstał i rzekł głośno:

— Galt!



Śpiący otworzył zamglone oczy, które po chwili rozjaśniły się. Jak każdy, nagle obudzony człowiek, wpadł w zły humor i wybuchnął:

— Czego chcesz kościotrupie...?

Ale szybko oprzytomniał i ignorując Jonesa, zajął się swymi zdrętwiałymi nogami, których rozprostowanie sprawiło mu sporo bólu. Wreszcie wstał, spojrzął w okno, jak marynarz na niebo służące mu za zegar, i ziewnął.

— Co znaczą te fotografie? — zapytał Jones podsuwając mu je przed nos.

Galt ziewnął po raz drugi.

— Dlaczego pytasz?

Spojrzał na fotografie, jak na coś nieaktualnego.

— W jakim celu zrobiono te zdjęcia? — pytał chciwie Jones. Galt spojrzał na niego sennym wzrokiem.

— Jak myślisz? — zapytał.

— Galt, psiakrew! — rzekł Jones drżącym głosem. — Jeżeli wyprowadzisz mnie z równowagi...

— Ty komedianie! — wykrzyknął tonem znudzenia Galt. — Kiedy ty wreszcie przestaniesz udawać? Pożera cię ciekawość i nadzieja, że może ja mógłbym cię tak przeobrazić, jak się przeobraził człowiek na tych fotografiach... I pomimo to usiłujesz mi grozić!... Czy nie rozumiesz, że ten człowiek miał ten sam defekt przysadki mózgowej, co ty?

— Tak, tak, Pawłów, Gottheim i King wszyscy postawili tę diagnozę! — rzekł już spokojniejszym głosem Jones. Ale powiedzieli, że nic mi nie mogą pomóc.

Galt zmrużył oczy i zaczął się przyglądać Jonesowi, tak jak przy portretowaniu Jones przyglądał się jemu. Ale było to obiektywne spojrzenie uczonego.

Pawłów, Gottheim i King, to dobrzy fachowcy, ale nie mają wielkiego doświadczenia.

Nie dokończył swej myśli, żeby Jones sam pojął jej pełny sens.

— To znaczy, że ty...?

Ja nie jestem chirurgiem, tylko Sadko. Znasz go jako Braddisha. Czy różnica między tymi zdjęciami to jego dzieło? Jego. Jones wpił się chciwie oczami w fotografię kulturysty.

— Co on zrobił, że spowodował taką przemianę?

Galt jeszcze nie zupełnie roztrzęwiony, ziewnął po raz trzeci.

— Nie powiem. Nie mogę narażać Sadki na szantaż z twej strony.

— A więc to był eksperyment?! — krzyknął Jones. On go operował.

Galt znów ziewnął.

Jones wybuchnął.

— Głupcze, po co ta cała farsa obojętności? Posłałeś po te fotografie świadomie, żeby mnie poruszyć.

— Czy *jesteś* poruszony?

— I to jak jeszcze!...

Galt ożywił się.

— W takim razie przestańmy obaj udawać... Przez siedem lat Sadko robił doświadczenia na kotach, kunach i pawianach, dotkniętych tym samym defektem, co ty i stworzył technikę przeszczepiania przysadki

mózgowej zdrowych zwierząt chorym. Procent udanych operacji podniósł się w końcu tak wysoko, że Sadko zdecydował się spróbować tego sposobu na ludziach.

Oczy Jonesa zamigotały metalicznie.

— Skąd ich wziął?

Galt zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Ma. Jeżeli chcesz, żebym ci uwierzył, musisz mnie przekonać, że Sadko mógł znaleźć ludzi do swoich eksperymentów.

Galt zastanowił się, czy zaryzykować wyjaśnienie.

— Przychodzą do nas w innych sprawach — rzekł. Często zdarza się, że wśród mętów społecznych rozchodzi się wieść mniejsza z tym, jak się to dzieje — że włamanie do naszego domu opłaciłoby się sownie. Zjawia się więc jeden, lub kilku nocnych gości, którzy naturalnie nie zawiadamiają policji o swoich zamiarach... Ma się rozumieć, zniknięcie takiego osobnika nie zwraca niczyjej uwagi i policja go nie szuka...

— A! — wykrzyknął z mimowolnym podziwem Jones.

— Sadko nie interesuje się psychiatrią i nie zna się na niej — ciągnął obojętnie Galt — ale jest świetnym chirurgiem-eksperymentatorem. Zaczął swoje doświadczenia na ludziach, chorych tak, jak ty na przysadkę mózgową. Wyciął zdrową przysadkę osobnikowi „A” i przeszczepił ją „B” w miejsce chorej. W ciągu osiemdziesięciu pięciu dni waga „B” podniosła się z dziewięćdziesięciu funtów do stu osiemdziesięciu. Tymczasem „A”, któremu Sadko zaszczylił chory gruczoł „B”, spadł z dwustu dwu funtów do osiemdziesięciu dziewięciu i pojawiły się wszystkie symptomy chorobowe, jakie trapiły przedtem „B”... Te dwa zdjęcia obrazują różnicę stu sześćdziesięciu dni i stu dwunastu funtów.

Jones odwrócił się, żeby ukryć wzrastające wzburzenie.

— Jak zmusiłeś tego faceta, żeby się poddał operacji? — zapytał.

Galt popatrzył na niego obojętnie.

— Spotkałem go w Chicago. Żona, dwoje dzieci i sąsiad układali go

na leżaku na słońcu. Mógł normalnie chodzić i wykonywać wszystkie czynności, w których kazał się wyręczać. Defekt przysadki mózgowej powodował w nim poczucie niższości. Tak jak ty, nie znosił swego widoku. Tak jak ty, był żarłoczny moralnie. Czuł się niczym, a chciał być potężny; zaspokajał to pragnienie w ten jedyny możliwy dla siebie sposób, że kazał sobie służyć swoim najbliższym. Męczył ich do tego stopnia, że wyschli na kość. Pożerał w przenośni ich ciała, jak ludożerca.

Chciałem się przekonać, czy przeszczepienie zdrowej przysadki mózgowej w miejsce chorej wywoła takie zmiany w charakterze, jakie

przewidywałem. Namówiłem przystojną kobietę, żeby mu wyznaczyła potajemną schadzkę w domu Sadki...

— Muszę zobaczyć tego gościa na własne oczy. Gdzie on mieszka?

Galt uśmiechnął się kwaśno.

— Nie docenił dobrodziejstwa Sadki. Jak widzisz, do pierwszej fotografii zmusiliśmy go siłą. Groził nam policją, za to, że jak się wyraził, poddaliśmy go torturom. W rezultacie Sadko i ja musieliśmy zmienić adres. Nie zaznamię cię z nim, bo naprowadziłbyś go na nasz trop. A zresztą więcej możesz się dowiedzieć z tej fotografii, niż od niego.

— Nagle zmienił ton i zapytał ostro: — Chcesz czy nie chcesz, żeby cię Sadko zoperował?

Jones zarumienił się słabo i odpowiedział wykrętnie sarkazmem:

— Jak to dbasz o cudze dobro!

Galt zaczął się niecierpliwić...

— Nie idzie mi bynajmniej o twoje dobro. Zaproponowałem ci przymierze. Nie możesz pracować na wielką skalę w takim ukryciu. Musisz wyjść na otwartą przestrzeń, a nie możesz tego uczynić, dopóki będziesz wyglądał tak jak teraz.

— Rozumiem — uśmiechnął się brzydsko chudzielec. — Na otwartą przestrzeń.

Zniecierpliwienie Galta przeszło w irytację.

— Tyle ci powiedziałem, że możesz się nie bać, że wydam cię policji... Pytam cię jeszcze raz, czy chcesz się poddać operacji, czy nie?

— Nie, dopóki się nie przekonam, że mogę ci ufać i że Sadko jest chirurgiem-cudotwórcą.

Galt wybuchnął.

— Ach, ty robaku. Lgniesz do życia, pomimo, że jesteś odrażający! Boisz się zaryzykować swoim ohydny ścierwem, pomimo, że pragniesz być człowiekiem!

Jones zaczerwienił się i zaraz zbladł jak ściana, po czym przymknął rozgorzałe oczy i przysunąwszy twarz do twarzy Galta, zgiał palce w szpony.

Patrząc na bliznę na jego szyi, rzekł w stylu wytrawnego smakosza, ale z jadowitą intonacją:

— Widzę po twoim gardle, że ktoś spieprzył robotę. Czytałem niedawno pamiętnik paryskiego apasza, Abadie'go. Otóż on i Lebiez wynaleźli tak zwany *coup de cornet*. Abadie opisuje to w takich słowach: „Wbija się nóż w gardło i obraca się w lewo, a potem w prawo.”

Jego pasja była tak szczera, że spojrzął mimo woli na chiński dywan, na którym stał Galt, jakby w obawie, że splami go jego krwią. Galt uśmiechnął mu się prosto w twarz.

— Zawsze chciałem widzieć walkę między nienawiścią do życia, a strachem przed śmiercią. Widok twojej twarzy po zabiegu byłby

ciekawym studium. Od tej chwili nie będziesz mógł oderwać oczu od fotografii tego kulturysty i twoja ułomność będzie cię dręczyła bardziej niż kiedykolwiek. Życie będzie cię niszczyło. I teraz walczy w tobie wstręt do życia, ze strachem przed śmiercią. Najłżejsze pogorszenie zdecyduje o stanowczym kroku. Wraz z rozwojem choroby będzie cię nękała myśl, że Sadko mógł cię wyleczyć. Chciałbym wtedy obserwować twoją twarz.

Patrzył chciwym wzrokiem w twarz Jonesa, na której rozgrywał się już przewidziany przez niego konflikt. Chory potwór to chciał go zabić, to oszczędzić dla swego dobra. Silniejsze pragnienie zwyciężyło.

— Poślij po Sadkę — rzekł, łapiąc z trudem oddech.

Galt odwrócił się. Jego ciekawość została zaspokojona.

Ja i Sadko pracujemy razem — odparł. Ale nie mamy w stosunku do siebie żadnych zobowiązań. On nie przeszedłby przez ulicę, żeby mi uratować życie, a ja nie zażądałbym od niego, żeby, stawiając się tutaj na twoje wezwanie, ryzykował swoje. Może zdobywać ludzi, potrzebnych mu do doświadczeń mniej ryzykując.

— Nie powiedziałem, że chcę, żeby mnie zoperował — rzekł Jones.

Chcę z nim pomówić. Możesz mi zaufać. Rozumiesz, że szczerze pragnę...

— Nie. To ty musisz nam zaufać!

Jones był wyraźnie przerażony.

— Ja nie znam Sadki. I ty żądasz żebym tobie zaufał?

— Wiesz, jaki popęd jest we mnie najsilniejszy? — zapytał Galt.

— Ciekawość — padła ostra odpowiedź.

— Czy możesz jej zaufać?

— Chyba tak — odpowiedział po namyśle Jones.

— Jesteś pewny? Ja nie chcę wahania.

— Jestem pewny.

— Dowiodłem ci, że oddałem się w twoje ręce dobrowolnie. Panna Granger jest mi absolutnie obojętna, zależy mi tylko bardzo na związaniu się z tobą, tak jak związałem się z Sadką. Sadko służy mi



swoją sprawnością chirurgiczną, ty służyłbyś mi swoją organizacją. Przy twojej pomocy mógłbym dokonywać doświadczeń na daleko większą skalę. Czy rozumiesz, zakuta pało?

Jones słuchał jakby jednym uchem, ale na takie dictum zamrugał tylko powiekami.

- Ciekawość... ciekawość...
- Nie potrzebujesz mi ufać — rzekł Galt — lecz Sadce.
- Obcy człowiek.
- Ale zna się na technice przeszczepiania przysadki mózgowej.
- Ty mi to mówisz.

— Fotografie to mówią.

— Jeden przykład.

— Ósma z rzędu udana operacja na człowieku, na dziesięć... Jones splótł ręce w agonii niezdecydowania.

— Gdzie mógłbym się z nim spotkać? — zapytał.

— U niego w domu. Tam, gdzie nasłateś na mnie morderców.

— Wezmę kogoś z sobą. Galt

skinął głową.

— Naturalnie, kiedy już o tym mowa, to weź dobrze zbudowanych, atletycznych ludzi z silnie rozwiniętymi mięśniami. Innymi słowy okazy ze zdrową przysadką mózgową.

Jones rzucił mu badawcze spojrzenie.

— To znaczy...

— To znaczy, że musisz dostarczyć zdrowej przysadki, żeby Sadko miał ci co zaszcześcić.

Obaj wymienili długie, porozumiewawcze spojrzenie i Jones zapytał bez tchu:

— Ja nie znam się na...

- Ja ci powiem, którzy z twoich ludzi będą się do tego nadawali, ale musisz dostarczyć do wyboru dwóch albo trzech.

Jones przygryzł usta i spojrzawszy w stronę drzwi, poszedł do biurka i rzekł cicho do mikrofonu:

Przyślij mi Gurly'ego, Hansena i McCabe'a.

— Rozkaz, panie — odpowiedział czyjś głos.

Nie patrząc na Galt, Jones zajął się porządkowaniem papierów na biurku. Za chwilę rozległo się dyskretne pukanie.

— Jeżeli operacja ma być przeprowadzona dzisiaj, to niech nic nie jedzą — rzekł Galt. — I ty także.

Jones, udając, że nie słyszy, zawołał w stronę drzwi:

— Wejść!

Zgrzytnął klucz, drzwi otworzyły się i weszło trzech tęgich goryli, wśród

nich ten, który eskortował Gail. Stanęli w progu, w oczekiwaniu rozkazu od Jonesa.

— Hansen!

Z szeregu wystąpił barczysty Szwed o kwadratowych konturach głowy, szczęk i ciała, grubych barkach, długich rękach i szeroko rozstawionych nogach, o potężnie rozwiniętych mięśniach. Z małych, świńskich, matowych oczek przebijała bardzo mętna inteligencja, nos miał jak kartofelek, usta przypominały olbrzymią szparę.

— McCabe! - wywołał po chwili Jones.

Obok Hansena stanął smagły Irlandczyk, którego nieforemna twarz, psie szczęki, paciorkowate czarne oczy i krzaczaste brwi dawały

świadełstwo brutalności i chytryści. Pomimo, że był ciężki, stąpił lekkim krokiem.

— Gurly.

Siłacz z obandażowaną głową przystąpił do biurka. Jones, nie przestając przerzucać papierów, rzekł:

— Zabieram tego człowieka do miasta. Wy trzej będziecie mi towarzyszyć. Wyprowadźcie suizę. Szyby zasłonić. McCabe prowadzi. Śniadania nie jedzcie — dodał.

Trzej atleci skinęli głowami i wyszli. Jones spojrział pytająco na Galt.

— Sądzę, że Sadko wybierze Gurly'ego — rzekł ten ostatni. — Ale będziesz go musiał uśpić osobiście.

— **Jak** to? — zapytał ostro Jones.

Galt poruszył niecierpliwie rękami.

— Głupi! Gurly nie zgodzi się dobrowolnie na operację li tylko na twój rozkaz.

Jones zmarszczył brwi.

— W razie czego dwaj pozostali wykonają moje polecenie.

— Nie pozwolimy na walkę siłaczy w sali operacyjnej. Nie powiedziałem jeszcze, że zdecydowałem się na Gurly'ego i że... Dam ci znak, na którego padł wybór Sadki. Temu każesz zostać ze sobą w sali operacyjnej. Każesz mu usiąść. Ja będę miał gotowy okład, nasączony chloroformem, który ty przyłożysz mu z ręcznic od tyłu na nos. Sadko i ja pomożemy ci przytrzymać go, dopóki się nie uspokoi.

Jones uśmiechnął się złośliwie.

— To znaczy, że zostanę w pokoju sam z tobą i z Sadką.

— I z Ito.

Jones oparł się o *poręcz* krzesła.

— Nie. McCabe i Hansen zostaną ze mną.

— Rozumiesz, chyba że przy operacjach widzowie nie są pożądani — odparł chłodno Galt, którego znów zaczęło ponosić. — Tchórzostwo działa na

ciebie ogłupiająco. Przypuśćmy nawet, że twoi ludzie będą obecni przy operacji, to jak będą mogli wiedzieć, że potrzebujesz ich pomocy?... Musisz zaufać Sadce bez zastrzeżeń, albo wcale.

Jones zaczerwienił się i, przerzuciwszy jeszcze kilka papierów, podniósł oczy.

— Muszę z nim pomówić.

— Podyktuję ci treść telegramu — rzekł Galt. — No, więc: „Sinclair, Do Rąk Adresata, Alpine New Jersey. P. P. — "O której możemy u niego być?

Jones spojrział na zegarek.

— Około południa.

Galt skończył dyktować depezę:

— „Południe.” Podpisz: „Piotr”.

Jones napisał i spojrział pytająco na Galt.

— Wyjaśnij!

— Sinclair to Sadko. P. P. — przeszczepienie przysadki. Piotr Galt.

Jones skinął głową i zdjawszy słuchawkę z jednego z aparatów telefonicznych podyktował komuś depezę. Po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Galt pozbawiony swobody ruchów, usiadł na podłodze z twarzą skierowaną w stronę galerii.

Po kwadransie samotności doczekał się McCabe'a, który zawiązał mu oczy, rozpuścił nogi i zdjął z rąk kajdany.

— A teraz marsz — rzekł lakonicznie siłacz.

Galt rozprostował zdrtwiałe członki i McCabe poprowadził go za łokieć przez labirynt schodów i korytarzy. Marsz skończył się na podjeździe. Galt znalazł się w samochodzie między dwoma ochroniarzami i po chwili poczuł, że jedzie.

Zdjęto mu opaskę z oczu, ale i tak nic nie zobaczył, gdyż było zbyt ciemno. Wyciągnął nogę i namacał nią przed sobą trzeciego faceta.

Nie mając nic ciekawszego do roboty, rozparł się wygodnie na siedzeniu i usnął. W czasie jazdy budził się kilka razy i znów zasypiał.

Szturchnięcie w bok zbudziło go na dobre.

Samochód stał. Szyby były odsłonięte. Gfelt zamrugał, oślepiiony nagłym światłem. Po prawej ręce miał Hansetia, po lewej McCabe'a, naprzeciwko Jonesa. Ciemny Irlandczyk siedział przy kierownicy.

Galt wyjrzał przez okno i zobaczył, że stoją przed lecznicą dr. Stefana Braddisha.

Rzekł z ożywieniem:

— Hansen, wysiądź i zadzwoń. Ito cię wpuści. Powiedz, że pan Galt prosi o „płaszcz pacjenta”.

Hansen spojrział pytająco na Jonesa, a ten rzekł lodowato:

— Galt, możesz mi udzielać wskazówek, ale rozkazuję ja... Hansen,

ubierz go w swój płaszcz.

Hansen zdjął ciężkie palto i podał je Galtowi, który zastosował się do polecenia bez najmniejszego protestu. Inny człowiek mógłby się poczuć upokorzony. On nie okazał wzburzenia. Włożył posłusznie płaszcz Hansena.

— Hansen, idź pierwszy — rozkazał Jones. — Galt drugi. Ty Gurly pójdziesz za mną. Zawołaj także McCabe'a. Tylko niech nie wyłącza silnika

Wysiedli z wozu i weszli na schody lecznicy dr. Braddisha w porząd-

ku wskazanym przez Jonesa. Ito otworzył im drzwi i skoro weszli, zamknął je na klucz. Widok lubianego pana ucieszył go. Galt zachował się zwyczajnie.

— Czy dr Braddish gotów? — zapytał.

— Tak, panie. Ito cieszy się, że pan wrócił.

— To włóż biały kitel i zejdz na dół.

— Słucham, panie!

Ito już zaczął biec po schodach na górę, kiedy Jones rzekł ostro:

— Stój! Ja wydaję rozkazy. Złaż!

Ito wchodził w dalszym ciągu z godnością i bez pośpiechu.

— McCabe!

Na rozkaz Jonesa olbrzymi Irlandczyk pogonił za Ito w zadziwiająco lekkich podskokach i dopadł go na zakręcie schodów. Chwyił Japończyka za kołnierz, lecz po krótkiej szamotaninie, Irlandczyk wydał okrzyk bólu czy wściekłości i odbiwszy się od ściany, stoczył się po schodach jak wielka, ciężka kula.

Rozpłaszczył się śmiesznie u nóg Jonesa i na chwilę znieruchomiał. Hansen przeskoczył przez niego z rewolwerem w rękę i popędził za Ito, który spokojnie poprawiał ubranie, niczym kogut, otrzepujący flegmatycznie zwichrzone w walce pióra.

Galt zwrócił się do Jonesa.

— Nie rób zamieszania! Ito słucha tylko moich rozkazów.

— A ty moich! — odrzucił spokojnie chudzielec i zawołał za Hansenem:

<sup>1</sup> Gdy się przebierze, sprowadź go na dół, ale uważaj, bo to mistrz karate... McCabe! — Irlandczyk podniósł się z ziemi, oszołomiony, z wykręconą nogą. — Zostań tu przy drzwiach. Gurly, chodź ze mną, Galt, prowadź mnie do Sadki!

Galt ruszył posłusznie w głąb korytarza, nie okazując najmniejszej urazy. Gurly poszedł za Galtem, a Jones — również z ręką w kieszeni, za Gurlym.

Zeszli po schodach do korytarza, znajdującego się poniżej poziomu ulicy. I schody i korytarz były słabo oświetlone.

Galt otworzył jakieś drzwi i w mrok korytarza wdarła się fala ostrego



światła z sali operacyjnej. Blask potężnych lamp rtęciowych ubarwił wszystkie twarze na trupiosiny kolor. Na środku sali stał stół operacyjny, a przy nim przysadzisty, brodaty jegomość, ubrany w biały, wykrochmalony kitel. Strój ten nadawał jego twarzy dziwny wyraz, a ciału — nadmierną pękatość. Facet robił wrażenie grubego, pozornie nieruchomego niedźwiedzia.

Krótką, brunatną, kręconą broda podchodziła prawie do oczu, skośne na wpół mongolskie oczy, kryły się między krzaczastymi

brwiami i tatarskimi kośćmi policzkowymi; rysy były tak rozlane, że nie mogło im zaszkodzić nawet totalne zmiażdżenie, usta, na pierwszy rzut oka robiły wrażenie długiej linii. Na widok Galta uśmiechnęły się i ciemna broda rozjaśniła się rzędem ogromnych połyskujących białych zębów.

— Serwus, Galt — zahuczało z głębin potężnej klatki piersiowej. Galt, nie odpowiadając, zwrócił się do Jonesa:

— To jest Sadko.

Jones kazał Gurly'emu wejść do sali i stanąć koło drzwi, które zamknął.

Nastąpiła krótka chwila ciszy i Jones z Sadką zmierzli się oczami przez szerokość stołu operacyjnego. Sadko, jakby naprawdę był niedźwiedziem, patrzył tylko na ciało Jonesa. Jones, przeciwnie, usiłował zgłębić inteligencję Sadki, kryjącą się w piwnych, błyszczących oczkach pod okapem potężnego czoła. Po czym wzrok jego przeniósł się na palce, długie, silne, wrażliwe...

Nie zdejmując oczu z Sadki, rzucił przez ramię:

— Galt, chciałbym zobaczyć zdjęcia innych ludzi po przeszczepie przysadki mózgowej.

Sadko zwrócił się do Galta.

— Inne fotogr-r-afie? To ty mu pokazałeś jakieś fotogr-r-afie?

— Ma 41 A — objaśnił Galt.

Sadko pokazał znów zęby, ale nie był to już uśmiech.

— Daleś mu je? Bez mojej apr-r-obaty?

— Sprowadziłem ci go tutaj — warknął Galt. Z oczu Sadki strzeliły złe ognie.

— Jeżeli ty mi kiedyś zno-wu... Jones nie pozwolił mu dokończyć.

— Nie kłóćcie się, bo to mnie nic nie obchodzi. Gurly, zostań tutaj. Galt, pokaż, gdzie masz te fotografie.

Na twarzy Galta odmalowała się wzgarda bliska znużenia.

— Irytujesz Sadkę. Czy jeżeli on odmówi zoperowania cię, to zmusisz go do tego rewolwerem? To nie fotografii powinieneś się domagać... Popatrz!

Wyjął z szufladki oftalmiczne lusterko i nim Jones zdążył się cofnąć, przysunął mu je do twarzy. Jones spróbował odwrócić oczy i nie zdołał. Odbicie w lustrze przyciągało jego wzrok z hipnotyczną siłą. Zobaczył wykrzywioną grymasem trwogi trupią twarz, oświetloną silnym światłem.

— Boże! — krzyknął jednocześnie błagalnie i boleśnie.

Na czoło wystąpiły mu krople potu. Dramatycznym ruchem wytrącił z ręki Galta lusterko i opadł na stół.

Galt, jak to on, nagle przeobrażony, rzekł dziwnym tonem bezosobowego współczucia:

— Czy nie możesz zostać znów tym, kim byłeś?... Decyduj się!

Jones popatrzył na swoje ręce, prostując palce i usiłując, jakby po raz pierwszy, zobaczyć je w naturalnym oświetleniu. Patrzył na nie tak, jak na swoją twarz w lustrze. Galt obserwował go ze wzrastającą ciekawością, świadomy, że rozgrywa się w nim walka między wstrętem do własnego ciała i nieufnością do ludzi, którzy mogli go równie dobrze uszczęśliwić, jak zgubić. Gra szła o życie lub śmierć.

Splótł palce tak mocno, że aż trzasnęły. Zupełnie jakby sam łamał kości, na które bał się patrzeć. Ale stopniowo uspokoił się i w jego oczach błysnęła powzięta nagle decyzja. Zaciskając mocno chude szczęki, zwrócił się niemo do Galta. Nie potrzebował oznajmiać słowami, że się zdecydował. Od Galta wzrok jego przeniósł się na Sadkę.

Lecz straszliwe postanowienie tak go wyczerpało, że osunął się na poręcz krzesła jak w omdleniu.

Sadko odetchnął z ulgą i na jego brodatej twarzy odmalowało się głodne pożądanie. Jak u zwierza, który zwietrzył mięso. Przejrzał rozwożone na tacy błyszczące skalpete i "włóży" je do naczynia z gotującą się wodą.

Tymczasem Galt wziął grubo złożoną serwetkę i polał ją płynem z butelki, którą wyjął z oszklonej szafki.

Po sali rozeszła się woń chloroformu.

Galt wręczył serwetkę Jonesowi i porozumiał się z nim wzrokiem tak, żeby nie zauważył tego Gurly, który nie ruszył się od drzwi.

— Przyłóż to — rzekł głośno Galt — to ból przejdzie.

Jones wziął mokrą serwetkę, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Znalazłszy się koło Gurly'ego udał, że dopiero teraz przypomniał sobie o jego obecności.

— Usiądź, Gurly — rzekł. — Współpracuję z tymi ludźmi i oddałem im się bez zastrzeżeń.

Ochroniarz usiadł posłusznie na wskazanym krześle z tępą miną

bezkrytycznego służalca, który jest świadkiem niezrozumiałych rzeczy. Patrząc na Sadkę i na Galtę, nie zwracał uwagi na swego pana, który w trakcie spaceru po sali zaszedł go od tyłu.

Nagle Jones przycisnął mu do ust serwetkę. Jednocześnie Sadko i Galt chwycili go za ręce i przytrzymali. Przez kilka chwil siłacz szarpał się jak szalony i zachodziła obawa, że się wyrwie. Wreszcie chloroform podziałał i Gurly zwił im w rękach jak martwy, a wtedy Sadko pochylił się nad uśpionym i zbadał jego oczy, puls i serce. Teraz, kiedy trzeba było działać, zaszła w nim zmiana. Poprzednio wyglądał ciężko i niezgrabnie. Teraz wyczuwało się w nim idealne współdziałanie

potężnych mięśni i sprawnego umysłu. Jones patrzył na niego z nadzieją i ulgą.

Galt usunął się na dalszy plan.

Zapukano do drzwi i w progu stanął Ito w białym szpitalnym kitlu w asyście dwóch olbrzymów z rewolwerami w rękach. McCabe miał taką minę, jakby w odwecie za obolałą kostkę chciał mu skrócić kark. Hansen trzymał go za kołnierz tak niedbale, jakby to był luźny łachman.

— Małpa nie chce mnie słuchać — zaraportował Jonesowi Hansen.  
— Ubrała się, ale nie dała się zastraszyć. Co mam z nią robić?

Galt odpowiedział, zwracając się do Jonesa:

— Ito jest nam tu potrzebny. Każ swoim ludziom zanieść Gurly'ego do pokoju C, na drugim końcu korytarza. Niech go tam pilnują. Gdy zacznie się budzić, McCabe da mi znać... I powiedz im, że od tej chwili, dopóki się nie ockniesz...

Jones zeszywniał.

— ... ja im będę rozkazywał — dokończył Galt.

Jones przeniósł wzrok z Galta na Sadkę i z Sadki na Galta, po czym wyprostował szerokie, chude ramiona, wciągnął ze świstem powietrze w płuca i rzekł do swoich ludzi:

— Czyńcie to, co on rozkaże... do odwołania!

Sadko pokazał głową na Gurly'ego. Dwaj ochroniarze wzięli nieprzytomnego towarzysza, jeden za barki, drugi za nogi, i podnieśli tak lekko, jakby to było dziecko. Oczy ich, zwrócone na Jonesa, pytały niespokojnie, co to miało znaczyć. Gurly — uśpiony? Dlaczego?

Ito poszedł przed nimi, żeby im otwierać drzwi i w kilka minut wrócił sam.

Jones był już rozebrany. Sadko badał jego długie, straszliwie wychudzone ciało. Galt wpatrywał się bacznie w jego twarz, na której malowało się intensywne, żywiołowe pytanie. Czy ci ludzie przywrócą mi pełnię życia, czy je odbiorą?

Zachowanie Sadki — jego sumienne badania, niezrozumiałe dla laika, jego kompetencja, delikatne palce, błyszczące narzędzia, niektóre dziwnie

zagadkowe — wszystko to napełniało Jonesa otuchą. Temu człowiekowi gotów był zaufać.

Stopniowo zainteresował się oczami Galta, w których płonąła prawdziwa gorączka ciekawości, bez odrobiny współczucia dla niego, jako dla człowieka. I to wydało się Jonesowi pocieszające.

— Ito — rzekł Sadko. — Ogol mu głowę.

Japończyk wyjął z szafki niezbędne przybory i podszedł do Jonesa. Przez cały czas golenia pacjent nie zdejmował oczu z twarzy Galta. Kilka razy wzdrygnął się lekko, nie z winy Ito, który działał nadzwyczaj

delikatnie, lecz na myśl o swoim wyglądzie. I rzeczywiście, z ogoloną czaszką wyglądał jak żywy szkielet.

Gdy Ito skończył, Galt napełnił strzykawkę, przysunął do stołu długi wąski zbiornik z gazem i przymocował do niego gumową rurkę zakończoną maską.

Sadko przebierał tymczasem instrumenty. Ito włożył gumowe rękawice i obwiązał twarz gazą. Galt również ubrał się w biały, wykrochmalony kitel i założył na głowę chirurgiczną przepaskę, co upodobniło go w jakiś szczególny sposób do skalpela. Twarz jego straciła w tym przebraniu ludzki wyraz i gorzała już tylko pasją werżnięcia się w ośrodek tajemnicy, ukrytej w ciele Jonesa. Ito wyjął wysterylizowane skalpele, które zamigotały srebrzystym blaskiem.

Sadko kazał położyć się Jonesowi na stole operacyjnym, pod oślepiającym światłem. Ten wykonał polecenie tak powoli, jakby był pogrążony w lunatycznym śnie. Położył się i zdjęty nagłym poczuciem bezbronności, uniósł się na łokciach. Ale zaraz zmusił się do spokoju.

Nie spuszczał oczu z Galta, który podszedł do niego ze strzykawką w jednej ręce i watą umoczoną w płynie antyseptycznym w drugiej. Przemysł skórę na lewym przedramieniu Jonesa, po czym wbił powoli igłę.

Jones nie spuszczał z niego oczu.

Galt odłożył strzykawkę i przykrył mu usta i oczy gazą. Oczy te pytały, błagały i upewniały się do ostatniej chwili. Usta zaś wyszeptwały jakby mimowoli:

— Ciekawość... ciekawość... Galt

nakrył je maską.

— Wdychaj spokojnie — rozkazał.

Jones posłuchał. Ciało jego, jakby spięte ostatnim przypiływem niezdecydowania, rozprężyło się powoli, jak podczas spokojnego snu.

Po sali rozeszła się woń eteru. Trzymając palec na pulsie nieprzytomnego pacjenta, Galt zamknął mu powieki. Czekał na pełne uśpienie.

Sadko podniósł skalpel. Ito zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Obaj mieli twarze zakryte gazą, a na rękach miękkie, gumowe rękawice. Obaj



pochylili się nad Jonesem.

Galt odłożył serwetkę nasączoną eterem i rzekł:

— Sadko, nie będzie operacji. Winien mi jesteś tego człowieka.

Sadko stanął jak wryty, nie wierząc własnym uszom. Zerwał maskę gazową i z jego piwnych oczek strzeliły błyskawice gniewu, a usta plunęły przekleństwem w jakimś obcym języku.

— Co to za głupi żart...? — zaczął.

— Wstrzyknę mu „Kn” — rzekł Galt. — Powinno to dać ciekawy efekt psychologiczny. Możesz się przyglądać.

— Ja chcę przeprowadzić operację przysadki mózgowej! — odparł Sadko, podchodząc groźnie wolnym krokiem do Galta. Patrzył na jego gardło i poruszał wielkimi rękami.

Galt zrobił krok do tyłu. Groziło mu niebezpieczeństwo. Ale nie chciał się z nim bić, tylko zmusić go, żeby mu zajrzał w oczy.

— Sadko, opamiętaj się! Bo — bo inaczej sprowadzę tutaj z pół tuzina pacjentów, którym operowałeś przysadkę, i których ci dostarczę — rzekł złowieszczo.

Już się nie cofał. Przeciwnie. Przysunął się do chirurga i zajrzał mu z bliska w oczy. Sadko błyskał zębami i przechylając głowę to na prawo, to na lewo, szukał wzrokiem odpowiedniego miejsca na szyi Galta. Z gardła wydobywał mu się głuchy, zwierzęcy pomruk, który towarzyszy zawsze obnażonym kłom.

Ale w końcu wściekłość ustąpiła miejsca wstydliwemu uśmiechowi, który nadał brodatej twarzy ludzając dobroduszny wygląd.

— Ach! Galt! — rzekł. — Ty potr-r-afisz dopr-r-owadzić człowieka do szaleństwa. Nawet takiego bar-r-ranka jak mnie. Masz do tego mistrzowski talent. Jeżeli kiedy otworzę ci czaszkę, to pewnie zamiast przysadki znajdę czer-r-wonego czar-r-cika z r-r-ogami, ogonem i z widłami w pazur-r-ach.

Galt nie słuchał. Otwierał wyjętym z kieszeni kluczykiem szafkę w ścianie, pełną małych buteleczek z płynami. Treść etykietek na buteleczkach pisana była przez Galta, jego nerwowym, subtelnym charakterem pisma. Znaki na etykietach nie objaśniłyby nikogo postronnego o zawartości buteleczek. Flakonik oznaczony „Kn”, leżał na boku w pudełku wyłożonym watą, a obok niego jakaś specjalna, metalowa strzykawka z igłą. Galt odkorkował flakonik i nabrał z niego strzykawką trochę płynu. Następnie rozgrzał ostrożnie strzykawkę nad palnikiem bunsenowskim. Sadko zdejmował tymczasem kitel. W zwykłym ubraniu wyglądał bardziej na niedźwiedzia niż kiedykolwiek. Po prostu zdawało się, że jest cały pokryty grubym futrem. Stał przed szafą, w której trzymał okrycia, przeciągnął się leniwie i ziewnął. Efekt był taki, jakby w

gąszczu otworzyła się jaskinia. Na Galta nie zwracał najmniejszej uwagi, tak jakby to było dziecko, bawiące się głupią zabawką. Pozbawiony podniety w postaci eksperymentalnej operacji, Sadko zapadł niejako psychicznie w zimowy sen.

Ubrał się w obszerny płaszcz z kapturem, nakrył głowę miękkim, czarnym filcowym kapeluszem, wziął z szafy małą walizkę i skinąwszy przyjacielsko Ito, wyniósł się z sali. Na Galta nawet nie spojrział. Poszedł na górę, a potem opuścił dom.

Galt stanął przy stole operacyjnym i przewrócił pacjenta twarzą w dół. Następnie jął obmacywać wprawnymi palcami jego stos pacierzo-

wy, aż trafił na potrzebny kreg. Ito podał mu kawałek waty, zmoczonej w jodynie, do przetarcia oznaczonego miejsca, i zaraz potem skalpel, którym Galt natychmiast zaczął ciąć.

Cięcie długie na półtora cala, obnażyło kość. Ito wręczył Galtowi strzykawkę z płynem „Kn” i ten, poszukawszy starannie miejsca zetknięcia dwóch kręgów, wbił igłę w tkankę nerwową i nacisnął tłok.

Wyjąwszy igłę, zdezynfekował ją i schował do szafki. Ito zaś zajął się Jonesem, opatrzył mu ranę i przewrócił z powrotem na plecy.

Galt zamknął szafkę, zdjął biały kitel i podszedł do drzwi.

— Ito rzekł. — Towarzysze Gurly'ego nic mieli nic w ustach od wczoraj. Mógłbyś im coś ugotować. Do picia podaj im kawę, od której chce się spać.

Ito uśmiechnął się znacząco. Galt, nie czekając czy jego polecenie zostanie wykonane, udał się na górę do holu, włożył płaszcz, kapelusz i opuścił dom.

Ito pogasił lampy rtęciowe z wyjątkiem jednej, po czym poszedł do pokoju, gdzie Hansen i McCabe czuwali nad nieprzytomnym Gurly'm.

— Mój pan pyta się, czy panowie nie mieliby ochoty na jajecznicę z szynką, dżem truskawkowy, bułeczki i doskonała kawę? — zapytał.

Na widok Japończyka McCabe zerwał się / miejsca jak buldog, który zobaczył starego wroga. Ale Hiinsen pchnął go z powrotem na krzesło i odpowiedział w imieniu obydwóch.

— Pewnie, że czas byłoby coś przekąsić. A daj nam podwójne porcje, mongole!

— Rozkaz, panie! — odparł Ito. — Za dziesięć minut będą gotowe.

## ROZDZIAŁ

### XI Żywy

#### upiór

W kwadrans po powrocie do domu Gail wyskoczyła z łóżka. O śnie nie mogło być mowy. Była zdenerwowana i nie mogła ani na chwilę przestać

myśleć o zagadkowej sprawie, która ją po prostu rozstrajała psychicznie. Galt wpadł w potrzask z jej winy i nie pozwolił się ratować. Równie dobrze mógł kazać, żeby o nim zapomniano. Postanowiła wrócić na miejsce nocnych zdarzeń i uwolnić go w ten, czy inny sposób.

To postanowienie wprawiło ją w stan energicznej ruchliwości, charakteryzującej niegdyś wszystkie poczynania jej ojca. Poszukała map samochodowych i rozpostarła je na stole, zaczęła studiować okolice Huguenot Road i Stapletonu. Na początku przymusowej jazdy samochód pędził w kierunku południowym. Jaki most mógł się znajdować

w odległości mniej więcej dwudziestu minut jazdy? Naturalnie most na Killu.

Od New Jersey do strome go wzniesienia, a potem doliny, a potem znów wzgórza musiała upłynąć godzina z okładem. Jakie górzyste miejsca mogły się tam znajdować?

Jak kot, wracający na chybił trafił do miejsca, z którego go zabrano, aby się zgubił, Gail starała się przypomnieć sobie wszystkie zakrety drogi, którą ją wieziono. Ale problem nie dał się jednak rozwiązać przy pomocy samego rozumowania. Zrozumiała to, że czysta dedukcja na wiele się nie przyda.

Zobaczyła przez okno wracającego samochodem Jura. Jak on szybko naprawił silnik! Porwała płaszcz, kapelusz i mapy i zbiegła na dół.

— Jur, pojedziesz ze mną, i ty także Jerry! — rzekła, siadając za kierownicą. — Ale weźcie ze sobą broń!

Dwaj bracia posłuchali bez zbędnych pytań i Gail wyruszyła gonić wiatr w polu.

Po przebyciu mostu na Killu uprzytomniła sobie, że zadanie przedstawiało się trudniej, niż jej się to wydawało z początku. Tędy?... nie, nie tędy! Więc może tędy? Pół godziny jazdy i znów wątpliwości, czy jednak nie powinna była obrąć wręcz przeciwnego kierunku.

Minęło południe, a Gail jeszcze nie chciała posłuchać głosu rozsądku. Musiała znaleźć Galta! Dlaczego? Pytanie to nasuwało jej się uporczywie i przybierało formę samooskarżenia. Czy goniła za błędnym ogniem, dlatego tylko, że poczuwała się do wdzięczności względem Galta? Takie zobowiązanie mogło być dostateczną przyczyną. Ale czy tylko z obawy o Galta sama narażała się na niebezpieczeństwo?

— Cholera! — zakłęta pod nosem. Natrętne pytania rozpraszały uwagę, którą powinna była skupić wyłącznie na znalezieniu właściwej drogi. Ogarniał ją coraz większy gniew, a z nim coraz silniejsze przekonanie, że goni wiatr w polu.

Zapadający zmrok obudził w niej nagłą troskę o braci Channersów, którzy od rana nie jedli. Że też mogła o nich zapomnieć! Na skrzyżowaniu trzech dróg, oznaczonym drogowskazem, wróciło jej poczucie rzeczywistości. Ganiała bez

wychnienia przez trzynaście godzin. Teraz znajdowała się w odległości trzech godzin jazdy od punktu wyjścia. A jak daleko od celu?

Zatrzymała maszynę przed przydrożną gospodą i rzekła do braci tonem nagłego zniechęcenia:

— Wsiądźcie i idźcie się posilić!

Jur wysiadł i otworzył dla niej drzwiczki.

— Nie. Ja poczekam na was w samochodzie. Nie jestem głodna!

Bracia naradzili się szeptem, po czym Jur rzekł:

— Jeżeli panienka może dłużej pościć, to i my potrafimy poczekać na obiad.

— Nie, mój kochany — odpowiedziała ponuro. Idźcie coś zjeść. Potem zaraz pojedziemy do domu.

— W takim razie — wtrącił Jerry — panienka pozwoli, że nie wstąpimy tutaj na przekąskę. Czy mamy zatelefonować do Heleny, żeby czekała na panienkę z obiadem?

— Owszem, Jerry. Dziękuję wam obu.

Oddała kierownicę Jurowi i przesiadła się ociężale na główne siedzenie. Jerry poszedł zatelefonować.

Wrócił po kilku minutach i otworzył drzwiczki. Gail siedziała zgarbiona w rogu.

Panienko, Helena mówi, że jakiś pan Ga U telefonował do panienki kilka razy — zameldował. — Prosił, żeby panienka przyjechała natychmiast do domu dr. Braddisha.

Gail znajdowała się w stanie takiej depresji, że nic od razu pojęła sens wiadomości. Wyprostowała się powoli i rzekła:

— Jerry, powtórz jeszcze raz!

Powtórzył słowo w słowo. Nagle zaszła w jej zachowaniu zmiana, tak zdumiewająca, że bracia z trudem zapanowali nad zdziwieniem.

— Jur, jedź najszybciej jak możesz — krzyknęła, wymieniając adres dr Braddisha.

Olbrzymia maszyna porwała się z miejsca i pomknęła w noc z maksymalną szybkością, niedozwoloną, choć neutralizującą niebezpieczeństwo zatrzymania. Pomimo to Gail drżała z niecierpliwości. Gdyby nie знаła Jura, domagałaby się, żeby jechał jeszcze prędzej. Przymusowe postoje w miastach i miasteczkach, pomimo, że Jur starał się ich uniknąć, doprowadziły ją do ostateczności. Potem czekanie na prom i przeprawa przez wodę dopełniły jej tortur.

Widok Manhattanu sprawił jej tylko przejściową ulgę, bo potem



przyhamowały ich liczne korki, sygnalizacja świetlna i policja drogowa. Myślała już, że w ogóle nie zajadą na miejsce.

Wreszcie zajechali. Myśląc, że sam wygląd budynku powie jej sporo, przyjrzała mu się bacznie. Ale we wszystkich oknach było ciemno. Zrobiło jej się słabo.

Wysiadła z wozu prawie w biegu i skoczyła ku stopniom. Nim jeszcze zdążyła zadzwonić, Ito otworzył jej drzwi. Było to takie niespodziewane, że cofnęła się o kilka kroków. Nie pytając o nic, wbiegła szybko do ciemnego holu. Ito zamknął za nią drzwi i oświetlając drogę elektryczną latarką sprowadził ją gdzieś na dół.

Tu otworzył drzwi, wychodzące na korytarz i Gail zobaczyła coś, co

wyrwało jej z gardła nieartykułowany okrzyk przerażenia i zdumienia. Potężne światło lamp rtęciowych padało na stół operacyjny, na którym leżał nieprzytomny Jones, przykryty prześcieradłem, z ogoloną czaszką, z niewidocznymi oczami w czarnych oczodołach. Koło stołu stał sam Galt, również w blasku upiornego światła, chudy, z twarzą ożywioną entuzjazmem badacza.

— Ito, zostań na korytarzu — rzekł. — Pani niech wejdzie.

Sama nie wiedziała, jak i kiedy weszła do pokoju i pochyliła się nad twarzą z zamkniętymi, zapadniętymi oczami. Cały dzień szukała Galta, a teraz kiedy spotkała się z nim, obrzuciła go tylko przelotnym spojrzeniem, gdyż cała jej uwaga ześrodkowała się na nieruchomym Jonesie. Czy on umarł? Czy Galt go zabił?

Galt postawił na stole jakiś aparat połączony przewodami z bardziej skomplikowanym mechanizmem ustawionym po ścianą, i przyłożywszy do karku pacjenta elektrody, włączył prąd.

W pozornym trupie objawiło się życie. Pierś podniosła się w dostrzegalnym oddechu i wolno otworzyły się powieki. Zupełnie jakby były na wpół sparaliżowane, a ruch powiek jest bodajże najszybszym odruchem ludzkiego ciała.

Powoli oczy stały się przytomne i ich leniwe spojrzenie przeniosło się z Gail na Galta. Intensywność wzroku tego ostatniego obudziła w nich pytanie. Ale myśl zrodziła się z takim samym trudem, jak świadomość. Usta Jonesa nie mogły nadażyć za biegiem myśli. W końcu zaczął mówić, jękając się.

— Sadko — długa przerwa — czy — czy —?

— Nie było operacji! — rzekł głośno Galt.

Zdrętwiała świadomość Jonesa nie od razu przyswoiła sobie znaczenie tych słów. Gail zobaczyła, że w błędnych oczach zafalował cień emocji.

— Dla-cze-go — nie — by-ło?

— Bo operacja jest niemożliwa — odpowiedział z naciskiem Galt.

Stosunek tych dwóch ludzi uległ odwróceniu. Poprzednio Jones pastwił się nad Galtem. Teraz chciwe spojrzenie Galta, utkwione w Jonesie,

przejęło Gail dreszczem trwogi, takim samym, jakiego doświadczyła w galerii obrazów.

Wydało jej się, że widzi wolno przesuwający się film procesów uczuciowych i umysłowych człowieka, leżącego na stole. Lecz powolność ta nie musiała być skutkiem słabości fizycznej, ale jakiejś zmiany chemicznej w nerwach, mięśniach, czuciu i reakcjach myślowych i emocjonalnych.

— Powiedziałeś — że Sadko — może...

— Skłamałem.

Nastąpiła dłuższa przerwa — przygotowywanie się do większego wysiłku.

— Człowiek — na — fotografiach — najpierw — taki — jak — ja — potem — muskularny — wspaniały —?

— Omyliłeś się co do kolejności tych zdjęć — odparł Galt, zmieniając powoli pozycję, żeby móc lepiej obserwować twarz Jonesa. Kiedy go poznałem, był ratownikiem i ustanowił szczególny rekord. Na siedem osób, które usiłował wyratować z wody, cztery utonęły w jego ramionach. Tak mnie to zaintrygowało, że wypłynąłem daleko w morze i zacząłem wzywać pomocy. On pośpieszył do mnie i udając, że chce mnie wciągnąć na łódź próbował mnie utopić. Był maniakałnym mordercą i dlatego wybrał sobie takie zajęcie. Później podstępnie go złapałem i Sadko wyciął mu przysadkę mózgową. Chciałem zbadać, jakie zmiany psychiczne zajądą równocześnie z utratą ciała.

Gail nie pojęła pełnego znaczenia tych słów i wydało jej się początkowo, że Jones tak samo. Nagle z ust tego ostatniego wyrwał się głuchy, przeciągły krzyk:

— Co zro-bili-ście mi?

— Wstrzyknąłem ci „Kn”, środek opóźniający reakcję systemu nerwowego.

Gail zadrżała słysząc bezosobowość tonu, jakim Galt odpowiedział na krzyk z dna duszy. Jones patrzył na niego wzrokiem człowieka, który pyta, co go czeka; śmierć, czy życie.

— Jak — to — dłu-go potrwa?

Galt patrzył na niego, jak na przeciwnika w sporze.

— Na zawsze... o ile mi nie powiesz tego, co chciałem wiedzieć.

Woskowe powieki przymknęły się, żeby ukryć cenną dla wroga myśl.

— Czego — chcesz?

— Kiedy po raz pierwszy spotkałeś ojca pani? — zapytał Galt.

— Nie — możesz — mnie oskarżyć — on zabił — się sam — wobec świadków.

Galt odwrócił się i zaczął zbierać narzędzia i chować je do szafek. Jones

otworzył oczy i spróbował pogonić za nim wzrokiem, co mu się niezupełnie udało, gdyż pomimo, że Galt krzątał się bez pośpiechu, leniwe gałki oczne nie mogły nadążyć za jego ruchami. Ale pomimo to Jones zrozumiał, że Galt szykuje się do odejścia.

— Zaczekaj! — mruknął.

Galt odwrócił głowę. Jones patrzył teraz na Gail, ale w taki sposób, jakby to nie była ona, lecz ktoś inny.

— Czy — po-licja? — zaczął.

Galt wrócił do stołu.

— Policja nie ma z tym nic wspólnego — rzekł. Ale jeżeli skłamięś choć na jotę, to pozostaniesz w tym stanie do końca życia!

Oczy Jonesa, wlepione z intensywnym wysiłkiem w twarz Galt zaczęły zachodzić krwią.

— Jeżeli — powiem...

— Odpowiedz mi na pytanie, a przywrócę ci takie samopoczucie, w jakim tu przybyłeś. Potem będziesz się mógł wynieść...

— Nie — mogę — zaufać — twemu — słowu!

— Naturalnie — odparł Galt.

— To — po co — mam — mówić?

— To już twoja rzecz.

Usta Jonesa zaczęły się poruszać, jak u dziecka, które uczy się czytać. Zwątpienie walczyło w nim z nadzieją, strach z modlitewnym porywem. I znów spojrzął na Gail, tak jakby patrzył na kogoś innego.

— Dwadzieścia — sześć — lat — temu — w — Sonorze — w Meksyku — kobieta, którą — kochałem — porzuciła mnie — dla — Grangera.

Gail pr<sup>o</sup> pomniała sobie z przerażeniem burzliwą aferę miłosną ojca, która poprzedziła jego małżeństwo. Wszak opowiadał jej o tym w dniu swojej śmierci. W Jonesie wspomnienie to obudziło dawną nienawiść. Zaczął oddychać szybciej i mówić płynniej.

— Granger był — wspaniały, silny — piękny. Ja byłem — taki jaki jestem. Ich miłość — dała mi odczuć — w całej pełni — moje braki.

— Rozszerzył usta jak przy warknięciu, obnażając przy tym zęby.

— Zabijając ją wystrzałem — z rewolweru — patrzyłem na nią bacznie... Blask jej oczu — zmętniał. Ogień — który w niej gorzał — zgasł. We mnie nie zgasł. Przeciwnie. Podsycalem go. Podsycalem — ale czekałem. Nie chciałem — mego wroga — zabić. Chciałem — głębszej zemsty. Bardzo — powolnej. Pozwoliłem mu — wyjechać z Sonory — ale byłem ciągle na jego tropie. On ożenił się — ja czekałem. Urodziła — się — ta — dziewczyna. Czekałem. Dziesięć lat. Dłużej. Wreszcie napisałem do niego w

interesie. Proponowałem kupno kopalni w Sonorze. Przyjechał. Nigdy mnie przedtem nie widział. Ja go widziałem. Zjechaliśmy do kopalni — on stanął na kamieniu. Obsunęła się skała. Został uwięziony... Nic mu się nie stało, tylko trwoga... Zjeżdżałem co dzień słuchać jego krzyków. Szalał. Był bliski obłądu. Godzinami mogłem słuchać.

Młasnął językiem i wargami, jak smakosz delektujący się wspomnieniem. Oczy pastwiły się nad czymś niewidzialnym. Gail wbiła paznokcie w dłonie, żeby nie krzyknąć i nie rzucić się z pięściami na tę plugawie uśmiechniętą twarz.

— Jakiś — dureń — uwolnił go! Niech go piekło pochłonie! — ciągnął Jones, przymrużając oczy, gorejące nienawiścią. — Ale i potem

nie straciłem tropu Grangera. Śledziłem wszystkie zakręty jego kariery. Nawet — prowadziłem z nim — interesy przez moich agentów. Cieszyłem się, że mu się powodzi i wiedziałem, jaka — w nim zaszła — zmiana — od wypadku — w kopalni — w Sonorze. Zaczął się bać straszliwie ciasnej przestrzeni. Przez moich agentów — wciągnąłem go w spekulacje finansowe i zmusiłem do — złamania prawa — na wpół nieświadomie. Sam je złamałem świadomie żeby go pociągnąć za sobą. Ale wtedy wiedziałem — o tym — tylko ja. I znów — czekałem. Dopóki nie wystawił — swego drapacza. Dopóki nie — opracował planów drugiego. Czekałem dopóki nie osiągnął szczytu powodzenia. Dopóki nie — stał się potężny. Dopóki — nie zapomniał o Sonorze. Wtedy — dopiero wtedy — uderzyłem...

Leniwy zmysłowy uśmiech przypieczętował koniec opowiadania.

Gail przystąpiła do stołu i zmusiła wzrokiem Jonesa, żeby na nią spojrzeć. Jej podniesione ręce drżały powstrzymywaną chęcią mordu. Jones musiał wyczytać w jej oczach, czego sobie odmawiała.

— Nie wiem, co Galt zamierza z tobą zrobić zasyczała. — Ale jeżeli wypuści cię stąd żywego, to ja nie stracę twego tropu!

I jakby bojąc się, że dłużej nie wytrzyma, odwróciła się szybko i wybiegła z sali. W ciemnym korytarzu czekał I to, który z twarzy Galta, dostrzeżonej przelotnie w szparze zamykających się drzwi, wyczytał, co ma robić. Pośpieszył więc z latarką za potykającą się po omacku dziewczyną, poświecił jej na schodach i w holu i otworzył drzwi frontowe.

Gail pobiegła do samochodu. Jur otworzy! jej drzwiczki i pomógł wsiąść.

— Zaczekajmy tutaj — rzekła i usadowiwszy się wygodnie, skierowała czujny wzrok na drzwi lecznicy.

W sali operacyjnej pozostali Jones i Galt. Jones, jakby wcale nie zauważając zniknięcia Gail, popatrzył twardo na Galta i zapytał:

— A teraz co?

— Teraz powiesz mi o innych z twojej sali portretowej — odpowiedział psychiatra.

— Jak — mi zapłacisz — za to — co wyznałem?



— Jeżeli mi jeszcze powiesz o tamtych...

— Nie.

— ... to może zdecyduję się przywrócić ci pełne zdrowie...

— Nie.

Galt spostrzegł, że jego bezlitosność starła się z nieugiętą stanowczością.

— Dobrze. W takim razie dam ci coś do wyboru! — rzekł.

Wyjął z szafki dwie małe buteleczki, które pokazał Jonesowi.

— Wiem, że w takim stanie, jak teraz, nie chcesz żyć. Możesz wybierać...

Postawił flaszeczki w takim miejscu na stole, żeby Jones mógł przeczytać etykiety. Na jednej widniał napis „Strychnina”. Na drugiej „Cyjanek potasu”.

— Cyjanek działa szybciej — zauważył. Jones spojrzął mu w oczy.

— Zmuszasz — mnie — do — samobójstwa? — zapytał.

— Nie. Twoje ubranie leży tam. Ito pomoże ci się ubrać. Możesz stąd odejść.

Jones patrzył uważnie w pochyloną nad sobą, nieludzko niewzruszoną twarz.

— Nie zatrzymasz — mnie?

— Nie.

— To znaczy — że — że zostanę — taki —jaki jestem na zawsze?

Galt nie odpowiedział.

Jones przymknął oczy i znów je otworzył. Do powzięcia ostatecznej decyzji potrzebny mu był widok Galta.

Ten ani myślał pomóc mu w walce strachu przed śmiercią ze strachem przed życiem, która to walka objawiała się w drganiu całej twarzy i w oczach. Jego jedno wymowne spojrzenie przechyliłoby szalę na tę lub na tę stronę. Ale on patrzył tylko z wyrazem naukowego zainteresowania.

— Zaufałem — twojej — ciekawości! — mruknął Jones wargami, na których pojawiła się delikatna rosa.

— Tak — potwierdził Galt. — Zgubiła cię twoja próżność. Głupcze, czy naprawdę uwierzyłeś, że z moją pomocą mógłbyś rządzić światem?

— Myślałem — że ty tak myślałeś — i że z twoją pomocą stanę się — jak inni ludzie.

Galt uśmiechnął się.

— Po czym przystąpiłbyś do zrealizowania swego planu względem mnie, do namalowania mego portretu?

Jones zwilżył usta i jedna jego ręka wysunęła się z ciężkim, bolesnym dla

oka, wysiłkiem spod przykrywającego ciała prześcieradła. Oczy jego opuściły twarz Galta na krótką chwilę potrzebną do wyboru buteleczki. Po czym palce zamknęły się na etykiecie z napisem „Cyjanek potasu”.

Wyciągnęła się druga ręka i ujęła z trudem za szklany koreczek. W świetle lamp rtęciowych wielkie krople potu na czole Jonesa wyglądały jak grudki ciała stałego. Raz jeszcze jego oczy poszukały pytająco oczu Galta.

Lecz zobaczyły tylko widza.

Prawa ręka Jonesa przechyliła powoli buteleczkę z cyjankiem na

lewą dłoń. Lewa ze śmiertelnymi kryształkami podniosła się wolno do ust. Wtem Jones zmienił postanowienie i twarz jego wykrzywiła się wyrazem złośliwej uciechy. Nie pozbawi Galt oczekiwanego widoku. Nie!

Ale zaraz uświadomił sobie, że Galt przestał go obchodzić. Lewa ręka znów zbliżyła się do ust. Oczy pożegnały świat rzeczywistości ostatnim spojrzeniem. Kryształki wpadły do ust, gardło przełknęło powoli i konwulsyjnie, oczy zamknęły się w oczekiwaniu.

Galt patrzył. W samobójcy nie zaszła żadna zmiana. Oczekiwanie zaczęło ciążyć nawet jemu. Sekundy wlokły się w nieskończoność. Jones otworzył oczy i rzucił Galtowi bezsłowne pytanie.

Ten, jakby wreszcie nasyciwszy swoją ciekawość, odwrócił się od stołu.

— Nic chcę, żebyś mi tu umierał w domu — rzekł. — Dałem ci cukier.

Jones pojął doniosłość tego faktu dopiero po pewnej chwili, po czym zamknął oczy i westchnął. Oszukano go.

— Przyślę Ito, żeby ci pomógł ubrać się rzucił przez ramię Galt, idąc ku drzwiom. — Możesz odejść, ale nie myśl, że ktoś pośpieszy ci z pomocą. Ito uśpił Hansena i McCabe'a wodnikiem chloralu, którego nasypał im do kawy. Potem załadowaliśmy ich i Gurly'ego do twego samochodu i Ito wywiózł ich gdzieś i pozostawił jeszcze nieprzytomnych. Ja pojechałem za nimi drugim samochodem. Kiedy się ocknęli, znaleźli list z zawiadomieniem, że już nie wrócisz, i dlatego. McCabe usiadł za kierownicą. Ja z Ito jechaliśmy w pewnej odległości za nimi. Zajechali przed twój dom na górze, za Redfernem. I to i ja czekaliśmy na rozwój wypadków. McCabe, Hansen, Gurly i jeszcze czterej z twoich ludzi wyszli z ogromnymi pakunkami. Przypuszczam, że z łupami. Wszyscy odjechali i w dziesięć minut potem twój dom stanął w płomieniach. Nie miałbyś do czego wracać.

Twoje szczury, wielkie i małe, opuściły cię... F<sup>1</sup>o powrocie do Nowego Jorku udałem się do Agencji Deana. Przestała istnieć. Nie zastałem nikogo i ani śladu po kimkolwiek. Zajrzałem do biura Cadwalladera, dwóch Jenkinsów i

Kittsa. Kitts, wyjechał, nie zostawiając adresu.

Jones nie dał po sobie poznać, że coś usłyszał, lub zrozumiał.

Galt obrócił się na pięcie i wypadł z sali.

Jones dźwignął się z trudem do pozycji siedzącej i spuścił nogi na podłogę. Ito zastał go już stojącego i chwiejącego się na nogach.

Przyniósł mu ubranie i chciał pomóc przy wkładaniu go, ale Jones odwrócił się powoli do niego i Japończyk wyczytał z jego oczu, że ma się odsunąć.

Ubieranie się trwało bardzo długo. Jones nie tylko nie mógł się

pośpieszyć, ale ciągle się mylił. Palce odmawiały posłuszeństwa, oczy źle oceniały odległości. Ale w końcu dokazał tego, że się ubrał. Zaczął się ciężki marsz za Ito przez korytarz i po schodach. Ito wyprowadził go na dwór. Powietrze nocy dodało skazańcowi trochę siły, ale zeszedł po stopniach na ulicę, trzymając się poręczy.

Przed domem czekało auto Gail. Dzięki zapalonemu wewnątrz światłu widać było sylwetkę jej i Galta. Jones, który ich nie zauważył, powlókł się ulicą.

Samochód ruszył za nim tak samo powoli...

Na rogu Czwartej Alei Jones zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i rzekł do kierowcy:

— Kolejka podziemna!

— Która linia?

Jones szamotał się bezsilnie z drzwiczkami.

— Wszystko — jedno — która — odpowiedział.

Szofer spojrział zdziwiony. Pasażer nie robił wrażenia pijanego, a jednak... Musiał chyba być chory. Wypadałoby wysiąść i pomóc mu. Ale Jones odsłonił powoli zęby w tak zwierzęcym odruchu, że uprzejmy kierowca zrezygnował z tego zamiaru.

Taksówka ruszyła, a za nią samochód Gail.

Zatrzymała się przed wschodnią stacją kolejki podziemnej na Dwudziestej Ósmej ulicy. Jones wysiadł z trudem. Zapłacił kierowcy i nie czekając na resztę, skierował się ku wejściu.

Auto Gail również stanęło. Galt wysiadł. Gail chciała pójść za jego przykładem, ale powstrzymał ją.

— Nie potrzebujemy iść oboje — rzekł. — Niech pani tu zaczeka dziesięć minut. Jeżeli po upływie tego czasu nie wrócę, zadzwonię do pani do domu.

Chciała zignorować to polecenie, lecz wyraz jego kamiennej twarzy przestrzegł ją, że mądrzej będzie posłuchać.

Galt podążył za Jonesem.

Nie mogąc usiedzieć w aucie, stanęła przed zejściem do tunelu patrząc co chwilę na zegarek.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Gail nie wytrzymała. Weszła w drzwi i właśnie była w połowie schodów na dół, kiedy do uszu jej dobiegły trwożne krzyki mężczyzn, wrzaski kobiet i przeraźliwe gwizdki.

Galt zatrzymał ją na schodach.

— Niech pani wraca.

Z ulicy nadszedł pośpiesznie policjant. Galt ujął Gail pod ramię, zaprowadził ją do wozu i otworzył drzwiczki. Tak ją przyzwyczaił do posłuszeństwa, że ku własnemu zdziwieniu, nie zaprotestowała ani jednym słowem i nie zadała ani jednego pytania.

Galt został na ulicy z ręką na otwartych drzwiczkach.

— Po nim — rzekł. — Czekał na skraju peronu i rzucił się pod pociąg.

Gail, pomimo, że przewidziała, co usłyszy, zbladła jak ściana.

— Pan wiedział, że on to zrobi? — wyjąkała.

— Wiedziałem.

Złapała oddech.

— Przyrzekł mi pan poetycką sprawiedliwość. Nie myślałam, że to będzie morderstwo! Proszę zrozumieć, że ja pana nie ganię, bo sama jestem współwinna...

Galt nie pozwolił jej dokończyć.

— Gdyby poczekał dwie doby, przekonałby się, że jego przykry stan był przejściowy. Moje „Kn” przestałoby wtedy działać... Do branoc!

Proszę pana — ! wykrztusiła Gail. — Chcę z panem pomówić! Ale Galt zatrzaskał drzwiczki i oddalił się szybkimi, długimi krokami. Gail opuściła ręce.

— A teraz, Alanie — rzekła, patrząc w ogień powiem to co jest najtrudniejsze do wypowiedzenia.

Alan Rhodes zdumiewał się zmianą, jaka zaszła w Gail od jej powrotu z tajemniczej wyprawy do Bostonu. Nie mógł określić tej zmiany, taka była nieuchwytna, a przecież rzeczywista. Dziewczyna stała się jakby bardziej dorosła, a jednocześnie bardziej nieśmiała i nerwowa w jego obecności.

— Kiedy Galt zostawił mnie przed wejściem do kolejki podziemnej — ciągnęła niepewnym głosem — potem kiedy tamten okropny człowiek wpadł pod pociąg — urwała, drżąc.

— Tak, Gail — rzekł zachęcająco młody człowiek. — Wiem wszystko do chwili twojego wyjazdu z miasta.

Spojrzała mu w oczy.

— Mój drogi, zdobądź się na subtelne zrozumienie mnie — pomóż



mi zrozumieć siebie — żebym się sobie wydała lepszą... Alanie, niektóre kobiety odczuwają niewytłumaczalny i chorobliwy pociąg do mężczyzn, którzy je całkowicie ignorują?

— Mężczyźni bywają tacy sami — odpowiedział. Ja — ja nigdy nie myślałam, że jestem taka...

— Bo nie jesteś.

— Dziękuję ci, ale lepiej wstrzymaj się z opinią, dopóki wszystkiego ci nie wyznam.. Kiedy Galt opuścił mnie tak zniecka, przed zejściem do kolejki podziemnej — nigdy się nie żegnał, a wtedy — powiedział dobranoc — zrozumiałam, że się już nigdy nie spotkamy... chyba, że ja

podejmę inicjatywę. Zatelefonowałam do niego. Powiedziałam, że muszę się z nim koniecznie zobaczyć. Że mam pewne rzeczy do omówienia.

Spodziewałam się lakonicznej odmowy. Ale przyszedł. Staralam się uświadomić sobie stan swoich uczuć — co mu powiem, czego się spodziewam. Kiedy przyszedł, zastał mnie nieprzygotowaną. Nim zdążyłam coś powiedzieć, rzekł:

— Myli pani podniecenie z uczuciem. Na pewien czas wniosłem w pani życie element fascynacji. Przeżyliśmy razem kilka emocjonujących godzin i pani nadaje naszemu spotkaniu fałszywą wartość uczucio-  
wą. Jeżeli zniknę w zwyczajny sposób, to będzie pani nadal żyć złudzeniami, gdyż jak sądzę, nie zgadza się pani z moją interpretacją naszych wzajemnych stosunków. Niech pani wobec tego jedzie do niej.

Dał mi nazwisko jakiejś kobiety i adres szkoły pod Bostonem.

— Niech jej pani powie o wszystkim — rzekł. — Ona nie zna mnie jako Galta. Niech jej pani powie, że Dawid panią przysyła. Żegnaj panią!

— Tym razem — ciągnęła Gail, zwracając znów oczy na kominek — zrozumiałam, że to było pożegnanie... Pojechałam pod Boston, we wskazane miejsce... Przyjęła mnie wspaniała, płomienna bogini, Helena Deering... Prowadzi szkołę dla bogatych, dorastających panien... Ale to nie jest taka sobie zwyczajna szkoła. Ona przyjmuje tylko takie panny, które nie uważają bogactwa na źródło szczęścia, lecz traktują je jako odskocznię do działalności charytatywnej i społecznej... Wychowuje swoje uczennice na dzielne, pożyteczne kobiety...

Kiedy wymieniłam imię „Dawid”, zaszła w niej zdumiewająca zmiana.

— Więc on żyje — szepnęła. Nie wyobrażałam sobie, żeby taka wrażliwa twarz mogła przyjąć z tak zimną obojętnością wiadomość, że ktoś żyje. Widocznie uchodził już za zmarłego. Więc — Helena zamyśliła się i rzekła:

— Użył serca pani, jako laboratorium psychoanalitycznego. Już jako mały chłopiec psuł moje lalki i zwierzątka, żeby zbadać mechanizm ich sztucznych głosów, pisków, beków i automatycznych ruchów. Potem psuł mi zabawki w tym celu, żeby obserwować, jak ja na to reaguję. Jako student uniwersytetu,

znęcał się niemiłosiernie nad ludźmi li tylko dla zaspokojenia swojej nienasyconej ciekawości. Czekałam, żeby ta jego namiętność przybrała jakiś usprawiedliwiający ją akcent, żeby zaczął płacić za ból rozdzieranych ludzkich serc. Czekałam długo potem, kiedy inni już zwątpili w niego. Potem jeszcze... okłamywałam samą siebie, że wierzę w niego. W końcu wezwałam go do siebie i rzekłam:

— Jesteś beзуżyteczny i nasze wspólne życie byłoby bezcelowe!

Widziałam go wtedy ostatni raz. W jakiś czas potem znaleziono jego ubranie koło młyna. Wszyscy uwierzyli, że popełnił samobójstwo... Widzę teraz, że uczynił to, abym go łatwiej zapomniała... Więc to on przysyłał mi przez te lata te wszystkie przedmioty!

Zaciekawilo mnie, co moglo znaczyć to stwierdzenie — ciągnęła Gail. — Alanie, ona pokazała mi szufladę, wypełnioną dziwnymi zbiorami. Czego tam nie było! Budda z kości słoniowej z odłupaną głową, bilet kolejowy z Yokohamy do Tokio, czcionka K z jakiejś dziwnej maszyny drukarskiej, wielki, błyszczący szmaragd w złotej, delikatnej oprawie, nadkrus/ony jakby uderzeniem młotka, flakon perfum z napisem na etykietce „arszenik”, na wpół spalony egzemplarz ślicznego wydania „Aueassin and Nicolette”... i inne przedmioty, nie mające z sobą na oko żadnego związku.

- Przez całe lata ktoś mi to przysyłał anonimowo — rzekła Helena Deering. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co to mogło znaczyć... I teraz wreszcie przysłał mi panią.. Czy pani odwiezie mu te rzeczy?

— Nie — odparłam. — To jest sprawa między *nim* i panią.

I wysłałam... Alanie, on starał się dać jej po swojemu do zrozumienia... posyłając jej te przedmioty... że nie był „beзуżyteczny”. Ja także odegrałam rolę „eksponatu”...

Gail wzięła w rękę szczypcę, żeby poprawić ogień i uderzona jakąś myślą, znieruchomiała.

— Po powrocie tutaj — mówiła — doznałam niesłychanie dziwnego uczucia, że obudziłam się z jakiegoś niesamowitego snu. Z przebudze niem przyszło wrażenie... że Galt nie był rzeczywistością, lecz częścią snu...

Młody człowiek rzucił na podłogę poduszkę z kanapy i usiadł u jej stóp.

— Pozwól mi na siebie popatrzeć, Gail - rzekł.

Spojrzała mu odważnie w oczy.

— Będę czekał, najdroższa. Będziesz miała czas przekonać się, co naprawdę czujesz!

Potrząsnęła głową.

— Och, Alanie, czy każesz mi długo czekać? A jeżeli ja już teraz wiem?

I wyciągnęła do niego rękę.

## SPIS TREŚCI

I	Wywiadowcy.....	5
II	W godzinie triumfu.....	18
III	Nieudana misja.....	34
IV	Subtelny trop.....	45
V	Przynęta na krokodyla.....	60
VI	Nowa przynęta.....	73
VII	Ostre środki.....	85
VIII	Kwestia zaufania.....	97
IX	Sala portretów.....	109
X	Pod nożem.....	121
XI	Żywy upiór.....	136